

T. T. JEŻ.

S A M A.

POWIEŚĆ.

INSTYTUT
BADAŃ LINGWISTYCZNYCH PAN

Biblioteka

ul. Nowy Świat 72

0 - 10 - 1000

Tel. 26-08-63, 26-02-31 w. 42

WARSZAWA.

NAKŁADEM KSIĘGARNI

Teodora Paprockiego i S-ki.

41. Nowy-Świat 41.

1896.

<http://rcin.org.pl>



Дозволено Цензурою.
Варшава, 1 Ноября 1894 года.

WARSZAWA. DRUKIEM EMILA SKIWSKIEGO.

<http://rcin.org.pl>

1.

Zachodzące słońce wiośniane ostatnie rzucało promienie, które światłem jasnym oblewały dachy i ściany, ku zachodowi zwrócone, złociły kopuły świątyń, iskrzyły się na wyskakujących w górę krzyżach i na iglicach konstruktorów, płomienisty odblask nadawały szybom niektórym i wdzierały się przez okna do izb mieszkalnych, walcząc z wypływającymi niby z kątów cieniami. Wdzierały się do tych izb, do których miały wstęp otwarty. Do jednej, umieszczonej na trzeciem oficyny odpodwórzowej piętrze, wpadał jeden tylko promień; większej spółtowarzyszy jego liczbie przeszkadzały firanki zapuszczone. Ów jeden promień przez szparę się do wnętrza przedstawiał i kierował się wprost na postać ludzką, siedzącą na krześle, postać niewieścią, wyglądającą niby w nimbie w ozłoceniu promiennem. Izbę półciemność zalewała. Rozjaśniał ją nieco tylko ten smużek świetlany, wąziutki przy oknie, rozszerzający się dalej i oblewający

kobietę z dołu do góry o tyle wyraźniej, że rozpoznać się w niej dawała istota młoda, a taka, któraby się przy pełnem świetle oglądać chciało. W półcieniu uwydatniała się w niej harmonia kształtów, każąca odgadywać uroki tajemnicze. Pełna pierś, regularnie zaokrąglone ramiona podtrzymywały głowę, klasycznie sformowaną, osłoniętą splotami grubych złocistych warkoczy. Na skronie, na kark zsuwały się kosmyki; w kosmykach promień igrał, nadając im złocistość wybitniejszą, — oświecał oczy i zdradzał barwę źrenic błękitną, — oświecał usta i wykazywał ich wykrój artystyczny.

Siedziała nieruchomie. Ręce, na kolana spuszczone, gubiły się w fałdach sukni. Można by ją wziąć za posąg, gdyby nie oddech, od którego się pierś jej podnosiła i opadała regularnie, wznosząc się od czasu do czasu mocniej nieco westchnieniami tak cichemi, że bardzo jeno delikatny słuch pochwycićby mógł głośniejszy nieco szmer powietrza, wciąganego w płuca.

Cisza panowała w pokoju.

A pokój to był dosyć obszerny, zastawiony sprzętami takimi, jak komoda, szafa, kanapa, krzesła, stolików para, na komodzie gotownia, pod ścianą łóżko za kotarami.

Z poza pół-przysłoniętych kotar rozchodziła się woń, świadcząca o obecności istoty ludzkiej chorej, woń mieszana lekarstw, potu, oddechu gorączkowego, ziółek, octu, cytryn; w kącie etażerka z książkami; na ścianach obrazów kilka. Młoda kobieta siedziała obok łóżka przed kotarami, nieruchoma, milcząca.

Po niejakiś czasie głowę ku drzwiom, portyerą osłoniętym, zwróciła. Ruch ten wywołało lekkie wzmocnienie się światła w pokoju; światło napłynęło przez drzwi. Z poza odchylonej portyery wysunął się mężczyzna niemłody, prawie starzec, ale tą starością, której przedwczesność w oczy się rzucała; gdyby nie to, byłby to mąż w sile wieku i imponowałby postawą, nacechowaną znamionami zaznaczającymi rycerskość. Postawa jego jednak świadczyła o wyczerpaniu sił fizycznych i znajdowała się w niezgodzie z wyrazem, jaki z jego bił oblicza. Kiedy portyerę odchylił i młoda kobieta na niego spojrzała, a oblicza jej i jego w jaśniejszem ukazały się oświetleniu, ukazała się zarazem zachodząca pomiędzy nimi pokrewność, pokrewność, jaka wiąże jeżeli nie córkę z ojcem, nie wnuczkę z dziadkiem, to daleko młodszą siostrę z o wiele starszym bratem.

Mężczyzna próg przekroczył, portyera za nim się zamknęła; po cichu (na nogach miał

patofle wełniane) do młodej kobiety podszedł i zapytał:

— Cóż?...

— Śpi... — była odpowiedź. — Śpi spokojnie.

Po chwili odezwał się:

— Mańka i Frania poszłyby do Botanicznego Ogrodu, gdybyś im towarzyszyć zechciała.

Młoda kobieta odpowiedziała gestem przeczącym.

— Zostałbym na twojem miejscu... wyręczyłbym ciebie.

— Potrzeba, ażeby w chwili przebudzenia się mamy była przy niej.

— Potrzeba, ażebyś się przeszła, świeżem odetchnęła powietrzem...

— Będzie na to pora, gdy mama wyzdrowieje.

Na te słowa mężczyzna zwrócił wejrzenie na otwór kotary i wpatrzył się w ciemną głębię, osłaniającą chorą. Na twarzy jego malował się smutek głęboki.

— Wyręczyłbym ciebie — znów się odezwał.

— Niech mnie tatuńcio przy Mani i Frani wyręczy — odparła.

W odpowiedzi jej, pomimo, że łagodnie była wymówiona, tyle się przebijało stanowczości, że zabrzmiała niby rozkaz. Mężczyzna nic nie odrzekł; widać było po nim, że rozkaz przyjął. Stał jeszcze chwilę obok córki, patrząc w ciemność i przyciskając dłonią pierś, jakby w niej stłumić chciał wzbierające westchnienie. Pochylił się, młodej kobiecie pocałunek na czole złożył; ta rękę jego do ust sobie przycisnęła i długą chwilę przy ustach ją trzymała.

— Niech tatuńcio z dziećmi idzie—rzekła, głowę podnosząc.—Tatuńciowi bardziej aniżeli mnie potrzebne jest świeże powietrze. Ja silna jestem i zdrowa.

Zamiana słów pomiędzy ojcem a córką odbywała się szeptem tak zniżonym, że się chora nie obudziła. W ciągu rozmowy słońce się poza dachy kamienic sąsiednich zniżyło i oświetlający promień usunął się z pokoju. Zmrok zgęstniał. W zupełnej prawie ciemności wysunęła się po cichu postać mężczyzny i za drzwiami dopiero ukazała się w całej wyrazistości człowieka, złamanego nie wiekiem, ale życiem. Szedł powoli przez pokój, którego umeblowanie i urządzenie zdradzało przeznaczenie dwojakie: była to sypialnia, była to zarazem pracownia, był to warsztat wyrobów

intelektualnych. O tem ostatniem świadczyły półki z książkami, biuro, papierami założone i w przybory do pisania zaopatrzone, stoły, na których w nieładzie widzieć się dawały książki, dzienniki, przeglądy, odbitki drukarskie do korekty, rysunki, rękopisy. Pod ścianą w kącie stało łóżko żelazne, schludnie zasłane, które świadczyło, że ten, co w tej pracowni pisze i czyta, zażywa w niej także i spoczynku nocnego.

Mężczyzna powoli przez izbę tę przechodził, a zawsze dłonią pierś sobie naciskał.

Pokój następny był salonikiem. Meble w nim trąciły starością; nawet i fortepian dawniejszą zdradzał datę. Malowidła na ścianach składały się z samych portretów, przedstawiających postacie męskie i niewieście z różnych epok: z tych, w których mężowie okrywali się pancerzami, a małżonki robrony nosiły, oraz z późniejszych, zmieniających hełmy na peruki, peruki na koafiury i t. d. i do tych zmian przystosowujących odzież płci obojej.

Pokój jadalny nosił na sobie te same co bawialny cechy. W nim również ściany zdobiły portrety, nie wyłącznie jednak; widniały wśród nich dwa wysokiej artystycznej wartości płótna: jedno szkoły flamandzkiej, drugie włoskiej. Byłyby one ozdobą galeryi i były

nią niegdyś: figurowały w galeryi pałacowej; do apartamentu miejskiego dostały się pod taką postacią, pod jaką z rozbitego okrętu wynoszą się na ląd szczątki. Świetne malowidła świadczyły o lepszej w przeszłości doli. W apartamencie miejskim nie na swoim znajdowały się miejscu; raziły, jak razi obecność wielkiej damy w jedwabiach i brylantach w mieszkaniu na poddaszu.

Małżonek chorej kobiety, idąc, wszędzie drzwi za sobą zamykał i wciąż sobie dłonią pierś przyciskał. Dopiero, gdy po wyjściu z sali jadalnej drzwi za sobą zamknął, rękę od piersi odjął. W tym momencie kaszlem buchnął. Pięści zaciśnięte do skroni podniósł i kaszłał z wysiłkiem, który się raz po raz wzmagał, aż doszło do tego, że się zaszedł, twarz mu posiniała, oczy krwią nabiegły; powstrzymać się, odetchnąć nie był w stanie. Napadł go widocznie paroksyzm jeden z gwałtowniejszych.

Paroksyzm ten odbywał się w obecności dwóch dziewczynek podlotków, które z wyrazem przerażenia na twarzyczkach do kaszlącego podeszły i na przemian raz jedna, znów druga do niego przemawiały:

— Tatku!... tatuńciu!...

On je gestem ręki od siebie oddalał.

— Po Terenię pobiegnę — odezwała się starsza.

— Nie!... nie!... nie-e trzeba!—wykrztusił.

Po niejakiem czasie na krzesło upadł i zawołał:

— Wody!

Z podanej sobie szklanki haustów kilka przełknął i uspokajać się począł. Ciężko oddychał, odkaszliwał, od czasu do czasu powietrze w płuca wciągał i głowę zwieszał.

Kwadrans blisko minął, zanim się uspokoił o tyle, że mógł przemówić.

— Franiu—do jednej zwrócił się z dziewczynką, — pójdź po cichutku do mego pokoju; przy łóżku stoją buty, weź je i przynieś.

— Idę, tatku—odrzekło dziewczę.

— Tylko, moje dziecko, po cichutku... po cichuteńku—przemówił tonem prośby.

Dziewczynka ku drzwiom ruszyła i już za klamkę ręką miała, kiedy znów na nią zawołał:

— Franiu!

Dziewczę się ku ojcu ode drzwi odwróciło.

— Mama śpi... Zbudzić ją może szmer najmniejszy. Moja duszko!...

— Dobrze, tatku, dobrze.

— Idź na paluszkach.

— Dobrze.

— Twoje buciki nie skrzypią?

Zapytania tego dziewczynka nie słyszała; za drzwiami znikła i niebawem później powróciła, niosąc w ręku butów parę.

— W maminym pokoju cicho?

— Cicho.

— Śpi. Sen ją pokrzepi.

Westchnął i, zrzuciwszy pantofle, począł buty wzuwać.

— Wybierajcie się — przemówił do pańienek. — Wyjdziemy trochę... do Ogrodu Botanicznego.

— Bez Tereni?—zapytała z nich jedna.

— Ona przy mamie. Pójdziemy bez niej, przejdziemy się. Chcecie?—zapytał w końcu, wstając.

— A... tak...—odrzekła starsza z wahaniem się niejakiem, zwracając na siostrę wejrzenie pytające.

Młodsza zakrzętnęła się około przystrojenia się do wyjścia.

— Poczekam na was na schodach — odezwał się ojciec, zostawiając pańienki i przez jadalny pokój wychodząc do sieni, gdzie na kołku wisiał jego kapelusz i w kącie stała laska. Przed otwarzeniem drzwi wchodowych zajrzał do kuchni.

— Olesiu... — przemówił półgłosem, — wiecie? pani śpi... Ja z dziećmi wychodzę.

Gdyby kto przyszedł, powiedzcie, że w domu niema nikogo.

— A doktor?—słyszeć się dał głos z kuchni.

— Jeżeli przyjdzie, to chyba późno wieczorem.

— Za godzinę najdalej kolacya będzie gotowa—ten sam głos się odezwał.

— Za godzinę z powrotem będziemy.

Złączenie się ojca z córkami nastąpiło niezwłocznie prawie. Panienki zjawily się w kapeluszach słomkowych, niezbyt strojnie, nie ściśle modnie, ale przyzwoicie ubrane; w rękach, rękawiczkami obciągniętych, niosły parasolki; z pod krótkich, stosownie do wieku, sukienek wyglądały czarne w czerwone paski pończochy i zgrabne na koreczkach buciki.

Schodzenie ze schodów zabrało czasu nieco, nie tyle z powodu wysokości, co z tej przyczyny, że ojciec zdążyć za córkami nie mógł. Trzymając się jedną ręką za poręcz, drugą podpierając się laską, stąpał ostrożnie ze stopnia na stopień i na dole dopiero raźniej ruszył.

Na dworze zmrok już panował, ów zmrok, co pod naszymi gradusami szerokości trwa godzinę blisko i stanowi w miesiącach letnich najmiłszą dnia porę. Najmiłszą jest ona dla tych zwłaszcza, których los do pracy wprzęga.

Zmrok wieczorny jest dla nich wstępem do wypoczynku; o zmroku wyciągają się oni i wyrzucają z piersi owo przeciągłe a charakterystyczne „och!“, przy którym trzeszczą kości grzbietowe i do normalnego stanu powracają sustawy. O tej dnia porze po wsiach ludzie z pola powracają; po miastach biuraliści składają papiery i zamykają szuflady; robotnicy zbierają narzędzia; biura, warsztaty wypróżniają się,—zapełniają się szynki, kawiarnie i cukiernie, dające pracownikom drogo nieraz opłacany przedsmak spoczynku.

Panienki, poprzedzając ojca, podążały ku ogrodowi ulicami, rojącemi się w tym momencie ludnością roboczą. Latarni jeszcze nie zapalono; po magazynach i sklepach gazy nie świeciły jeszcze i nie rzucały na wystawy tego blasku czarodziejskiego, któremu światło dzienne ujmuje uroku połowę. Nie było więc racji do zatrzymywania się przed witrynami, budzącemi pożądania w przedstawicielkach płci pięknej, takich nawet, których wiek liczy się na wiosny, a liczba wiosen nie przechodzi cyfry 14. Panienki nie zwracały na cuda witrynowe uwagi; zajmowały je pojazdy,—nie te wszakże pospolite, które, mieszczaństwu służąc, ogólną nazwę „drynd“ noszą, ale pojazdy wyższego pokroju, karety, landa, znaczone herbami,

obsługiwane przez mężów w liberyi i ciągnięte przez konie cugowe. Dziewczynki żywo się nimi interesowały. Jak skoro się który pokazał, wejrzenia nań rzuciły i z pod oka śledziły; gdy minął, jedna lub druga w kilku słowach, wypowiedzianych półgłosem, udzielała siostrze spostrzeżenia lub uwagi.

— A co, Henryś i baronowa, widziałas?

— Widziałam.

— To musi być chyba prawda?

— Amelka przysięga, że prawda; na własne uszy słyszała, jak jej mama opowiadała mamie Gieni.

— On ją wykradnie.

— Na coby wykradać miał?...

Rozmowę powyższą przerwało ukazanie się karety, zaprzężonej w parę rosłych rasowych kasztanów, powożonych przez stangreta o postawie posągowej, obok którego miejsce zajmował również posągowy lokaj. Uprząż, liberya, kształty pojazdu, odpowiadające najświeższej modzie i zdradzające pochodzenie z jednej z najpierwszych fabryk w Europie, znamionowały zamożność, przechodzącą o wiele miarę zamożności średniej. Przez okna karety przeglądały postacie dwóch kobiet—niemłodej i młodej.

Pojazd ów szczególnie dziewczęta zainteresował. Za zbliżeniem się jego nastroiły się, zeszywniały niby, wyprostowane przeszły mimo okna karety i, kiedy odjechała, czas jakiś jeszcze drobne ich postacie wyrażały naprężenie. Powóz był już daleko, gdy się jedna odezwała:

— Ciocia marszałkowa.

— Ciocia — powtórzyła druga.

— Do nas ani zajrzy.

— Na wizytę czeka...

— Och! taka kareta! — rzekła Frania z westchnieniem.

— O! — odparła Mania.

— Czemu tatko i mama nigdy do niej nie poszli?

Mania ramionami wzruszyła.

— Taka kareta!

— A w mieszkaniu salony, buduary, galerie, oranżerya...

Chwilę dziewczęta szły w milczeniu. Milczenie przerwała Mania:

— Powiedziałam Fruzi Rotenównie, że pani marszałkowa nam ciocia, a ona odpowiedziała, że to nie prawda.

— Ech!... co Fruzia!...

— Jej matka kapelusze pani marszałkowej robi.

— Cóż z tego?

— Ona wie od matki, co się w domu dzieje.

— To niechby matka Fruzi panią marszałkową zapytała, czy ona nam ciocia, czy nie.

— Jeszcze co! — tonem upomnienia odparła Mania.

Dziewczęta, rozmawiając, przyśpieszały kroku i oddaliły się od wlokącego się za nimi powoli ojca. Jedna się obejrzała.

— A!... — zawołała. — Tatko?

Ojciec wnet się pokazał; one się na chwilę zatrzymały, i wkrótce potem we troje razem do ogrodu weszli.

W ogrodzie spacerujących krążyło sporo. Ogrody po miastach pełnią funkcję, zbliżoną nieco do tej, do jakiej natura powołała oazy w pustyniach. Mieszkańcy miast zaopatrują się w nich w zapas świeżego powietrza, mającego im starczyć w ciągu wędrówki po niosących tumany kurzu ulicach i przepełnionych miazmatami mieszkaniach. Korzystają więc, gdy pogoda sprzyja, tem oho-tniej, że te miejskie oazy do rozmaitych, interesem podszytych, służą użytków. Ponieważ wieczór był jednym z rozkoszniejszych uśmiechów pogody, spacerujących przeto ściągnęło się sporo; mrowisko ludzkie ruszało się

w ulicach i alejach, upstrzone świeżemi toaletami niewieściami, na które towarzyszące schozralemu jegomości panienki szczególną zwróciły uwagę.

Jegomość szedł powoli, pochylony nieco, laską się podpierając. Dziewczynki, przez wzgląd na niego, ustawicznie zwalniać kroku musiały; on je ustawicznie dopędzać usiłował. Na zakręcie jednej z ulic, gdy im z kilku osób złożone grono drogę zastąpiło, zeszedł się z nimi i tonem proszącym przemówił:

— Moje dzieci... jabym usiadł.

Panienki nic nie odrzekły. Na obliczach ich widzieć się dał cień niezadowolenia, — przyszłusowały jednak bliżej do ojca i oglądać się poczęły za ławką.

Wypatrzenie siedzenia okazało się rzeczą niełatwą. Ławki zajmowała ciężka artylerya: emeryci i kobiety wiekowe, jakoteż niańki z niemowlętami na kolanach i z towarzyszami obok, pełniącymi funkcję *cavalieri serventi*. Dziewczynkom to widocznie do smaku nie przypadało. Mijały ławkę po ławce w alei głównej, przeszły ją wzdłuż całą, miejsca nie znalazły.

— Jakież to nieznośne! — odezwała się jedna.

— Cóż poczniemy, tatku? — zapytała druga.

Zatrzymały się.

Odpowiedzią na zapytanie było ciężkie, ze świstem połączone oddychanie, znamionująca astmę.

— Och!...—westchnęła Mania.

Panienkom mocno się nie chciało z głównej schodzić alei. Nie było jednak rady; należało w boczną zwrócić się ulicę, w której przedstawiała się szansa znalezienia ławki swobodnej. Szansa posłużyła; ławka się znalazła. Astmatyk osunął się na nią; córki obok niego miejsce zajęły, starając się nie okazywać po sobie niezadowolenia, jakie je przejmowało. Przegląd toalet, któremu się ochoczo oddawały, stał się niemożliwym—raz dlatego, że w bocznej ulicy mało kto spacerował, powtóre dla tej przyczyny, że mało już pozostawało czasu do zapadnięcia zmroku zupełnego. Chwila jeszcze, a wszystkie barwy przybiorą kolor jednostajnie szary i wszystkie postacie wydadzą się cieniami, migającymi w świetle latarni. Interes spaceru upadł. Panienci w złym humorze usunęły się od ojca na przeciwny koniec ławki i byłyby, jak przypuszczać się godzi, żale swoje jedna drugiej wypowiadały, gdyby niespodziana, lubo zwykła nie zaszła przeszkoda. Przeszkoda poszła od nieznanego jakiegoś jegomości, który pomiędzy ojcem a córkami

miejsce próżne zajął. Idąc sapał — i sapał usiadłszy. Był to człek dobrej tuszy, średniego wzrostu, odziany w paletot letni, osłaniający surdut rozpięty na piersiach, na których na białej koszuli połyskiwały brylanty guzików złotych. Przez duńską rękawiczkę trzymał w ręku laskę trzcinową, zdobną u góry w kamień alpejski. Rozsiadł się, wysapał i rzekł sam do siebie:

— Zmachalem się.

Spojrzał na prawo, na dziewczynki, dmuchnął; spojrział na lewo, zrazu obojętnie, lecz za pierwszym wejrzeniem poszło niebawem drugie, za drugim trzecie, a przy każdym potęgował się wyraz zaciekawienia, który mu się w oczach pojawił.

— Miałżebym się mylić? — przemówił wreszcie, zwracając się do astmatyka.

— W jakim względzie?... — zapytał ten ostatni.

— Mylę się może?

— No?

— Pan dobrodziej przypominasz mi... Ale... chyba nie!...

— Tylu jest ludzi, podobnych jednych do drugich.

— Tak jednak frapujące podobieństwo rzadko się zdarza.

— I do kogóż to, jeśli spytać wolno, natura mnie tak upodobniła?

— Do hrabiego Aleksego Homirskiego.

— Podobny jestem do niego? — zapytał astmatyk tonem znaczącym.

— Bardzo.

— Trudno, żebym podobny nie był.

— Czemu? .. — wyrwało się z ust nieznanemu.

— Nim bowiem jestem.

— Co?... co!?!... jak?... hrabio!...

Wykrzykniki te wydając, przysunął się i, dłoń do uścisku podawszy, wymienił nazwisko swoje.

— Karol Ostępski.

Następnie zaczął niezwłocznie:

— Jakżem szczęśliwy!... Anim się spodziewał! Wszak hrabia przypominasz mnie sobie?

— O... tak... — była odpowiedź, lekkim zaakcentowana zakłopotaniem.

— A hrabina dobrodziejka?

— Moja żona bardzo chora — odrzekł hrabia Aleksy z westchnieniem.

— Chora? o!... A tak świetnie, tak uroczo czasu onego wyglądała!... tak świetnie, tak uroczo!

— Czasy te minęły.

— Niestety!... Trzeba jednak spodziewać się, że choroba pani hrabiny, jak przyszła, tak odejdzie. Macie państwo na rozporządzenie swoje lekarzy takich znakomitych, takich znakomitych!

— Zapewne—bąknął hrabia.

— Trzeba się spodziewać, o! trzeba się spodziewać! — perswadował Ostępski i po chwilce milczenia dodał:— A dzieci? wszak, jeżeli się nie mylę, państwo hrabiostwo mieliście dziątek kilkoro?

— Z których dwoje siedzi na lewo od pana.

— A?... a?... — odparł dawny znajomy.— Panny hrabianki... Jakże się cieszę! jak mi miło! Kiedym miał zaszczyt bywać w Szarkach, w pałacu, musiałyście być panie malutkie, bardzo malutkie...

— Jedna była w kołysce, druga na czworaku chodziła — odpowiedział hrabia.

— Tak?... a... jakże mi miło! Cóż Szarki?

— O!...—machnął zapytany zlekka dłonią.

— Pani hrabina jednak?...

— Pozostał jej mająteczek posagowy.

— Wiem o tem... wedle dokumentów, mam bowiem zaszczyt być doradcą prawnym pani marszałkowej Zbędownskiej; prowadzę jej interesy sporne i z tej właśnie racji przyjecha-

łem; bawię tu drugi już dzień... Nic jednak nie wiedziałem, że państwo hrabiostwo tu również mieszkanie. Powinienem się być jednak domyślić; bo jakże: pani marszałkowa i pani hrabina siostry rodzone...

— Rodzone — powtórzył hrabia.

— Pani marszałkowa, jak pan hrabia wie, za granicę do wód wyjeżdża.

— Jeździ do wód w roku każdym.

— Tak... w tym jednak zaszły niejaki komplikacje majątkowe. Świętej pamięci marszałek, ze świata schodząc, zostawił rozporządzenie, które się z jednej strony nie zgadza z przepisami prawnymi, z drugiej z widokami pana Jana. Gdyby nie widoki pana Jana, wszystkoby się pogodzić dało; tak zaś... Ale! — podchwycił, — a toć zejście się moje z panem hrabią jest może zrządzeniem Opatrzności!

— W jakim względzie?

— We względzie przywrócenia w rodzinie harmonii. Rodzina najzacniejsza, a! Zbędownscy! z Dyogenesa latarnią podobnie godnej rodziny nie znalazłby. Pani marszałkowa... co to za niewiasta! Rozum, serce! prawdziwa matrona, wzorowa kobieta, święta, jednym słowem! Tę Pan Bóg do nieba żywcem, jak Eliasza, zabrać powinien. Święta i koniec.

Pan Jan... cóżby mu kto zarzucić mógł? Honor wcielony! honorową w nim jest każda żyłka, każda kosteczka. Przytem szlachetny, wspa-
niałomyślny, rządny. Mają mu niektórzy za
złe, że się z żoną rozszedł. Mój Boże, czegóż
to dowodzi? Dowodzi, że się nie dobrali... To
pomińmy, a przystąpmy do rzeczy. Pomiedzy
panem Janem z jednej strony a najdostojniej-
szą, najzacniejszą matką jego, panią marszał-
kową z drugiej, tudzież pomiedzy panem Ja-
nem a jego siostrami, najzacniejszą, naj-
dostojniejszą panią Gudulską i najlepszą,
istnym w ciele ludzkim aniołem, panną Haliną,
przyszło do nieporozumień. Jak do tego przy-
szło, w to nie wchodzę, dosyć, że do nieporozu-
mień przyszło...

— Pomiedzy takimi doskonałościami? —
wtrącił hrabia.

— Tak, panie hrabio, pomiedzy doskona-
łościami. Ale są to doskonałości ludzkie, połą-
czone z maluczkiemi ułomnościami, z malucz-
kiemi, powiadam. Usunięciu nieporozumień
przeszkadza stałość charakteru pana Jana; za-
ciał się i ani rusz. Pani marszałkowa powie-
rzyła mi załatwienie tej delikatnej sprawy. By-
łem u pana Jana, od niego wprost wracam;
nic nie wskórałem, pomimo, że godzinę gadał,
Przemyślałem właśnie, jak i przez kogoby do

niego trafić, kiedy mnie losy do tej ławki przyprowadziły i obok pana hrabiego posadziły. Nie Opatrzności to zrządzenie?

— Przypadek.

— Zapewne, rzecz biorąc filozoficznie. Chociażby jednak był to przypadek, jest to przypadek przyjazny, który nieobliczenie pomyslnie sprowadzić może następstwa. Nie omieszkać z niego korzystać.

Duszość, jakiej hrabia doznał w tym momencie, przeszkodziła mu zapytać plenipotentę marszałkowej, w jaki on sposób korzystać z niego zamierza. Zakaszlał się i słowa wykrztusić nie był w stanie. Pan Karol Ostępski czekał chwilę, snadź czekał na przeminiecie kaszlu; lecz gdy ten nie ustępował, na zegarek spojrział i zerwał się z wykrzyknikiem na ustach:


— Ach!

Dalej prędko mówił:

— Wybaczyć mi raczysz, panie hrabio; to właśnie godzina, o której znajdować się winienem u pani marszałkowej. Zdam przed nią sprawę i udzielenie jej rady, która, nie wątpię, do pożądanego doprowadzi rezultatu. Powagą swoją złamiesz, hrabio, upór pana Jana. W tej sprawie będę miał zaszczyt złożyć panu hrabiemu czołobitność swoją dla pomówienia z nim jeszcze. A tymczasem *adieu*, do widzenia.

Podał hrabiemu dłoń, panią głębię złożył ukłon, zniżywszy przed niemi kapelusz do samej prawie ziemi, zwrócił się, ruszył krokiem posuwistym i wkrótce zniknął im z oczu w pomroku wieczornym, który już zapanował samowładnie.

II.



Pani Zbęowska zajmowała w jednej z najparadniejszych kamienic całe pierwsze piętro, składające się z siedemnastu pokoi, nie licząc w to kuchni i pomieszczeń dla służby, ani też stajni, wozowni, piwnic i schowków różnych. Do apartamentu osobne prowadziły schody, schody kamienne, szerokie, wyłożone dywanem, zdobne w baryerę wytyczoną postumentami, na których z urn kamiennych wyrastały kaktusy grubolistne.

W pokojach zamożność, ze smakiem połączona, dawała świadectwo arystokracji niepodejrzanej. Umeblowanie nie raziło przepychem, w oczy bijącym, lecz stanowiło zbiór przedmiotów, z których każdy posiadał wartość artystyczną i których rozkład sprawiał zadowolenie. W każdym pokoju powtarzało się to samo, ale inaczej. Z jednego do drugiego

przechodziło się, niby do innego świata. Salony, saloniki, buduary, gabinety przedstawiały się jako oddzielne całości, złożone według reguł harmonii ogólnej, łączącej sztukę z naturą. Sztukę reprezentowały stolarskie, rzeźbiarskie, tkackie, ceramiczne wyroby, malowidła, rysunki,—naturę krzewy i kwiaty. Niczego nie brakło, niczego nie było zanadto.

Brakło tylko jednej rzeczy, którą nazwać trudno; w tych salonach i salonikach, buduarach i gabinetach nie czuło się ciepła rodzinnego. Mogłyby one figurować na przedmieściu St. Germain w Paryżu i znajdowałyby się tam na swoim miejscu. Odpowiadały ściśle przepisom smaku, regułom sztuki, ale sztuki, baczącej jeno na kombinacye kształtów i barw, sztuki oderwanej, abstrakcyjnej, istniejącej wyłącznie dla zmysłów i przez zmysły. Uwidoczniało się to we wszystkich szczegółach, tak wystawionych na widok gości, których pani Zbédowska w salonach swoich przyjmowała, jako też w tych, których oglądanie stanowiło przywilej domowników i osób, do najbliższej przypuszczanych poufałości. Nic nigdzie przeciwko regule nie wykraczało. W pokoju, zwanym „gabinetem“ dlatego, że znajdowały się w nim szafy z książkami, biuro duże i duży po środku stół okrągły, założony

albumami, książkami o nieporozcinanych jeszcze kartach, przeglądami, ilustracyami i dziennikami, rzucały się w oczy wszystkich największą wziętością cieszące się wydawnictwa zagraniczne,—rzucało się w oczy to, że najbardziej czytaniem pismem było „Figaro,“ i wszystko to odpowiadało regule, obowiązującej domy, w których interesowanie się literaturą poczytywane jest za obowiązek dobrego tonu. Dobry ów ton jednak panował wyłącznie i chłodem owiewał najpiękniejsze dzieła sztuki, najartystyczniejsze kombinacje i barwy.

Pani marszałkowa prowadziła dom otwarty, stosując się w tem, jak w urzędzeniu apartamentu, do przepisów tonu. Przyjmowała u siebie towarzystwo wybrane, złożone z osobistości wyższych jeżeli nie rodem, to stanowiskiem, jeżeli nie stanowiskiem, to uzyskanem uznaniem w zakresie literatury lub sztuki. Dawała raz do roku bal i urządzała wieczory, na których się słyszeć dawali muzycy i muzyczki, śpiewacy i śpiewaczki. Miała własną w teatrze lożę i trzy ćwierci roku spędzała za granicą. Brała udział w towarzystwach dobroczynnych, w kwestach, w kiermaszach, we wszystkim, co ulżenie niedoli ludzkiej na celu miało; a czyniła to bez względu na miejscowość: w okolicach Nizy znaczną wkładką przyczyniła się do założenia przytulku dla osierociałych biednych dziewcząt.

Zbytecznymby było dodawać, że otaczała ją służba, nie tyle liczna, co dobrana, płci jednej i drugiej. Kamerdynerzy, lokaje, stan-gret, kucharz—byli to mężowie, imponujący powagą i znajomością rzeczy; panny służące, pokojowe odznaczały się szykiem i biegłością; ochmistrzyni, czuwająca nad ogólnym w domu ładem, wzbudzała poszanowanie.

Pani marszałkowa mogła na takiej stopie dom prowadzić; dochody jej na to starczyły. Z siebie nie była bogata,—dostała w posagu wieś, tak samo jak siostra, co za hrabiego Homirskiego wyszła; ale wieś ta, jakkolwiek w żyznej położona okolicy, zaledwie w pięćdziesiątej przyczyniała się części do wydatków na życie, jakie pędziła. Resztę dopełniało zapisane przez męża na dużym majątku dożywocie, z którego części zrzekła się na rzecz syna, gdy ten się ożenił i dom osobny założył. Po jej śmierci miał on zostać całego majątku właścicielem, wypłacając obydwom siostronom część czternastą, stosownie do brzmienia prawa, ale nie stosownie do woli ojca, który na podział pomiędzy córki przeznaczył część trzecią. Różnica zachodziła wielka: częścią trzecią 3 jest 1; częścią czternastą 3 jest 0,21. Wedle tego, siostronom pana Jana Zbędownskiego dostałoby się mało co więcej, aniżeli po 100 tysięcy

rubli. Perspektywa ta nie przedstawiała się groźnie, póki pan Jan nie rozstał się z żoną, nie poróżnił z rodziną własną i nie oświadczył, że będzie się ściśle przepisów prawa trzymał. Dotykała ona marszałkową nie w jej osobie, lecz w osobach córek. Zięć, zawiedziony w nadziejach, czuł się skrzywdzonym. Młodszą córkę, pannę Halinę, skazaną na posag, wynoszący mizernych sto kilkadziesiąt tysięcy, któżby chciał za żonę pojąć?

Niebezpieczeństwo objawiało się stopniowo, z razu pod postacią ostrzegających pogłosek, które się mnożyły, wzmagaly, aż doszło do tego, że marszałkowa uważała za potrzebne z synem się rozmówić i powagą swoją na niego wpłynąć.

— Słyszałam, Jasiu, jakobyś miał intencję siostry skrzywdzić...—zaczęła, do siebie go wezwawszy.

— Ja?—odparł tonem zdziwienia.

— Nie przypuszczam też tego. Ale... widzisz...

Wobec uroczystego zaprzeczenia ze strony syna nie wiedziała, jak do rzeczy przystąpić.

— Nie wierzę też temu—powtórzyła.— Ale... widzisz, ludzie, plotki...

— Plotki!...—podchwycił pan Jan z mocnym naciskiem i z akcentem oburzenia.

— Trzebaby ludziom gęby zamknąć.

— Ba! Ludzie świetne czynią wynalazki, ale nikt jeszcze nie wynalazł kłódki do zamykania gęb plotkarzom. Wyznaczyłbym przecie dziesięć tysięcy rubli temu, coby wynalazł kłódkę na gębę mego szwagra kochanego.

— Czegóż od niego chcesz?

— On stworzył plotkę o intencji mojej skrzywdzenia sióstr.

— Cóż znów?

— Wiem od niego samego. Czyż mnie nie nagabuje i insynuacyami nie nudzi? To nakoniec z zawias wysadzi człowieka najcierpliwszego! A mnie niecierpliwości nikt chyba zarzucić nie może. Gudulski doprowadzi mnie kiedyś do tego, że gdy swoją utrapioną facyatkę w moim domu pokaże, za drzwi go wyrzucę.

— Nie zrobisz tego, Jasiu — z godnością rzekła marszałkowa.

— Przez wzgląd na mamę tylko.

— Przez wzgląd na mnie, przez wzgląd na siebie, najbardziej zaś przez wzgląd na siostrę, która jest Gudulskiego żoną.

— Niewiele ma ona względu na mnie.

— Julcia, wierz mi, kocha ciebie.

— Wierzyć muszę mamie.

— Kocha ciebie Julcia, kocha Halinka.

— Za dużo kochania... Ale niech tak będzie, ponieważ mama zaręcza. Niechby mi tylko Julcia nie nasyłała swego Romcia; ten człowiek posiada sztukę drażnienia mi nerwów. Za ostatnią bytnością moją, na przykład, szeroko się przede mną o hrabi Aleksym Homirskim rozwodził. Napróznom mu kilka razy powtórzył, że tego człowieka szanuję, że go szanuję i czczę... on prawil swoje. Co jemu do hrabi Homirskiego?

— Jest Homirskiemu wiele do zarzucenia...—wtrąciła pani Zbédowska.

— Ale co Gudulskiemu do tego?

— Aleksy dla fantazyi taką piękną zaprzepaścił fortunę.

— Ale, pytam mamę, co Gudulskiemu do tego?

— Nie można ludziom zaprzeczyć prawa ganienia głupstw.

— Wuj Aleksy, zdaniem mojem, głupstwa się nie dopuścił. W każdej spekulacyi jeden wygrywa, drugi traci; fortuna kołem się toczy.

— Z ciebie, mój Jasiu, szlachetność przemawia—podchwyciła marszałkowa.—To mnie uspokaja; szlachetność nie pozwoli ci skrzywdzić sióstr.

— O krzywdzeniu ich ani myślę!

Takie rozmówienie się matki z synem miało rezultat.

Rezultat ów uważany był za zupełnie pomyślny tak długo, póki Gudulski nie poddał go analizie krytycznej, analizie, zawartej w zapytaniu następującem:

— Czy Jaś dla upewnienia sióstr i uspokojenia matki podpisze dwa rewersy, na 500 tysięcy rubli każdy, jeden na imię mojej żony, drugi na imię panny Haliny?

Zapytanie to wświdrowało się w mózgi całej otaczającej z bliska gromadki pani marszałkowej i stało się przedmiotem rozmyślań i obrad, do wyczerpania trudnych.

Zbędowska twierdziła, że wierzy w szlachetność Jasia, i na poparcie twierdzenia tego liczne przytaczała dowody. Czyż on nie zapłacił długu honorowego za hrabiego Gucia, gdy za niego poręczył i gdy ten, mimo to poręczenie, w łeb sobie strzelił? Był to dowód niezbity. Z wierzycieli żaden ani myślał korzystać z poręczenia ustnego, tyżącego się przegranej w karty przez człowieka, co sobie w łeb pałał. Któżby się na podobną zdobył szlachetność? Ten jeden rys, nie licząc innych, był przekonywający. Ani pan Gudulski, ani pani Gudulska, ani panna Halina nie wątpili o szlachetności Jasia; nie wątpili wszyscy

razem i każde z osobna, a jednak gorąco sobie życzyli rewersu.

Podpisanie rewersu będzie jednym więcej dowodem szlachetności—utrzymywał pan Gudulski.

Na to się wszyscy zgadzali. Zachodziła wszelako kwestya jedna, nosząca nazwę „delikatnej materyi.“ Wyrażała się ona w kształcie zapytania: Jak przystąpić do dotknięcia tej materyi?

Marszałkowa z góry pośrednictwa swego odmówiła; o panu Gudulskim myśleć nie było można; siostry się wymawiały.

Nikt się podjąć nie chciał, dając za powód obawę dotknięcia drażliwego punktu szlachetności.

— Będzie to dowodem braku zaufania.

Taką opinię wygłosiła marszałkowa. Nikt jej nie zaprzeczył,—wszyscy jednak, marszałkowej nie wyjmując, tego byli przekonania, że jeżeli pan Jan formalnie się nie zobowiąże, w takim razie siostrom ponad część czternastą nie dostanie się ani złamany szeląg więcej. Szlachetności bowiem, jak wspaniałomyślności, sprawiedliwości, honorowości i innych tym podobnych cnót bywają rodzaje i gatunki rozmaite: oszuści, złodzieje kieszonkowi są za zwyczaj niestychanie przy zielonym stoliku

honorowi; magnaci, chętni w zasilaniu przedsięwzięciw filantropijnych, jakże często krzywdy się dopuszczają, długów prostych nie płacąc! Z tego punktu widzenia szlachetność pana Jana przedstawiała się pod postacią rękojmi bardzo niepewnej, wymagającej poparcia za pomocą zobowiązania prawnego i wyraźnego.

Na deliberowaniu nad sposobem wydostania tego zobowiązania upłynęło czasu dużo. Przez całą zimę rewery tkwiły w głowach, snuły się w myśli, jawiły się, niby cień Banka, śród uczt, na balach, koncertach, w teatrze. Panna Halina, wiotka blondynka, mająca za sobą wiosen dwadzieścia cztery, w oczach każdego z młodych ludzi, którychby gotową była ręką swoją uszczęśliwić, czytała zapytanie: „A masz w zanadrzu rewery?”

Och! ten rewery!

Bardziej jeszcze dokuczał on pani Gudulskiej. Oddała ona rękę swoją z dodatkiem nadziei na pół miliona. Zachwianie się tej nadziei mocno jej stanowisko małżeńskie podkopało wobec krawców, modniarek, w magazynach, w towarzystwie wreszcie. Ucierpiała ta powaga, w jaką ją z razu ubrała była nadzieja. Mąż ją lekceważyć począł. To mniejsza jednak; na lekceważenie męzowskie jest sposób pewny

w lekceważeniu męża, do czego pomocy wszelkiej świat dostarcza z ochotą. Ważniejszym, boleśniejsem było to, że się liczyć musiała. Cóż warta kobieta, która się liczy? Kto ją uszanuje? Czy ona sama siebie szanować może?... To jej dopiero dolegało, w głowie męciło, w serce się wgryzało; straciła swobodę myślenia o toalecie swojej, o ubieraniu dziecka, dziewczynki trzyletniej, aniołka istnego. Jakże ona cierpiała! Wobec tych cierpień niczem są chyba męki czyścicowe.

Pani Gudulska przeto pragnęła rewersu, jeżeli nie tak zupełnie, to bardzo podobnie, jak zbawienia duszy.

Najmniej dotykał on marszałkową—raz dlatego, że wmawiała w siebie zaufanie do syna, powtóre dla tej przyczyny, że ostatecznie spotka córki krzywda niedoszczętna.

„Julcia—myślała — ma męża, więc z nim sobie radę jakoś da; Halinka zaś... có?... z losem się zgodzi, a gdyby się wydać chciała koniecznie, to się wyda. Czy to mało panien w gorszem, aniżeli ona, znajduje się położeniu?”

Wówczas na myśl siostra jej rodzona przychodziła i siostrzenice i szwagier. Jawili się oni jednak nieinaczej, jak tylko jako miara porównania. Hrabinę Anielę Homirską porównywała z panną Haliną, hrabiego Aleksego

z tłumem możliwych panny Haliny małżonków. Z porównania tego wypadło, że pod żadnym względem i w żaden sposób los, jaki hrabinę spotkał, panny Haliny spotkać nie może.

— Ktoby się teraz zaryzykował na taką szaloną, jak hrabia, spekulację!... A gdyby się znalazł taki, to czyżby Halinka dopuściła?...

W ten sposób sumienie sobie dostojna pani uspokajała, dziwiąc się tylko, skąd Jasio wi przyszło z szacunkiem i czią o hrabi Aleksym się odzywać. Nie brała tego jednak na seryo. Znała syna. Przypuszczała, a nawet pewna była, że cześć owa pochodziła z ducha sprzeczności, rozbudzonego przez Gudulskiego, któremu Jan chciał przez to na przekór pójść. Zresztą myślała o tem przelotnie; w głównej zaś kwestyi, w kwestyi rewersu, luboć ją sobie wyperswadowała, uznawała jednak niepokój córek i byłaby rada, gdyby się znalazł sposób na wydostanie go od Jana.

Sposób... ba!

Myślenie i rozmyślanie, trapienie się, sny we śnie i sny na jawie nie doprowadzały do wynalezienia sposobu.

Pomysł pośrednictwa trzeciej, bezinteresownej osoby na myśl przychodził, lecz nie przychodziła na myśl osoba, którejby taką ważną

sprawę powierzyć można; przeszkadzała temu „delikatna materya.“ Użycie pośrednictwa przedstawiał o niemałe niebezpieczeństwo. Nie można było na powodzenie liczyć na pewno, — w razie zaś niepowodzenia nastąpiłaby niechybnie sroga kompromitacya, nastąpiłoby wykazanie światu brudnej bielizny, kryjącej się pod adamaszkami salonów pani Zbędowskiej. Pomysł ten przeto tak długo był narzucany i odpychany, póki Zbędowska przy jakiejś okazji, nie mającej najmniejszej z rewersem styczności, nie wymówiła nazwiska prawnego plenipotentą swego, Karola Ostępskiego.

— *A!... eureka!*... — podchwycił wnet Guldulski.

Żona, siostra żony i teściowa z wyrazem zapytania w oczach na nim wejrzenia zatrzymały.

— Czy ten Ostępski jest człowiekiem zręcznym? — zapytał.

— Zdaje się — odpowiedziała marszałkowa.

— Wygadany?

— O! tak... adwokat.

— Nie możnaby go sprowadzić?

— Na co?

— Na pogadanie z Janem o rewersie...

Pani Gudulskiej i pannie Halinie oczy strzeliły złotymi nadziei promieniami.

Zbędowska pomyślała chwilkę i odrzekła:

— A... sprowadzićby go można.

— Zatelegrafować — wtrąciła pani Gudulska.

— Do czegoż tak śpiesznie? Powrócimy z wód i...

— Ach, nie! — unisono obie odezwały się siostry.

Pan Gudulski ze swojej strony słów kilka o odkładanym serze dorzucił.

Jemu też poleczone zostało wysłanie telegramu, z czego się wywiązał w sposób zadowolniający. Po drucie pchnął wyrazy: „Przybywaj pan niezwłocznie. Interes ważny. Zbędowska.“ Na wyrazy te, posłane około ósmej wieczorem, nadeszła odpowiedź około dwunastej w nocy: „Wyruszam jutro rannym kuryerskim pociągiem. Po jutrze będę miał zaszczyt złożyć jaśnie wielmożnej pani czołobitność swoją. Sługa najniższy, Karol Ostępski.“

Słowa dotrzymał. W oznaczonym dniu o godzinie jedenastej rano stawił się wobec marszałkowej, która mu w gabinecie w obecności córek i zięcia posłuchania udzieliła.

Interes przedstawił się jasno. Nieco zawikłania pokazało się w naradzie, w której

omawiano sposób nasunięcia Janowi myśli o konieczności rewersu. Zdania się ważyły pomiędzy nasunięciem myśli a postawieniem żądania.

— To ostatnie ma to za sobą—objasniał adwokat,—że może być wykazanem kategorycznie. Pierwsza kategoria: śmiertelni jesteśmy; druga kategoria: zabezpieczenie honoru, czyli honorowa asekuracja. Druga wynika z pierwszej. Honoru, na wypadek mogącej się każdemu, tak najstarszemu, jak najmłodszemu, zdarzyć śmierci, od szwanku w sprawach podobnych uchronić nie można inaczej, jak tylko za pomocą zobowiązania piśmiennego. Takim jest kategoryczne postawienie kwestyi.

— Ale możeby to postawienie odłożyć na koniec — zauważyła pani Gudulska,—a zacząć od nasuwania myśli?

— Nasuwanie przeto poprzedzić należy sondowaniem.

— Tak—rzekł pan Gudulski.

— Tak więc układa się porządek: sondowanie, nasuwanie myśli, postawienie kategoryczne żądania...

— Doskonale!

Procedura przez adwokata wyłożona, ogólne uzyskała uznanie, z którego wynikała pewność

powodzenia, posunięta tak daleko, że myśl pani Gudulskiej zwracać się już poczęła ku modniarce, co świeżo wprost z Paryża sprowadziła modele i wystawiła je za witryną. Z tej drogi zwrócił ją adwokat sam.

— Nie wiem jednak, jak to wypadnie—odezwał się.

— W jakim względzie?—zapytał pan Gudulski.

— We względzie powodzenia. Delikatna materya...

— Delikatna—potwierdził pan Gudulski.

— Pana Jana namówić potrzeba do zrzeczenia się prawnie mu należnych mniej-więcej 750 tysięcy. Pozwolę sobie powiedzieć, że to gruba rzecz.

— Jam się miliona dla niego zrekła — zauważyła pani Zbédowska.

— Pozwoli sobie jaśnie wielmożna pani zrobić uwagę, że co innego matka w stosunku do syna, a co innego brat w stosunku do sióstr. Do zapośredniczenia w tej delikatnej materyi właściwiejby może było użyć kogoś z rodziny.

— Niema nikogo—była krótka i sucha odpowiedź.

— W takim razie interwencya moja może się na sondowaniu ograniczyć.

— Niech pan—zaczął pan Gudulski—od sondowania zacznij i wśród tego miarkuj. Panu to z łatwością przyjdzie z tytułu plenipotencji w majątku, którego pan Jan, dziś właściciel tytularny, zostanie kiedyś właścicielem rzeczywistym; będą go więc interesowały sprawy majątkowe, procesy...

— Phi, procesy!—podchwycił pan Ostępski;—mamy je wszystkie w worku.

— Zawsze—zaczęła pani Gudulska—będą one Jasia interesowały, i w opowiadaniu o nich z łatwością znajdzie się jakaś alluzya, jakaś insynuacya, coś takiego, co pozwoli dotknąć kwestyi rewersu.

— Pani dobrodziejko!—zawołał adwokat tonem żartobliwym,—składałam pani tekę swoją; właśnie taki planik działania, jaki pani dobrodziejka nasuwasz, układałem sobie w myśli. Zastosuję się do instrukcyi jej i postaram się powoli, ostrożnie, patrząc sobie pod nogi, zanim po kroku jednym krok drugi zrobię, dotrzeć do gruntu rzeczy. Postaram się, ale, ponieważ to materya delikatna i rzecz gruba, nie ośmielam się przeto na sukces liczyć. Usiłowaniem mojem będzie: *primo* sprawy nie zepsuć, *secundo* postawić ją na dobrej drodze, *tertio* dopiąć celu.

Dla informacyi adwokata Zbędownska opowiedziała o rozmowie, jaką w tej materyi miała

z Janem; oświadczyła, że w szlachetność syna wierzy, i na dowód wspomniała o czci, z jaką on jest dla hrabiego Aleksego.

— Ha! zrobię wszystko, co w mojej będzie mocy. Dziś jeszcze attencyę swoją panu Janowi złożę.

— O pół do ósmej czekam na pana z herbatą—rzekła Zbędowska.

Skłonił się, przyrzekł stawić się na minutę, odszedł i przyrzeczenia dotrzymał. Kamerdyner wprowadził go do gabinetu. Przy stole ani w salonie interesów się nie traktuje; zbędowska, która się do przepisów stosowała, i tej przestrzegała reguły. Pan Ostępski przeto do gabinetu wprowadzony został i, skoro wskazane mu miejsce zajął, niezwłocznie przystąpił do zdawania sprawy.

— Poczynilem tedy kroki wstępne i, jak mi się zdaje, na dobrej jesteśmy drodze. Pan Jan z żywym zajęciem rozpytywał o stan interesów; moje sprawozdanie widocznie go zadowalniało, tem bardziej, że, o ile zmiarkować mogłem, znajduje się w potrzebie.

Na tę wzmiankę pani Zbędowska usta ściśnęła i oczom nadała wyraz porcelanowy. Adwokat spostrzegł to i ciągnął dalej:

— Nie przypuszczam, ażeby się miał on dla komplianacyi okazać nieprzystępnym;

wszelako postawienie mu tej kwestyi wymaga wielkiej ostrożności, połączonej z impozycją. We względzie tym posłużył mi wypadek. Wszak jest pod ręką człowiek, co panu Janowi z pewnością zaimponuje.

— Kto?

— Hrabia Aleksy Homirski.

— Hrabia? — odezwała się Zbędowska z akcentem zdziwienia.

— Nie przyszedł zapewne jaśnie wielmożnej pani na myśl?

— Nic o nim nie wiem. Przed rokiem, jeżeli mnie pamięć nie zawodzi, pisała do mnie Aniela, siostra moja, z zawiadomieniem o powrocie męża. Skądże on panu na myśl przyszedł?

— Spotkałem się z nim przed chwilą.

— Gdzie?

— W Ogrodzie Botanicznym.

— Przyjechał?

— Mieszka tu. Był w ogrodzie na przechadzce w towarzystwie hrabianek, dwóch miłych panienek.

Zapanowało milczenie, milczenie tego rodzaju, na którym czuć się daje jakies niby ciężenie. Przerwała je Zbędowska.

— Dziwna rzecz—odezwała się,—Aniela się do mnie nie zgłosiła.

— Chora, bardzo chora—odrzekł adwokat.

Znów zapanowało milczenie, które tym razem przerwał pan Gudulski.

— Zdaniem pana, hrabia Aleksy nadaje się do załatwienia pomyślnie sprawy z panem Janem?

— Takie jest moje zdanie. Jaśnie wielmożna pani wspomniała o czci, z jaką pan Jan jest względem hrabiego.

— Tak, to dobra skazówka — zauważył pan Gudulski; — skorzystałby z niej należało.

Przy słowach tych pani Zbędowska z siedzenia powstała i tak się odezwała:

— Na dziś dosyć; odkładam sprawę do jutra. *La nuit porte conseil.*

Pocisnęła dzwonek i zwróciła się ku drzwiom, w których spotkał ją kamerdyner.

— Jaśnie pani! — rzekł.

— Podawać — odrzekła.

Przodem idąc, poprowadziła towarzystwo do sali jadalnej, gdzie przy cieniutką, śnieżnej białości bielizną okrytym, a suto zastawionym i w bukiety przystrojonym stole zajęła miejsce prezydyalne. Obok niej po jednej stronie usiadła córka jedna, po drugiej druga; adwokatowi wskazano miejsce przy pani Gudulskiej.

Przy stole rozmowa niekoniecznie się kleiła. Czuć było, że biorące w niej udział

osobistości miały umysł czem innem zaprzętnięty. Adwokat nawet w tym znajdował się wypadku. Domyślił się, że hrabina i pani Zbędowska, mimo, że w jednym mieszkały mieście, nie bywały u siebie; ale domyślić się nie mógł przyczyny, trzymającej w oddaleniu od siebie dwie siostry rodzone. Brał rzeczy po ludzku: szukał przyczyny w interesach majątkowych i, znając na wylot interesy pani Zbędowskiej, nie znajdował żadnej. Ta wzięła posag swój, ta wzięła swój; pretensyi jedna do drugiej rościć nie mogła najmniejszej. Tem mniej pretensya jakaś zachodzić mogła w stosunku do hrabiego. Więc coś zaszło? Z tym ćwiekiem w mózgu toczył rozmowę o Kijowie, o który go pani Gudulska zapytała, o cukrowarstwie, o którym pan Gudulski wspomniał; rozповідаł o dywidendach i burakach z akcentem sędziego, ferującego wyroki, albo korespondenta gazeciarskiego, stawiającego kwestye na gruncie pozytywnym.

Zbędowska w rozmowie udziału nie brała; w milczeniu spożywała podawane sobie na srebrnych półmiskach dary Boże i rozmyślała. Rozmyślanie przeszkadzało spożywaniu, ciężyło na apetycie, a wyszło z punktu listu hrabiny, listu, na który Zbędowska nie odpisała, jak

i na parę poprzednich. Co do tamtych jednak usprawiedliwienie aż nadto dostateczne, znajdowała w otrzymywaniu ich, kiedy za granicą bawiła; zresztą było to dawno, dzieśnięć, może dwanaście, może więcej lat temu. Co do tego zaś ostatniego, nawet go nie przeczytała. Z początkowych wierszy dowiedziała się o powrocie szwagra, i coś jej w czytaniu do końca przeszkodziło. Co?—nie pamięta, tyle mając na głowie kłopotów z domem, ze stosunkami, z wyjazdami, z przyjazdami. Ot i teraz, na wyjeździe, ten rewers spadł jej niby dachówka na głowę. Coś przeto podobnego przeszkodzić musiało czytaniu do końca listu od siostry i, co za tem idzie, odpisaniu na ten list nieszczęsny. Byłaby odpisała, pomimo że, ściśle rzecz biorąc, odpisywać nie było co. Cóż? czyż to wina, czy nawet uchybienie, zwłaszcza, że rzecz tyczy się siostry, względem której nie istnieją obowiązki, jakie etykieta wkłada? Siostrę, Anielę, Anielkę, ona (Zbęowska) kochała i kocha ją; przecie miała jeszcze i ma pretensję do hrabiego za zmarnowanie majątku. Obecnie zaś—„ach, ten rewers, hrabia, siostra...” Zbęowskiej, w przezroczy niby, poza bukietami, srebrami, porcelaną i kryształami, zapelniającemi stół, ukazywać się poczęła ofiara dla dobra córek. Siostra powinna była ją

odwiedzić pierwsza,—nie odwiedziła; hrabia powinien był jej wizytę złożyć,—nie złożył. Uchybili jej, uchybili srodze. Mimo to, ona z siebie ofiarę zrobi i do siostry pojedzie. Chwilkę zastanowiła się nad wynalezieniem pretekstu,—lecz przypomniała sobie, że hrabina chora; pretekst znalazł się sam.

— To dobrze — rzekła do siebie.

Przy pożegnaniu przemówiła do adwokata:

— Niech mi pan zostawi adres mieszkania hrabiostwa Homirskich.

— Kiedyż mi hrabiostwa adres nie jest znany — odpowiedział pan Ostępski, niski dostojnej juryzdatorce swojej składając ukłon.

III.

Pani Zbędowska była wogóle niewiastą miłosierną. Znano ją, jako taką. W spisach kwestarek corocznie figurowało jej nazwisko „z córką.“ Należała do grona dam, zwiedzających poddasza i sutereny i wlewających w nory nędzy ludzkiej zdroje pociechy. Uważała to za ofiarę, która jednak, lubo przykra, sprawiała jej zadowolenie, uczuwane z góry. Z góry bowiem liczyła na wdzięczność, z którą

łączyły się rozliczne korzyści—takie, jak zaspokojenie moralne, szacunek ludzki i zapewnienie sobie w życiu przyszłym wynagrodzenia kosztem stosunkowo niewielkim, zwłaszcza zaś bez narażania się na upokorzenie. Ofiarność ta nie ciążyła jej; owszem, doznawała na duszy lekkości, która jej pomagała wdzierać się przy pomocy lokaja po stromych, ślizkich i brudnych schodach, lub zstępować w podziemia, gdzie ją czekały błogosławieństwa i przyrzeczenia siania przed tron Przedwiecznego modłów strzelistych o królestwo niebieskie dla niej. Kosztowało ją to niewiele, a przynosiło wiele, przytem wchodziło do tych przepisów, wedle których regulowała życie i zajęcia swoje, ubogim się udzielając, nic sobie nie ujmując i zasługując na uznanie ze strony tych zwłaszcza sfer, których uznanie waży.

Nagle przed oczami jej stanęła ofiara innej kategorii. Powiedziała sobie, że tę ofiarę spełni, ale nie powiedziała tego nikomu więcej.

Po odejściu adwokata przeszła do saloniku pomarańczowego, służącego do wypoczywania po obiedzie i wieszery. W zawiązanej (po francusku) pomiędzy córkami a zięciem rozmowie udziału nie brała. Rozmowa snuła się około uznanej potrzeby pośrednictwa hrabiego.

Illustrowały ją poglądy, charakteryzujące osobistość dawnego pana Szarek i innych kluczków paru. Pan Gudulski zmodyfikował o nim zdanie. Dawniej miał go za narwańca, kwalifikującego się do czubków i czyniącego mało że nie zakałę sferze społecznej, w szeregach której się urodził. Obecnie nazywał go „wyznawcą starej szkoły,” „romantykiem,” „idealistą,” przypuszczał nawet, że się wyleczyć po trosze musiał.

— Jeżeli się wyleczył zupełnie — powiedział, — to szkodaby było: znikłby z powierzchni ziemi bodaj czy nie ostatni zabytek histeryków dawniejszych. A nadałby się nam, jako taki; posiadali oni swadę w wypowiedaniu wielkim głosem wielkich niedorzeczności. Tem imponowali. Ponieważ zaś o zaimponowanie Janowi chodzi, więcby się przydało, ażeby hrabia Aleksy wielkim głosem romantycznym do Jana w sprawie rewersów przemówił.

— Możeby to na złe obrócił — zauważyła pani Gudulska.

— Janowiby uszy popuchły. W ten sposóbby się chyba złe wyraziło.

Pani Zbędownska, zdaje się, nie słuchała dowcipów zięcia. Oblicze jej wyrażało przerabianie w głowie myśli, co jej mózg ugniatała. Zamierzona i postanowiona już bytność

u siostry wydawała się jej, bądź-co-bądź, upokorzeniem. Nieodpowiadanie hrabinie na listy usprawiedliwiała, a za usprawiedliwienie służyła jej wyżyna stanowiska, jakie zajmowała. Jej, takiej dostojnej, takiej poważnej, takiej bogatej, posiadającej takie salony i przyjmującej dostojników, miałożby być nie wolno nieodpisać na list jeden, drugi, hrabinie podupadłej, i to jak podupadłej? Gdyby był hrabia Aleksy majątek przejadł, przepił, przejeździł, przepuścił w półświatku, przegrał w karty—zrobiłby źle, aleby z szeregów nie wypadł. W takim razie hrabina prawaby swoje zachowała. Zachowałyby jeszcze prawa i w razie takim, gdyby się była męża zaparła. Nie zdobyła się jednak na tyle mocy ducha, straciła więc prawa — i wobec tego Zbędowska w sumieniu własnem nic sobie do wyrzucenia nie ma, w oczach zaś ludzkich, w oczach „towarzystwa,” jest zupełnie usprawiedliwiona.

Usprawiedliwiła się, mimo to strapienia się nie pozbyła.

„Pojadę, pojadę—powtarzała sobie w duchu. — Anielka chora. Powiem jej, żem się o jej chorobie przypadkiem dowiedziała i natychmiast do niej pośpieszyłam. Obok niej przy łóżku usiądę, nachylę się nad nią, ucałuję ją i będę rozpytywała. Ma dzieci, córeczki... przygarne je do siebie. Ma może syna... dla

syna się coś znajdzie, zajmę się nim. Biedni oni.“

Rozrzewnienie ją opanowało. Rozrzewniła się atoli nie tyle dołą siostry i jej dzieci, co własną cnotą, posuniętą do tego stopnia, iż pojedzie do niej, nie zważając na uchybienia, jakich z jej i jej męża strony doznała. Nawet hrabinie nie wymówi tego.

„Anielko, dowiedziałam się, żeś chora, i natychmiast do ciebie pośpieszyłam.“

Tak myślała, podczas gdy córki i zięć w dowcipy się na rachunek hrabiego bawili. Bawili się tak długo, póki Zbędowska hasła do rozejścia się nie dała. Oddając jej dobranoc, pan Gudulski wystosował do niej zapytanie:

— Na którą godzinę mama Ostępskiego zamówiła?

— Nie zamawiałam go wcale.

— Trzeba się spodziewać, że około jedenastej nadejdzie.

— Zapewne.

Wyraz ten rzuciła i odeszła.

Położywszy się do łóżka, długo zasnąć nie mogła. Sen od powiek odpędzało jej rozrzewnienie, które ją w saloniku opanowało. Cofnęła się myślą do lat ubiegłych, do wesela siostry, o lat dziesięć od niej młodszej. Siostra

szła za mąż z jej domu; ona jej matkowała. Szła tak świetnie, za młodego człowieka wielkiego imienia, wielkiej fortuny i wielkich nadziei. Cóż to był za moment uroczysty! Jaka uciecha, jaka duma przejmowała rodzinę całą, szczególnie zaś ją, siostrę, której to było dziełem, która przez to dzieło podniosła splendor rodziny Kalinowskich i rodziny Zbędownskich! Bo Kalinowscy zaliczali się do szlachty pospolitej; Zbędownscy zaś z szaraczków wyszli i w osobie jej męża dopiero, dzięki podradom, spółkom i przedsiębiorstwom pomyslnym, jakich się on chwycił, ponad tłum się wzniesli, ale od warstwy z dynastów złożonej trzymani byli z daleka. Ona ich do tej warstwy zbliżyła; ona ich w nią wkluczyła za pośrednictwem siostry, wydanej przez się za członka rodu rzeczywiście wielkiego, za potomka senatorów rzeczywistych, za dynastę niepodejrzanego. Ona to sprawiła.

Stała jej w oczach chwila, kiedy hrabia Aleksy po raz pierwszy z siostrą jej się zeszedł. Przypomnił się jej szereg dni następnych, tych dni, w których dwa serca młode uskrzydlały się niejako i leciały jedno ku drugiemu. Anielka taka była piękna, a tak wypiękniała jeszcze, kiedy ją miłość ogniem przejęła!

Przesuwało się to wszystko we wspomnieniach Zbędowskiej i zasnąć jej przeszkadzało. Zdrzemnęła się nad ranem, obudziła się i rozmyślała dalej, ale rozmyślanie z innego wyprowadziła punktu, mianowicie z punktu pytania: jak też hrabiostwo w teraźniejszym ich mieszkaniu znajdzie? Czy ich otacza nędza, ta szczerą nędza, jaka na poddaszach i w suterrenach panuje? Chyba że nie. Wszak pozostały im Lipowce, dające dochodu dwa do trzech tysięcy rubli. Lipowce jednak muszą być zadłużone; a gdyby zadłużonemi nie były, to cóż znaczy dochód taki mizerny? Co znaczy taki dochód dla takich ludzi? Musi ich przeto przyciskać niedostatek.

W tym punkcie wsunęło się jej do myśli porównanie dochodu trzecztyśięcznego z dochodem siedmdziesiątyśięcznym. Porównanie to zaniepokoiło ją, pociągnęło bowiem za sobą rodzaj wniosku, mówiącego, iżby temu zaradzić jakoś należało. Zaradzić—jak?... W umyśle Zbędowskiej zrobiło się mętno. Rady znaleźć nie umiała, wsunął się jej bowiem do głowy pomysł, który sama niemożliwym do urzeczywistnienia uznawała—pomysł założenia towarzystwa dobroczynności ze specjalnem zadaniem zapewniania dochodu przyzwoitego podupadłym wielkim rodom. Sama-

by się obowiązała na podobną instytucję płacić sto do dwustu rubli rocznie. Ale ani myśleć o czemś podobnem! Zmateryalizowanie świata stoi temu na przeszkodzie. Nikt piękności tego pomysłu nie zrozumie nawet.

Nadeszła pora wstawania. Pani Zbędownska zadzwoniła na pannę służącą, która, wraz z wodą do płukania ust, wniosła na tacy srebrnej list w kopercie grubej.

Zbędownska list wzięła, kopertę obejrzała i, nie znalazłszy na niej marek ani znaków pocztowych, zapytała:

— Co to?

— To, proszę jasnej pani, posłaniec przyniósł i pyta, czy ma na odpowiedź zaczekać.

Na ćwiartce wielkiego formatu, zapisanej na pierwszej stronie do połowy, figurował u spodu podpis: „Karol Ostępski.“ Pisanie szerokie dawało się z łatwością czytać. Zbędownska przebiegła je oczami i odezwała się do panny służącej:

— Odpowiedzi nie będzie żadnej.

Adwokat przysyłał adres hrabiego Aleksęgo, wyjęty z biura adresowego; zawiadamił przytem, że dostał od pana Jana wezwanie dla pomówienia o interesach, a zarazem zaproszenie na obiadek, dlatego będzie mógł „jaśnie wielmożnej pani“ służyć wieczorem

dopiero. Zbédowska, list odczytawszy, kazała sobie ubierać w odzież poranną.

Po chwili zasiadła do śniadania z panną Haliną.

— Spała mama?—zapytała córka.

— Niewiele i niedobrze—była odpowiedź.

— I mnie się nie spało.

Spożywanie śniadania zwykłym poszło trybem; gdy się zaś skończyło, Zbédowska odezwała się do córki:

— O jedenastej wyjedziemy.

— Co mam włożyć? — zapytała panna Halina.

— Nic strojnego.

Dała rozkaz przygotowania na jedenastą karety i następnie ochmistrzyni, która w kredensie na wezwanie czekała, dawała dyspozycje, tyczące się posiłków w ciągu dnia i porządków domowych. Ochmistrzyni prawila o taniości jaj i obfitości truskawek, skarżyła się na drogość masła i rzadkość zwierzyny i t. p. Konferencya ta zabrała czasu sporo, a wykazała biegłość Zbédowskiej w prowadzeniu domu, jako też zapobiegliwość jej we względzie porządkowym. Przewidywała i decydowała z tą pewnością, która znamionuje doświadczoną i rządłą niewiastę.

O jedenastej była do wyjazdu gotowa. Wychodząc z gotowalni, zeszła się z córką. Kareta czekała. Do karety wsiadając, pani Zbędowska stangretowi rzuciła adres, pannie Halinie nieznany.

— Do kogo, mamó, jedziemy?—zapytała, zajmąwszy obok matki miejsce.

— Do twojej ciotki.

— Do hrabiny Homirskiej?

Na to ostatnie zapytanie odpowiedzi nie było. Zresztą ton, jaki matka wyrzeczonym przez siebie wyrazom nadała, za odpowiedź starczył.

Czuć się w nich dawał przycisk, na wyrazie zwłaszcza „ciotka,“ czuć oraz dawało się podrażnienie nerwowe. O podrażnieniu świadczył flakonik z solami rzeźwiącemi, który Zbędowska często do nosa podnosiła, a który zabierała ze sobą, ile razy miłosierdzie na poddaszach i w suterrenach praktykowała.

Pannie Halinie sytuacja niekoniecznie się jasno przedstawiła; mianowicie zagadkowem wydało się jej przyjęcie, jakie matkę i ją u hrabiostwa spotka. Co do hrabiego, przypomniały się jej epitety, do niego stosowane: narwaniec, idealista, romantyk. Podobne charaktery znała tylko z desek teatralnych. O hrabinie mało co wiedziała. Niepokoila

więc ją prawie zagadka, ku rozwiązaniu której podążała w karecie, z lekka się kołysząc na aksamitem obciążnionych materacach.

— Co nas tam spotka?

W ten sposób sformułowała się w umyśle panny Haliny zagadka, do rozwiązania której z góry brakło jej danych. Nie wiedziała o niczem, co się do hrabiostwa odnosiło, zwłaszcza zaś o tem, co sięgało czasów najbliższych, nie dalszych jak dzień wczorajszy. Wiedziała jedno, że adwokat Ostępski spotkał się z hrabią przypadkiem. Spotkanie to atoli nie mogło służyć za wskazówkę inną, jak tę tylko, że hrabia z panienkami, po odejściu adwokata, posiedział jeszcze trochę w ogrodzie i wrócił do siebie.

Mogłoby się stać inaczej, ale tak się w rzeczy samej stało.

Hrabia wrócił z panienkami. Gdy się przy schodach, prowadzących na trzecie piętro, znalazł, dziewczęta przy wchodzeniu chciały ojcu towarzyszyć, ale nie pozwolił na to.

— Idźcie przodem, ja się dźwigać muszę powoli i wypoczywać razy parę. Idźcie, a przez kuchnię wejdźcie i hałasu nie róbcie, moje dziatki!

Panienki przyśpieszonym ruszyły krokiem. Hrabia włókł się, zadychiwał, stawał, wypo-

czywał, wreszcie trzy kondygnacye schodów zmógł i doszedł. Kucharka na niego we drzwiach otwartych czekała.

— Był doktor — oznajmiła.

— Cóż pani?...

— Bogu dzięki—odpowiedziała.

— Śpi?...

— Obudziła się... ta się pytała o pana i o panienki.

— Panienki?...

— Musi być... u pani...

Hrabia próg przestąpił; Olesia tonem upomnienia dodała:

— Kolacya gotowa... Do stołu nakryto...

— Wody mi podaj — odrzekł — i pomóż mi, moja Olesiu, buty zzuć... Och!... — westchnął.

Kucharka żywo się około nóg jego zawięła, buty mu ściągnęła, pantofle włożyła i raz jeszcze upomniała, że „do stołu nakryto.“

Hrabia, posiedziawszy chwilę, wstał i do pokoju żony się udał.

W pokoju, w kącie, paliła się lampka nocna; kotara była odsłonięta; przy łóżku sformowała się grupa, złożona z panny służącej, dwóch panienek i z wycieńczonej chorobą kobiety, o poduszki opartej.

Hrabina w półświetle nie przedstawiała się tak mizernie, jak wyglądała w istocie. Gdy hrabia wszedł, rękę podniosła ku niemu, wyciągnęła i słabym przemówiła głosem:

— Aleksy...

Hrabia rękę jej do ust sobie przycisnął.

— Usiądź — wyszeptala.

Dziewczęta krzesło ojcu podsunęły. Gdy hrabia miejsce zajął:

— Chcę was widzieć — odezwała się. — Światła!...

Panna Teresa lampkę z kąta wzięła i tak ją postawiła, ażeby blask oczu chorej nie raził.

W świetle lampy uwydatniły się rysy jej oblicza, pozbawionego ciała i pokrytego bladeścią, w sinawość wpadającą. Policzki zapadłe, oczy wpadłe, usta pomarszczone, nos zaostrzony, nie pozwalały domyślać się, że to widmo kobiety było niegdyś pięknnością, słynną na całą okolicę.

— Chcę was widzieć...—powtórzyła.

Przygasłem okiem wodziła po obecnych, zatrzymując wejrzenie na obliczach wszystkich kolejno, zaczawszy od Frani, dziewczynki najmłodszej. Wejrzenia jej z głębi oczodołów jaśniały słodyczą i miłością. Po cichu, jakby dla siebie samej, wymawiała imiona:

— Frania... Mańka... Terenia... Aleksy...

W męża wpatrzyła się, głowę pochwiała, westchnęła i rzekła:

— Gdybyś ty był zdrów...

Po chwili dodała:

— Tereniu... ojca zdrowie...

Hrabia chciał coś przemówić—nie mógł. Trzymając w dłoni rękę żony, czuł szkielet palców, skórą obciągniony. Wreszcie na przemówienie się zdobył:

— Anielko... życie moje...

Wyrazom jego towarzyszył świst z piersi.

W tej chwili zainterweniowała hrabianka Teresa.

— Mamo — rzekła tonem rozkazu prawie,—niech się mama położy. Tatku, kolacya gotowa. Już dziewiąta blisko... Mańka i Franja o ósmej rano w szkole być muszą.

Spokojnie, półgłosem, lecz z mocą wymówione wyrazy ten sprawiły efekt, że zapanało milczenie. Milczenie przerwała chora.

— Idźcie!...—rzekła, usiłując słowu swemu nadać ton i moc rozkazu.— Idźcie!... — powtórzyła.

Panna Teresa wyprowadziła, wypchnęła raczej siostry; ojca pod ramię ujęła, wstać mu pomogła i, puszczając go przy drzwiach, odezwała się:

— Wnet tam i ja przyjdę. Mamie lepiej.

Łatwo domyślić się, że interwencya jej miała na celu zneutralizowanie wzruszenia, które przejmować zaczęło ojca i matkę, a jednakowo było dla jednego i drugiego szkolne.

Wyszła w końcu i sama, ale pierwej matkę ułożyła, okryła i Olesię przywołała. Przy stole pojawiła się z półmiskiem w ręku.

— Mamę sen pokrzepił — rzekła, półmisek stawiając i sama miejsce zajmując. — Trzeba jej wzruszeń oszczędzać.

Przy świetle rysy jej oblicza i kształty postaci ukazały się w całej prawdzie. Kształtom nic do zarzucenia nie było. Z pod szarej, skromnej, osłaniającej biust i postawę sukienki uwydatniały się klasyczne rysy i zaokrąglenia. Do uwydatnienia ich zbyt czynnymi były sztuczne dodatki, które stanowią istotne zadanie mody, polegające na osłanianiu braków i odsłanianiu uroków. Problem ten, nad którego rozwiązaniem praca w ludzkości trwa od wieków i pochłania obliczyć się niedające nakłady, rozwiązywał się na niej sam przez się przez to, że nie dawał się dostrzedz brak najmniejszy. Nieobecność braków postaci akcentowały rysy oblicza, znamionujące rasowość, przebijającą się mianowicie w wyrazie, na jaki się całość złożyła, dobrotliwym

i imponującym zarazem, imponującym każącą się domyślać stanowczością, która szacunek wzbudza i do postrachu nakłania. Biło od niej to, co, w braku innego określenia, nazywa się powagą królewską. W szarej sukience, z półmiskiem w ręku, nakładając ojcu i si strom na talerze, panna Teresa wyglądała na królową w przebraniu.

Hrabia do jedzenia brał się bez zapału.

— Niech-no tatko je — upomniała. — Nie nałożyłam tatkowi za wiele... Byliście państwo w ogrodzie. I cóż?

— Przeszliśmy się — odpowiedział hrabia.

— Ludzi było dużo?

— O, tak. Pogoda ściągnęła spacerujących sporo.

— Spotkaliście kogo ze znajomych?

Hrabia miał w ustach wyraz: „nikogo,“ lecz Mania ojca uprzedziła i odpowiedziała:

— Przysiadł się do nas dawny tatka znajomy.

— A... — odezwał się hrabia.

— Przysiadł się — ciągnęła panienska — i dużo mówił o cioci Zbędownskiej.

— Którąśmy spotkali, do ogrodu idąc — dodała Frania.

Ojciec na nią z wyrazem zapytania w oczach spojrział i zapytał:

— Spotkaliśmy?...

— W karecie.

— Znasz karetę cioci?

— Szłyśmy kiedyś z Fruzią Rotenówną i ona nam ją pokazała— tłumaczyła się dziewczynka z zakłopotaniem niejakiem. — Fruzi matka kapelusze pani Zbédowskiej robi.

— Któż to był ten dawny znajomy?—zapytała panna Teresa.

— Raz czy razy parę go widziałem... zapomniałem o nim. Pokazał się, dużo obiecywał i znikł. Obecnie, jak powiadał, interesy pani Zbédowskiej sprawuje.

— Bardzo ciocię chwalił — wtrąciła Mańka.

— Unosił się nad nią—dodała Frania.

— I nad panną Haliną i nad panią Gulduską.

— Nasze siostry cioteczno-rodzone.

Dziewczęta, podpowiadając jedna drugiej, prawily o pani Zbédowskiej i byłyby zapewne powtórzyły, co o niej od Fruzi Rotenówny słyszały, gdyby się we drzwiach nie pokazała Olesia i nie rzuciła wyrazów:

— A proszę-no!

Na wezwanie to panna Teresa bez pośpiechu wstała i odeszła.

Po odejściu jej nastąpiła przy stole cisza. Hrabia widelec i nóż na talerzu złożył, ku drzwiom oczy zwrócił; w oczach mu się malowało oczekiwanie niespokojne. Upłynęło minut kilka. Panna Teresa powróciła.

— Mama znów usypia — rzekła, siadając. — Ale cóż to?... tatko nie je... Proszę-no jeść... Tak nie można. Co znów?... Czy i tatko położyć się chce?

— Moje dziecię...—odparł hrabia.

— Nie życzyłabym sobie tego.

— Nie życzę sobie i ja. Ale... ten sen...

— Czyż lekarz nie mówił, że sen mamę pokrzepia?

Hrabia nic nie odpowiedział na to. Ujął widelec i nóż w ręce i spożywać począł dary Boże z tem zacięciem, z jakim to czyni człowiek apetytu pozbawiony.

Wieczera, z jednego składająca się dania, zakończyła się prędko. Dzieci po wieczerzy ojca w rękę całowały. Dopelniwszy tego, w krajach cywilizowanych nieznanego obowiązku, panna Teresa w te do hrabiego przemówiła słowa:

— Olesia tatkowi w salonie pościele i tatko się wcześniej położy.

— Do czegoż te przenosiny? — zaprotestował.

— Kaszel...— odrzekła z przyciskiem znaczącym.

Racya aż nadto była słuszna. Hrabia uznanie milczeniem wyraził. Przeszedł do pokoju córek, którym pomagał w odrabianiu zadań szkolnych; następnie w salonie, przy lampie, z książką, której nie czytał, doczekał się dziesiątej. O dziesiątej pojawiła się panna Teresa.

— Tatko się rozbiera... to dobrze — rzekła, przechodząc pośpiesznie.

Z za drzwi, z pokoju panińskiego, słyszeć się dał jej głos prędko i ostry:

— W łóżku czytać nie wolno! Spać!... spać!... O siódmej wstać macie... pamiętajcie o tem!

Odpowiadały jej coś głosiki cienkie, lecz ona odpowiedzi nie słuchała, pojawiła się bowiem w salonie z powrotem i leżącemu w zaimprovizowanym przez Olesię łóżku ojcu dobranoc oddawała.

— A ty?... — zagabnął hrabia.

— Ja przy mamie w fotelu sypiam wybornie.

— Mama śpi?

— Drzemie.

— Sen ją pokrzepia, powiadasz?

— Pokrzepia—odparła, lecz tonem takim, jakby w wyrazie tym istniała ciężka zapora jakaś, którą z wysiłkiem usunęła.

Wysiłku hrabia nie odczuł.

— Co mówił lekarz o śnie mamy?

— Mówił, że jest następstwem naturalnem. Ale—zaczęła—niechże się i tatko snem pokrzepi. Tatkowi pokrzepienie potrzebne. Proszę spać spokojnie. Czy posłanie wygodne?

— O... wygodne.

— Czy mogę lampę zgasić?

— Sam ją zgaszę.

— Ale niezadługo, mój tatku, mój tatuńciu!

Przylgnęła ustami do chudej ojcowskiej ręki, w objęciu ojca dłuższą pozostała chwilę, i odchodząc, miała w oczach łzy, które za drzwiami otarła.

Panna Teresa знаła snu matczynego znaczenie. Lekarz go jej w kilku wytłómaczył słowach:

— Katastrofa blizka.

Wyraził wątpienie, ażeby chora noc przeżyć mogła.

Była więc panna Teresa uprzedzona. Chodziło jej o to, ażeby mający spaść cios pozwolił ojcu noc spędzić spokojnie. O to jej tylko w tym momencie chodziło.

Wsunęła się na palcach do pokoju matczynego i, przy łóżku stanąwszy, długo się w oblicze chorej wpatrywała.

Hrabina znajdowała się w stanie półuspienia. Powieki powoli zamykała i powoli otwierała, pierś jej podnosiła się i opadała tak leciutko, że się wydawać mogło, jakby wcale nie oddychała. Widocznem było, że z niej życie uchodzi, uchodzi tak cicho, jak obłoczek dymu, niknącego w powietrzu.

Panna Teresa, na krześle usiadłszy, palce sobie na kolanach splotła. Serce jej ścisnęło, ugniatał smutek, pierś rozsadzał żal. Chciało się jej płakać, zawodzić głośno, jak zawodzą wieśniaczki po stracie istoty ukochanej. Ona to słyszała w Lipowcach i ten sposób objawiania żalu miała za naturalny i konieczny. Nie przypuszczała nawet, ażeby mogło być inaczej; nie przypuszczała, ażeby wydzierające się z wnętrza krzyki powściągać się i tłumić dały siłą woli. O siłę tę siebie nie podejrzewała.

I oto znalazła ją w sobie.

Siedząc obok konającej, snuła w głowie myśli, z którychby sprawy zdać sobie nie umiała. Ogniskowały się one około dwóch drogich jej istot: około matki i ojca. Z matkąby się chętnie zamieniła, za życie i zdrowie ojca życie i zdrowie swojeby dała. Uznawała, że są to rzeczy niemożliwe, myśl jej przeto szcze-

gólnie się ku ojcu zwracała i na nim się zatrzymywała. A myśl podszywało uczucie, uczucie córki, siostry, matki, skupiające się w sercu, niby w ognisku, zasyconem pojęciem dobra i piękna, których ojciec był w jej oczach wyobrazicielem wiernym. Kochała go całą uczucia potęgą i stawiała się wobec niego, jak kapłanka znicza, obowiązana czuwać nad zarzewiem ognia świętego. Ku niemu więc zwracała myśli, czuwając nad matką, goniącą tchu ostatkiem. Siedziała cicho, w sobie skupiona, na usługi chorej w każdym oka mgnieniu gotowa, snu potrzeby nieodczuwająca, zadumana i z dumania swego sprawy zdać niezdolna.

Chora leżała spokojnie.

Około północy z piersi jej wydarło się głucho chrząstanie, po którym nastąpiło jęknienie. Nim się do niej córka zbliżyła, nagle zerwała się, usiadła, ręce wyciągnęła i przerażonym głosem zawołała:

— Puść mnie!... puść!...

— Mamo! — przemówiła panna Teresa, za ręce ją ujmując.

— Na cmentarz mię wlecze — odparła chora.

Po słowach tych na poduszki opadła, wyciągnęła się i głęboko odetchnęła.

— Mamo!

Na to wołanie nie było już odpowiedzi. Z odetchnieniem wyszła dusza, pozostawiając ciało chorobą zniszczone.

W pierwszej chwili najpierwszy popęd parł pannę Teresę do wydania okrzyku, zwiastującego spadnięcie ciosu.

Przypomniała sobie jednak ojca i powstrzymała się. Krzyk zastąpiła płaczem, wśród którego na myśl jej przyszło Olesię przywołać. I tego jednak zaniechała. Płacząc, układała zwłoki matczyne, obciągała bieliznę, złożyła na piersi ręce, nogi i ręce nieboszczki pocałunkami okrywała, osłoniła ją, i przy łóżku ukląkszy, Anioł Pański zmówiła. Wszystko to czyniła w cichości, mając na uwadze sen ojca.

— Biedny on!—w myśli sobie powtarzała.

Troska jej cała zwróciła się ku temu, ażeby wiadomość o śmierci matki snu ojcu nie przerwała.

— Wyspany łatwiej cios zniesie.

Folgując więc płaczowi, tłumiała wybuchy; krzątając się, stąpała po cichu; gdy zaś uważała, że zrobiła wszystko, co do zrobienia było, na przystawionem do łóżka matki krzesle usiadła i głowę obok nóg matczynych złożyła.

W tem położeniu zastał ją ranek uśpioną. Matka spała snem wiecznym; córka u nóg jej spała snem doczesnym.

Porankowa jasność obudziła ją. Zerwała się, przed zeszywniałemi już zwłokami stanęła, płacz, który gwałtem się do ócz jej i do piersi parł, stłumiła w sobie i wyszła w celu przyrządzenia dla sióstr i ojca śniadania.

IV.

Równy o jedenastej kareta ruszyła z podsieni domu, w którym mieszkała pani Zbędownska; w kwadrans później zatrzymała się przed domem, w którym mieszkali hrabiostwo Homirscy. Lokaj drzwiczki otworzył; pani Zbędownska i panna Halina wysiadły. Zapytany odźwierny, zdjąwszy na widok wielkiej pani, od której jaśniało i pachniało, czapkę z głowy, objaśnił, że:

— Pan Homirski, może on i hrabia, mieszka w oficynie na prawo, na trzeciem piętrze, drzwi na lewo.

O tyle się przytem okazał uprzejmym, że z odkrytą głową przeprowadził panie przez podwórze i wskazał drzwi wchodowe.

— Ot tu, proszę jaśnie pani.

Rozpoczął się pochód powolny z dołu do góry. Przodem posuwała się pani Zbędownska, za nią panna Halina, a za nią lokaj. Panie

szły powoli, roniąc woń, która się zapewne nigdy w tej klatce schodowej nie rozchodziła. Osoby, co je spotykały, usuwały się im z uszanowaniem, zdziwione dystynkcyą, jaka się z ich wydzielala postaci.

Pani Zbędowska przystawała, wypoczywała i sole wachała. Minęła piętro jedno, minęła drugie, na trzeciem się zatrzymała i widać po niej było, jakby się zawahała, czy ma, czy nie ma za dzwonek pociągnąć? Nie było to jednak wahanie się, ale skupienie ducha przed dokonaniem ofiary. Skinęła na lokaja. Ten za dzwonek pociągnął. Po chwili drzwi się otworzyły; we drzwiach stanęła kobieta krzepka, niemłoda, w chustce na głowie zawiązanej, w spódnicy podkasanej i bez obuwia na nogach.

— Hrabia Homirski?...

Kobieta nie od razu na zapytanie odpowiedziała. Musiała pierwej ochłonąć ze zdziwienia, jakie ją przejęło na widok wielkich pań, pachnących i delikatnych. Fartuchem sobie usta obtarła i odrzekła:

— A jakże... Proszę...

Panie weszły do sieni. Z sieni drzwi prowadziły do salonu. Drzwi były otwarte. Pani Zbędowska kroków kilka postąpiła, na progu stanęła i... osłupiała.

Na środku pokoju leżał trup.

— Czyj?...— stanęło jej w myśli pytanie.

Ani przypuszczała, ażeby to miały być zwłoki siostry. Nie przypuszczała przedewszystkiem dlatego, że nie wyobrażała sobie podobnie skromnego katafalku dla hrabiny Homirskiej. Okryty dywanem tapczan, obok tapczanu po dwie z każdej strony świece, w głowach krzyż; wśród tego obstawienia martwe ciało w ciemnej wełnianej sukni, z rękami na piersi złożonemi, chude, blade, nadmiernie wydłużone i jakieś obce. Rysy nie przypominały pani Zbędowskiej nikogo. Nos długi, broda ostra, usta białe, policzki wpadłe, skronie wpadłe, na czole skóra naciągnięta, jakby to była nie skóra, ale kość czaszki — obraz śmierci w grozie całej. Przy ciele nikogo.

Zbędowska w osłupieniu patrzyła, władza myślenia zamarła w niej na chwilę i, gdy ożyła, sformułowała się w umyśle jej naprzód pretensya do siebie samej: „Otożem się wybrała!...“ następnie pretensya do siostry: „Pięknie mnie Anielka przyjęła!“

Chciała się cofnąć i odejść. Zmiarkowała się jednak.

„Coś się niezwykłego stać musiało.“ Obudziła się w niej ciekawość, dla zaspokojenia której odwróciła się i ujrzała za sobą córkę,

z przerażenia bladą, i Olesię, fartuch przy oczach trzymającą.

— Co to?... — zapytała służącej.

Zanim zapytana na odpowiedź zdobyć się zdołała, we drzwiach wchodowych pojawiły się dwie panienki z teczkami szkolnymi w rękach, dwie prześliczne dziewczeczki, których oblicza wyrażały najwyższe zdziwienie.

Zadziwił je na wstępie widok lokaja w liberyi, stojącego przed drzwiami; zadziwił je następnie widok dwóch dam dystyngowanych, stojących przed progiem saloniku. Nie spodziewały się niczego podobnego, mimo że na ulicy, przed kamienicą, widziały pojazd pani Zbędowskiej. Na ulicy zapytywała jedna drugiej, co to znaczy, i tak jedna jak druga domyślały się, że to być musi kareta nie ich ciotki, ale czyjaś do znanego im z widzenia pojazdu bardzo podobna. Spotkawszy lokaja, zastawszy drzwi od apartamentu otwarte i w kurytarzyku damy, postawą wielki świat zdradzające, nie wiedziały, co o tem wszystkiem myśleć, tem bardziej, że nie było przy tem ani siostry, ani ojca. Stały i powodziły szeroko otwartemi oczami.

O uszy ich uderzył cichy płacz kucharki. Olesia, łkanie w sobie tłumiąc, odezwała się:

— Bidne wy... bidne siroty!...

Wyrazy te były odpowiedzią na zapytanie pani Zbędownskiej.

— To ona... moja siostra!... to Anielki zwłoki!—w myśli jej strzeliło.

Równocześnie dziewczynkom trup matki w oczy się rzucił. Na oblicza ich wybiegł wyraz bólesci, który się w źrenicach zogniskował i na ustach zadrzał. Usta się złożyły do okrzyku.

— Cicho!... cicho!...—z tłumionym przyciskiem zawołała Olesia. — Cicho, na Boga!... pan!... pan!...

Mówiąc to, za ręce je ujęła i do kuchni za sobą pociągnęła.

Panie Zbędownskie pozostały same.

Matce rzecz się wyjaśniła. Skinęła na pannę Halinę, kroków kilka postąpiła, przed katafalkiem uklękła i w modlitwie się pogrążyła. Klęcząc, dwie te panie odmawiały Anioł Pański za duszę zmarłej. Modliły się i, oswoiwszy słuch ze względłą ciszą, jaka w apartamencie panowała, rozróżniały dochodzący z jednej strony odgłos płaczu głuszonego, z drugiej odgłos rozmowy urywanej. Płacz miał akcent młodociany, dziecinny prawie; rozmowa, po tonie miarkując, toczyła się pomiędzy osobami dojrzałemi płci odmiennej. Niekiedy odzywał się mężczyzna, niekiedy kobieta. Ta

ostatnia od czasu do czasu głos podnosiła z akcentem raz prośby, znów perswazyi.

Upłynęło chwil kilka. Panie Zbędownskie modlitwy skończyły, z klęczek wstały; w tym momencie skrzypnęły drzwi boczne i do saloniku weszła hrabianka Teresa.

Ani ona nie wiedziała, kto są dwie panie, ani one nie wiedziały, kto ona.

Przedstawienie się wzajemne było koniecznym. Było ono dla pani Zbędownskiej nieco kłopotliwe. Zaimponowała jej postawa młodej kobiety, postawa, poszanowanie nakazująca, nieodpowiadająca jednak odzieży, jaką nieznojoma miała na sobie. Szara, skromna sukienka, ciemny paltocik i fartuszek świadczyły jeżeli nie o roli służebnej, to o przynależności do grona domowników; nieobecność zaś oznak żalobnych usuwała przypuszczenie, że stosunek jej do nieboszczki jest stosunkiem blizkiej krewnej, tem mniej córki rodzonej. Weszła, zatrzymała się; zdziwienie, złęczone z wyrazem wdzięczności, wybiło się na jej obliczu na widok osób obcych, modlęcych się przy zwłokach jej matki; skłoniła się im lekko i do przeciwcległych usunęła się drzwi.

Pani Zbędownska i panna Halina nie wiedziały, co dalej ze sobą począc. Odejść, gdy się przyszło — nie wypadalo. Nie wypadalo

oraz zaznaczyć bytności swojej za pomocą bile-
tów wizytowych, czyniąc przez to zadość for-
mie, należącej do reguł etykiety, lecz niesto-
sownej w odniesieniu do stosunku, jaki zacho-
dził pomiędzy nią a hrabiostwem. Pozostawa-
ło jedno: czekać, aż się kto zjawi, z kim się roz-
mówić będzie można. Czekać nie było gdzie-
indziej, tylko w salonie.

Panie Zbędownskie zastosowały się do tej
konieczności. Usiadły pod ścianą. Zbędownska
flakonik wachała; pannie Halinie słabo się ro-
biło. W towarzystwie trupa nie czuły się do-
brze; nie było jednak sposobu od towarzystwa
tego wyswobodzić się od razu.

Czekanie nie ciągnęło się zbyt długo.

Ta sama młoda kobieta, co przed kilku
minutami przez pokój przeszła, ukazała się
znów, ale nie sama. Towarzyszyły jej dwie
panienki. Weszły zapłakane, uklękły i w płacz
uderzyły.

Młoda kobieta, która wraz z niemi uklę-
kła, upominającym przemówiła do nich tonem:

— Cicho!... cicho!... na tatka uważać mu-
simy... Zmówcie Anioł Pański...

Dziewczynki łkanie w sobie tłumili i sze-
ptały modlitwę za umarłych.

Młoda kobieta głowę pochyliła. W po-
zycji tej chwilę pozostawała. Nagle płacz nią

wstrząsnął, chustkę sobie do ust przycisnęła, drgnęła razy parę i wzruszenie opanowała.

— Chodźmy!...—odezwała się.

Wszystkie trzy z klęczek wstały.

Pani Zbędownskiej strzelił w głowie domysł, że młoda kobieta jest guwernantką hrabianek. Kiedy więc one od modlitwy wstały, wstała i ona z siedzenia, do pańienek podeszła i do młodej kobiety przemówiła:

— Pozwoli pani zapytać siebie, czybym się nie mogła z hrabią widzieć?... Jestem siostra nieboszczki: Zbędownska... Dowiedziałam się o jej chorobie, pośpieszyłam do niej i trafiłam tak nieszczęśliwie...

Westchnęła, zamilkła.

Panna Teresa nie od razu na odpowiedź się zdobyła. Niespodziane u zwłok matki spotkanie się z ciotką, która (o czem ona wiedziała) matce jej nie odpowiadała na listy, zmieszało ją. Pomilczała chwilkę i odrzekła:

— Tatko chory i... zgnębiony... Więc... nie wiem...

— Z kimże—podchwyciła Zbędownska — mam przyjemność mówić?...

— Teresa Homirska.

Na słowa te w oczach pani Zbędownskiej pojawił się wyraz rozrzewnienia tkliwego.

— Terenia!... — przemówiła. — Ja twoja ciotka rodzona. Ciosu, jaki was dotknął, nie odwrócę, ale... może się wam przydam na co. Możebym ojca waszego nie pocieszyć, ale rozzerwać bodaj trochę mogła... Tereniu, rozporządzaj mną, swoją ciotką, i Halinką, swoją siostrą!

Oczami wskazała na stojącą obok córkę. Panna Halina ze smutnym na hrabiankę spojrziała uśmiechem.

Wyrazy Zbédowskiej w taki ujmujący wypowiedziane były sposób, taki w nich brzmiał akcent szczerości, że panna Teresa nie mogła na nie szorstko ani nawet obojętnie odpowiedzieć. Że salonik, w którym nieboszczka leżała, do rozmowy się nie nadawał, odpowiedziała więc tylko:

— Proszę!...

I drzwi do sali jadalnej wskazała.

Pani Zbédowska w sali jadalnej, zanim usta otworzyła, ręce do panny Teresy wyciągnęła, głowę jej w dłonie ujęła i ucałowała ją w czoło i policzki. Panna Halina ze swojej strony przywitała się z nią serdecznie, podkreślając serdeczność łzami, które jej na policzki spływały. Odbyło się to w milczeniu, w tem milczeniu, co najkwiecistszą zastępuje wymowę. I pani Zbédowska płakała, a wśród płaczu tak przemówiła:

— Wybacz mi, Tereniu. Wybaczcie mi wszyscy. Wyznaję się wobec was winną... bardzo winną...

— Pani...—zaczęła panna Teresa.

— Ciotko! — przerwała pani Zbédowska. — Ja dla ciebie nie pani, ale ciotka, ciocia, pragnąca przebaczenie wasze uzyskać.

— Niechże mi ciocia pozwoli do tatka pójść i z nim się rozmówić. Proszę usiąść.

— A twoje siostrzyczki? Przyślij mi siostrzyczki swoje.

— One spłakane.

— Będę z niemi płakała.

Po oddaleniu się panny Teresy panie Zbédowskie czas jakiś same pozostawały. Nie rozmawiały ze sobą; pani Zbédowska odezwała się tylko półgłosem do córki:

— Tośmy trafiły!

Popatrzyła na zegarek, który z pod paska wyjęła, usta lekkim ruchem skrzywiła i zwróciła wejrzenie na drzwi boczne, w których się ukazały dwie panienki.

Panienki, z oczami od płaczu nabrzękłemi, kroków kilka od progu postąpiły i złożyły ukłon, któremu znawca dobrych manier do zarzucenia miałby dużo.

— Chodźcież do mnie... tu... bliżej... niech się wam przypatrzę — przemówiła do nich pani Zbédowska.

Panienki podeszły. Ona je za ręce ujęła.

— Ileż do matki podobieństwa! nie w ry-
sach, ale w wyrazie. Moje dziatki!... — rzekła
z czułym przyciskiem. — Sieroty! Usiądźcież
obok mnie, jedna z jednej, druga z drugiej
strony. O tak!

I zapytała jednej, gdy miejsca pozajmo-
wały:

— Jak ci na imię?

— Marya.

— A tobie?

— Franciszka.

— Skądęście wracały, gdyśmy się spo-
tkały w kurytarzu?

— Ze szkoły, proszę pani.

— Cioci, nie pani — poprawiła. — Jam
wasza ciotka rodzona, wasza krewna najbliź-
sza. Ciocią mnie nazywajcie... A tę tam pan-
nę siostrą, Halinką!

Panna Halina wstała i po kolei ucałowała
obie krewniaczki.

— Macie siostrę jeszcze jedną, Julcię, za-
mężną... i siostrzeniczkę malutką i brata. Po-
znacie ich, o!... bo się poznamy bliżej, jak naj-
bliżej. Chodźcie do szkoły?

— Chodzimy.

— Koleżanek macie dużo?

— O, dużo.

— Siedmnaście — rzekła Frania.

— Szesnaście — poprawiła Mania, — i to w klasie, a wszystkich daleko więcej.

— Więcej?

— Będzie ze dwieście.

— Więcej niż dwieście. W niższych klasach jest po czterdzieści.

— W którejże wy klasie?

— W czwartej.

— Macie przyjaciółeczki?

— O, tak! proszę... cioci.

— Dobrze! — podchwyciła pani Zbédowska, której uwagi nie uszło, że dziewczynka się zawahała, nim wyraz „ciocia“ wymówiła.

Przygarnęła ją do siebie i w czoło całowała.

Na to wszedł hrabia. Pani Zbédowska wstała na jego spotkanie.

Pozornie z hrabią żadna po śmierci żony nie zaszła zmiana. Jakim się wczorajszego wieczora przedstawił oczom adwokata Ostępskiego, takim pozostał dziś. Cios, jaki na niego spadł, nie złamał go — łamać nie miał co. Ale pani Zbédowskiej, pozostającej pod wrażeniem śmierci hrabiny i mającej do porównania hrabiego takiego, jakim przed laty był, z tym, jakim obecnie przed nią stanął, wydał się on przerażająco zgnębionym. Widok takiej

ruiny obudził w jej sercu niewieścim współczucie głębokie.

Pośpiesznie do niego podeszła, dłonie mu obie podała, mocno ręce jego uścisnęła i pierwsza głosem od wzruszenia drżącym mówić poczęła:

— Bracie, bracie, wybac mi!

— Co? — odparł hrabia.

— Winnam przed tobą, ciężkom winna. Obwiniaj mnie i wybac! W takim do ciebie przychodzę momencie!

— Pani...—zaczął.

— Siostro, jak dawniej—upomniała.— O!...

Cofając się, pociągnęła hrabiego za sobą, usiadła, i rąk jego z dłoni swoich nie puszczając, obok siebie go posadziła.

— Mów do mnie „siostro!“ jak dawniej, jak niegdyś, pamiętasz?... O! gdybyś mógł tamte zapamiętać, a o tych kilkunastu latach zapomnieć! Ale przebaczyć możesz, przebaczyć możesz, ty... siostrze?...

— Ach! siostro!... — bąknął hrabia.

— I nie odepchniesz mnie od siebie i od dzieci swoich?

— W takiej chwili czyż można podobne dawać pytania? — rzekł łagodnie.

— Tak, masz rację. Dziękuję ci, bardzo dziękuję, bracie. I niezwłocznie z praw

siostrzanych skorzystam: zabieram siostrzeniczki swoje.

Hrabia pytające wejrzenie zwrócił na obecną rozmowie pannę Teresę.

— Nie Terenię — podchwyciła Zbędowska, — ale Manię i Franię, i nie na długo, na godzin parę. Splakane biedaczki. Biedne dzieci!

— Ciocia taka łaskawa! — odezwała się panna Teresa.

— Cóż wy na to?... — zapytał habia młodszych córek.

Panienki okazały zakłopotanie. Nie wiedziały, co odpowiedzieć. Jedna na drugą, na pannę Teresę i na ojca spoglądały i głowy spuszczały. Tu śmierć matki, która je do głębi wstrząsnęła, tu zjawienie się ciotki, którą wiadomości, jakie o niej miały, przedstawiały im pod postacią władczyni zamku zaczarowanego, sprawiły zamęt w ich młodych umysłach. Przytem przyjęcie lub odrzucenie propozycji ciotki nie od nich zależało.

W tem zakłopotaniu z pomocą pośpieszyła im panna Teresa.

— Ponieważ ciocia taka łaskawa — odezwała się, — czemużbyście jej zaproszenia przyjmując nie miały?

Pani Zbędownska w taki sprawę postawiła sposób, że za odmówieniem jej zaproszeniu żadna dobra nie przemawiała racya. Wobec hrabiego stanęła jako winowajczyni, do winy się przyznająca i za winę żałująca. Mogłóż go to nie rozbroić? Obok tego uprowadzenie pańienek, których obecność potęgowałaby smutek i drażniła nerwy hrabiego, było rzeczą bardzo dla panny Teresy pożądaną. Przemyśliwała o uproszeniu kogoś, ażeby je zabrał. Nie wiedziała, do kogo się zgłosić. Propozycja przeto ciotki nadarzała się jakby umyślnie zamówiona, jakby tę ciotkę w tej chwili zesłała Opatrzność sama.

— Mama... — bąknęła z pańienek jedna, płaczem wybuchając.

Za przykładem siostry jednej poszła druga.

Panna Teresa ramionami je ogarnęła, do siebie przytuliła i do pokoju przyległego, który ich był pokojem, wyprowadziła, drzwi z sobą zamykając.

Szlochanie dziewcząt przeze drzwi słyszeć się dawało.

Hrabia dłonie palcami splótł i wyłamał, ręce w dół wyciągnął i głowę zwiesił. W oddychanie jego forsowne, ciężkie i z poświstem połączone, wplatały się odetchnienia głębsze,

z wnętrza istoty idące. Panie Zbédowskie w smutne pograżyły się milczenie. Tak upłynęło chwil kilka. O zagajeniu rozmowy hrabia nie myślał. Pani Zbédowska myślała, lecz trudno jej było wynaleźć punkt wychodni. Od czego zacząć miała? Jaka materya sytuacji odpowiedziećby mogła? Szukała i znalazła; pochyliła się nieco, hrabiego za dłoń ujęła i na rękę jego pocałunek złożyła.

— Ach! — zaprotestował, dłoń swoją usuwając.

— Bracie! — odrzekła z naciskiem.

Hrabia głęboko westchnął.

— Pamiętasz? — zapytała.

— O czym? — odparł.

— O tej Róży, co twoje całe posiadała zaufanie?

Hrabia oczy na nią podniósł i w oczy jej popatrzył.

— O tej Róży, co jest twojej Tereni matką chrzestną?...

— A... tak... pamiętam... — odpowiedział.

— Owóż — zaczęła — przyrzekam ci, że całych dołożę usiłowań, ażeby się ta Róża odnalazła.

Na obliczu hrabiego przesunął się cień uśmiechu. Westchnął i rzekł:

— Dziękuję ci, siostró.

Pani Zbędowska rękę mu mocno uści-
snęła.

Dalszą rozmowę, do której wątku brakło, przerwało wejście panny Teresy z siostrami. Dziewczynki były w kapelusikach i w mantylkach, z parasolikami w rękach. Za wejściem ich ciotka wstała, panna Halina wstała i hrabia się z siedzenia dźwignął.

— Zrobią cioci subiekcyę — odezwała się panna Teresa do pani Zbędowskiej, wskazując oczami na siostry.

— Jaką? najmniejszej.

— Ciocia nam je dziś odesłać raczy?

— Czy koniecznie?

— Proszę... bardzo.

— Odeszlę więc po obiedzie... wieczorem... pod warunkiem, że jutro znów zabiorę... Kiedyż? — zapytała ciszej.

— Pojutrze, moja ciociu.

Niedopowiedziane zapytanie tyczyło się pogrzebu, o którym pani Zbędowska, po pożegnaniu się z hrabią, słów kilka jeszcze z panną Teresą w kurytarzu zamieniła. Zapytała o kościół, do którego zwłoki eksportowane będą, o nabożeństwo żałobne, o zawiadomienia (*lettres de faire post*), o karawan i inne szczegóły. Panna Teresa tłumaczyła, że obrządek odbędzie się jak najskromniej.

— Chcemy być sami z mamą do ostatka... a tak nam żal, tak nam żal z jej rozstawać się ciałem! Gdyby można, nie oddawalibyśmy go ziemi.

— Moja duszko! — odrzekła pani Zbę-dowska, ściskając ją.

— Tereniu droga! — odezwała się panna Halina, biorąc z kolei cioteczną siostrę w uści-ski pożegnalne.

Pannie Teresie łzami się oczy napęłniły.

Dla ukrycia snąć wzruszenia, jakie w niej te współczuciem nabrzmiące uściski wy-wołały, zwróciła się do sióstr i poprawiła na nich kapelusiki i mantylki, szepcząc po słów parę do ucha jednej i drugiej. Nareszcie po-żegnała je przy zejściu na schody i patrzyła za nimi w dół, póki jej z oczów na zakręcie nie znikły.

Patrzyła za nimi z uczuciem, z którego sobie sprawy zdać nie umiała. Rada była temu, że Mania i Frania same znajdą przerwę w smutku i nie będą potęgowały smutku ojca; mimo to, rozstawanie się z nimi niewymowną jej sprawiało przykrość. Skąd ta przykrość pochodziła? Przecie miała zamiar pisać do pani Roten, modniarki, i prosić ją o zabranie dziewcząt. Ciotki prosić nie trzeba było, a przytem pobyt w jej domu, bądź-co-bądź,

odpowiedniejszy był, aniżeli w domu kobiety obcej i mało znanej. Więc czegoż się trapiła? „Dlatego zapewne — powiedziała sobie, — że się to zdarzyło w warunkach takich niezwykłych.“

Frania i Mania z oczu jej znikły, ona do apartamentu weszła. W kurytarzu spotkała ją Olesia.

— Ta pani nam panienki zabrała? — rzekła.

— Zabrała — odrzekła panna Teresa.

— Dobra jakaś pani.

— Ciotka nasza.

— Ciotka! -- zawołała kucharka zdziwiona. — Nie pani jednak z Zagórza?

— Z Zagórza.

— Gdzież ja oczy moje miałam, żem jej nie poznała? A toć to rodzona pani naszej siostra! Coś ja niby miarkowała, ale... nie... nie poznałam. No, to i chwała Bogu, że się ona trafiła. Toć to nasza nieboszczka (tu fartuch do ócz podniosła) była u niej nie jak siostra, ale jak niby córka rodzona. Chwałaż Bogu, że się teraz trafiła!... Chybaż ona wiedziała?...

— Dowiedziała się tylko, że mama chora.

— I w ten moment przyjechała. No... no!... A ja już z obiadem gotowa.

— Nakrywaj do stołu.

— A panienki nasze?

— One uciotki na obiedzie zostaną.

Olesia byłaby coś jeszcze prawiała, ale ją panna Teresa opuściła. Spiesznie jej było do ojca. Zastąpiła go stojącego we drzwiach salonu, wpatzonego w oblicze nieboszczki. Twarz jego jaśniała spokojem. Panna Teresa pod ramię mu rękę wsunęła i do niego się przytuliła. Hrabia na nią z ukosa spojrział.

— Co mi powiesz? — zapytał.

— Nic, tatku — odparła.

— Domyślam się, cobyś mi mówić chciała.

— Co?

— Chciałabyś mi perswadować, że rozpacz jest słabych umysłów właściwością, podejrzewasz mnie bowiem, że rozpaczę blizki. Czy nie?

— Mój tatuńciu drogi!

— Podejrzewasz mnie jednak niesłusznie. O umyśle swoim nie wiem nic zgoła, czy on mocny, czy słaby; wiem jeno, że mi smutno, bardzo smutno, ale smutek mój nic z rozpaczą wspólnego nie ma. Smutno mi, że mnie opuściła kobieta, towarzyszka moja, moje drugie ja, którą kochał i czcił; smutno mi, że ona opuściła was, moje dzieci, którym była przewodniczką i przykładem; ale, co do mnie, nieza-

długo za nią pójdę; co do was, w tobie zastępczynię i wyręczycielkę swoją zostawiła.

— Czyż podołam? — szepnęła hrabianka.

— Od ciebie to, moje dziecko, zależy.

— Tak... może, zapewne... pod waszem okiem, ojczy...

— Niebawem oko moje tak się zamknie, jak się zamknęły jej oczy — odparł hrabia, wskazując wzrokiem na zwłoki, leżące śród świec, których płomyki gasły przy świetle dziennem, pod krzyżem, na którym wisiał wizerunek umęczonego Chrystusa.

— Och! tatuniu! — rzekła panna Teresa. — Wyście mi tak bardzo, bardzo potrzebni! Żyćcie jak najdłużej!

— No, żyję i trzymam się tego swego życia — odrzekł hrabia, luboć ono takie mizerne. Zakaszłał się.

Hrabianka odprowadziła ojca ode drzwi, drzwi zamknęła i przy nakrytym na dwie osoby stole miejsce mu wskazała.

Olesia, która wazę wniósłszy, wyszła była, znów weszła, coś na stole poprawiła i tak zaczęła:

— O! niechże jaśnie wielmożnej z Zagórze Pan Bóg da zdrowie, że się ona w taką nadarzyła porę! Alem jej nie poznała... dalibóg,

żem nie poznała. Postarzała, przychudła, zżółkła... A taż panna? — zapytała.

— Panna Halina, najmłodsza z dzieci ciotki — odpowiedziała panna Teresa.

— Toć jam ją na rękach nosiła. Mój Boże! Ale jakże się one w porę nadarzyły. A tak długo o nich słychać nawet nie było!

Hrabia się uśmiechnął i głową pokiwał, zabierając się niechętnie do zupy, której mu córka niewiele do talerza wlała. Gdyby nie jej dozór, talerzby odsunął i jadła ani tknął. Pragnienie często uczuwał, apetytu nigdy. Skutkiem braku apetytu, własnej pozostawionej woli, prędkoby się z życiem załatwił. Ale go córka pilnowała. Pod jej okiem jeść musiał, odżywiał organizm rozstrojony. Przy jedzeniu o młodszych wspomniał dziewczętach.

— Mania... Frania — odezwał się. — One tam z ciotką, nowe rzeczy zobaczą, nowe osobistości poznają, rozerwą się. Ciotka trafiła się prawdziwie niby *deus ex machina*. Po latach tyłu! Co ją sprowadziło?

— Dowiedziała się o chorobie mamy.

— Od kogo?... A! — zawołał, przypomniawszy sobie nagle — od adwokata.

— Od adwokata? — zdziwiła się panna Teresa.

— Niejakiego Ostępskiego. Znałem się z nim niegdyś... niewiele, znałem się jednak. Młody był, dużo obiecywał, no... i pokierował się. Ciotce interesy prowadzi. Spotkałem się z nim wczoraj przypadkiem w ogrodzie.

— Coś mi o tem Mania czy Frania wspomniały — wtrąciła panna Teresa.

— Owóż on ciotkę zawiadomił, i przyjechała i dzieci zabrała. Moje dziecięta! To dobrze. Z panią Różą przybywa wam kilka serc życzliwych: Halinka, Julka, Jaś. Adwokat coś mi o jakichś interesach wzmiankował, alem nie zważał na jego gadanie.

Panna Teresa w milczeniu ojca słuchała. Nie podzieliała zadowolenia, jakie w nim wzbudziło zgłoszenie się ciotki i zabranie przez nią panienek; nie wiedziała jednak dlaczego. Jedną więc tylko wtrąciła uwagę:

— Byle Mania i Frania subiekcyi tam nie zrobiły.

— Jakąż one subiekcyę zrobić mogą? — odparł hrabia.

Przy końcu obiadu słyszeć się dało do drzwi wchodowych pukanie. Olesia otworzyła i weszła w chwileczkę później z oznajmieniem, że przyniesiono do ubrania katafalku wieńce i bukiety.

V.

W młodych latach największy smutek nie jest w stanie do takiego przygnieść stopnia, ażeby dotkniętej nim istocie ludzkiej unieprzy-
stępnić rozrywkę wszelaką.

Manię i Franię śmierć matki dotknęła mocno i głęboko. Cios odczuły w całej rozległości i sile, żal im serduszka targał i musiały się przymuszać, ażeby w sobie płacz głośny powstrzymać, gdy z ciotką ze schodów schodziły. Na dole jednak już żal ów częściowemu podlegał zneutralizowaniu. Sprawiała to drobna rzecz. W bramie kamienicy spotkały stróża, który, gdy mimo niego przechodziły, czapkę zdjął i postawę pełną uszanowania przybrał. Nigdy go przedtem w podobnej nie widywały postawie. Przeciwnie, hardo i z wyrazem lekceważenia przepuszczał panienki, mieszkające w oficynie, na trzecim piętrze. Ta zmiana frontu sprawiła im zadowolenie, które się powiększyło, gdy lokaj karetę otworzył i one miejsce zajęły, gdy zajęły miejsce w karecie, znanej im jeno z widzenia i z opowiadań Fruzi o jej właścicielce. Koleżanki nie wierzyły, że właścicielka tej karety jest ich ciotką. Uwierzyłyby teraz, gdyby je w niej siedzące ujrzały. Myśli takie w głowach im młodych

przemknęły i pierzchły, jak tylko się naprzeciwko ciotki i siostry ciotecznej usadowiły. Bo i co je do tego wspaniałego spowodziło pojazdu? Staęła im w oczach matka—tam, na piętrze, biała, martwa. Za jej to sprawę ciotka je zabrała. Łzy im się z ócz strumieniem puścily; do ścianek karety przytulone, rzewnie plakały.

— Biedne dzieci!—odezwała się pani Zbę-dowska razy parę.

W płaczu ich jednak nie powściągała. Ustał on sam przez się, gdy kareta na podsieni zatrzymała się i lokaj drzwiczki otworzył. Od-działywać na nie poczęły wrażenia coraz to nowe, a to tem silniej, że do ciekawości, która się w nich naturalnie budziła na widok przed-miotów widzenia godnych, łączyły się wyma-gające sprawdzenia opowiadania Fruzi, której matka znała wewnątrz pomieszkania pani Zbę-dowskiej. Jakoż na samym wstępie do sprawdzenia nastęrczyły się schody, o których im Fruzia nie wspominała. Nic w tem dziwnego nie było, schody te bowiem służyły dla pań-stwa, dla dystyngowanych gości, ale nie dla modniarek, krawców i wogóle nie dla klasy, trudniącej się dostarczycielstwem potrzeb i wy-gód życiowych. Dla tej klasy służyły inne schody, *escalier de service*, na które się z po-

dwórza wchodziło, proste, zwyczajne, bez baryery rzeźbionej, bez postumentów i urn, bez kobierca, zaścielającego stopnie od dołu do góry, na całą szerokość. Panienki nie wiedziały o tem—na wstępie więc znalazły więcej, aniżeli się spodziewały. Zaostrzyło to ich ciekawość i oddziałało uspokajająco na smutek. To, na co patrzyły, maskowało niejako zwłoki matki, spoczywające na skromnym katafalku. Rozrywka od razu się narzuciła.

Wejście na piętro dostarczyło rozrywek więcej jeszcze.

Panna Halina zabrała cioteczne siostry do swego apartamentu, mówiąc do nich:

— Chodźcie, siostrzyczki, ze mną; wypoczniemy, odświeżymy się.

Apartament panny Haliny składał się z trzech pokoi, wypełnionych samemi osobliwościami. Gustowny, elegancki salonik wyglądał na kształt pudełeczka, wyłożonego wewnątrz figurynami, bordiurami i zwierciadełkami. Każdy przedmiot i przedmiocik wart był oglądania. Hrabianeczki wiedziały, że przyzwoite panienki w obcym domu niczemu się dziwić, zwłaszcza zaś niczego palcami dotykać nie powinny. Nie dziwiły się też głośno, to jest zdziwienia nie okazywały na zewnątrz;

niemniej przeto przejmowało je ono i w ich oczach się malowało.

Panna Halina starała się je zabawić.

Otworzyła im album widoków szwajcarskich.

Dziewczęta to zajęło.

Karty przerzucały, zastanawiały je pejzaże niektóre, czytały głośno podpisy; panna Halina komentarze dopowiadała, komentarze anegdotyczne, jeżeli się co anegdotycznego przyczepić dało. Wyczytały na przykład „Genewa.“ Jedna z nich rzekła:

— Jakaś góra.

— Salew... — objaśniła panna Halina — góra tuż koło Genewy, służy Genuieńczykom za cel przechadzek niedzielnych i świątecznych.

— Wysoka?

— Nie bardzo. Jednakże...

— Skały?... przepaście?...

— Posiada i skały i przepaście. Nawet się wypadki zdarzają.

— Wypadki? — zdziwiła się Frania.

— Anglikom zwłaszcza.

— Anglikom? — odezwała się Mania.

— Im najczęściej, bo oni najwięcej podróżują i rozmilowani są w niebezpieczeństwach. Na Salewie odkryto jedno niebezpieczne przejście. Jak tylko się o tem dowiedziano,

wnet jeden Anglik spadł w przepaść; po nim niebawem drugi, dalej trzeci, czwarty... Skończyło się na ośmiu.

— I pozabijali się?

— Pozabijali się.

— Czemuż skończyło się na ośmiu?

— Dlatego, że niebezpieczne przejście zaopatrzono w baryerę żelazną.

— Cóż na to Anglicy?

— Przestali chodzić na Salew.

— To Anglicy tacy! — zauważyła Mania.

— Dlatego tatko ich lubi — odparła Franja.

— Tatko ich lubi dlatego, że wielkich wydali ludzi: Bakona, Newtona, Szekspira, Byrona.

Panna Halina w materyi tej nic do powiedzenia nie miała. W duchu jeno pomyślała sobie, że hrabia głowy córek swoich zaprzęta jeżeli nie głupstwami, to w każdym razie rzeczami zbytecznymi. Dwa nazwiska zupełnie dla niej obce o słuch jej z ust dziewcząt uderzyły. Byrona ona cokolwiek znała. Szekspira znała lepiej: bywała na przedstawieniach jego dramatów: „Makbeth,“ „Romeo i Julia,“ „Otello,“ „Hamlet,“ tego ostatniego na operę przerobionego. Ale Bakon? Ale Newton? Musieli to być także jeżeli nie poeci, to powieścio-

pisarze drugorzędni. Ona nic o nich nie słyszała, pomimo, że guwernantka Angielka wykładała jej historię literatury angielskiej. Może co i słyszała, ale zapomniała w rozgwarze życia wielkoświatowego, interesującego się tem jeno, co wytworne.

Panienci, przewróciwszy kart parę w albumie, inną poruszyły materyę. Zafrapował je wizerunek Rigi Culm, przedstawiający pociąg kolei żelaznej, prostopadle prawie na górze zawieszony. Zastanowiło je to.

— Cóż to? — zapytała jedna.

Panna Halina wytłómaczyła.

— Jeździłaś tą koleją, Halinko?

— Jeździłam.

— O! jakżebym tego spróbować chciała!

Mocno je widoki szwajcarskie zajęły. Album ułatwiło pannie Halinie rozwiązanie zadania rozerwania umysłów dziewczynek, dotkniętych ciosem wielkim. Rozerwały się. Panna Halina nie zdaje się, ażeby się sama bardzo bawiła. Piękne jej usta razy parę do ziewania się składały. Przestała objaśnienia dawać. Często na zegarek spoglądała, i doznała ulgi, gdy we drzwiach ukazała się pani Gudulska, prowadząca za rączkę małą, w wielkie kokardy ubraną dziewczynkę.

— A! Rózia!... Rózia!—wykrzyknęła panna Halina.

Zerwała się, i dziewczynkę pod pachy ująwszy, do góry podniosła.

— Dajże się poznać cioteczkom swoim.

Postawiła ją na stole, naprost albumu z widokami szwajcarskimi, i tak zwracając mowę to do dziewczynki, to do hrabianek, mówiła:

— Prezentuję wam pannę Różę Gudulską, poważną i stateczną osobę; tobie zaś, Róziu, prezentuję twoje cioteczki: jedna nazywa się Mania, druga Frania. Dajcie sobie buzi.

Nadstawiła hrabianeczkom dziecko; te je kolejno ucałowały. Rózia z powagą im pysio podawała.

— A oto, siostrzyczki kochane — rzekła, na panią Gudulską wskazując, — druga siostra wasza, Julka.

— Franiu, Maniu!—odezwała się ta ostatnia, ściskając panienki jedną po drugiej. — Jakżem rada, żeśmy się poznały! Będziemy się kochały, nieprawdaż?

Mania i Frania nie wiedziały, co na zapytanie to odpowiedzieć. Ani panna Teresa, ani matka, ani ojciec nie zadawali im podobnego. O kochaniu bywała mowa w szkole pomiędzy koleżankami; nawet się o niem

szeroko mówiło, ale odnosiło się ono całkiem do czego innego. Tamto kochanie przedstawiało się młodziutkim hrabiankom pod postacią owocu zakazanego, bodaj dlatego, że w szkole nie wolno było o niem głośno mówić; o tem zaś mówić nie było co, rozumiało się ono samo przez się. Siostra — możnaż nie kochać siostry? możnaż pytać o to?

Na zapytanie więc jedna z pańienek odrzekła:

— Dobrze.

Druga milczeniem odpowiedź tę potwierdziła.

Odpowiedź ta, luboć się do zapytania stosowała, trąciła jednak prostactwem, brakiem wykwintu. Należało niedorzeczne zapytania okryć mgłą, zafarbowaną barwą czułości, nic niemówiącej. Hrabianka powinna była zawołać z akcentem:

— O, siostró kochana!

Albo:

— O, Julciu droga!

Wyraz „dobrze“ skompromitował hrabianki w oczach sióstr ciotecznych. Panna Halina i pani Julia jedna na drugą spojrzwały i rozumiały się. W sercu pani Gudulskiej obudziła się litość dla „biednych kuzynek,“ noszących nazwisko: takie piękne, któreby im

otworzyło wstęp do „świata.“ Takie jednak, jakimi są, czyż w świat wprowadzać można! Inaczej byłyby wcale *présentables*. Pani Julia oceniła je pod tym względem od jednego rzutu oka. Dziewczyny szykowne, wyrosnąć mogą na przystojne, na piękne, bardzo nawet piękne, na ponęty dla bogatych wychrztów zwłaszcza, ubiegających się o wysokie parentele. Ale potrzebaby je przedtem oskrobać, ogładzić, opolerować. Opatrzyła ich odzież. Cóż to za odzież! Na sukienkach ani śladu piękna, świadczącego o pochodzeniu przyzwoitem. Na „świecie“ suknie, czy to damskie, czy męskie, muszą posiadać piętno, po którym się rozpoznają pracownie renomowane, które połom, klapom, fałdom, stanikom nadają charakter wytworów sztuki. Krawcy są Fidyaszami, a nawet od Fidyaszów wyżej stoją. Dlatego, gdy pani Gudulska, doświadczona estetyki krawieckiej znawczyni, dostrzegła na sukienkach hrabianek brak piętna, wielką ją przejęła litość. Przysiadła się do nich, patrzyła na nie chwilę z głębokiego współczucia wyrazem, wreszcie przemówiła:

— Siostrzyczki moje kochane!

I westchnęła.

Po chwili do panny Haliny się zwróciła:

— Mama nas na obiad zaprosiła. Wybraliśmy się z Romanem wieczorem dopiero, dla widzenia się z Ostępskim. Szczęściem, kartka mamina, zalecająca, ażebyśmy ze sobą Rózię przywieźli, w domu nas zastała; Roman był na wychodnem, ja byłam na wyjezdne. Najzupełniej niespodzianie jesteście u was na obiedzie.

— Nic się przez to złego nie stało.

— No, nic... Ale...

— Co?

— Szyki się nieco pomieszały.

— Nie bardzo może.

— Godzina obiadowa zbliża się—wtrąciła pani Gudulska.

— Zdaje się — odparła panna Halina.

— Możeby siostrzyczki do gotowalni na chwilkę przeszły... co?

— A prawda! — zawołała panna Halina. — Takeśmy się zajęły, że zapomniała o obowiązkach gospodyni. Franiu, Maniu — zwróciła mowę do hrabianek,—przed obiadem odświeżcie się trochę...

Przycisnęła dzwonek, stojący na stole. Pojawiła się panna służąca, która następujący dostała rozkaz:

— Pomóż panienkom umyć się. Włosy im przyczesz.

Hrabianki wydalily się za służącą. Po wyjściu ich niezwłocznie pani Gudulska zaczęła:

— Śmierć hrabiny to prawdziwy ewenement, w programie nieprzewidziany.

— Nieprzewidziany, ale, zdaje się, pomyslny.

— W jakim względzie?

— W tym, że pomógł do ugłaskania hrabiego. Mama go ujęła... ach! mama była *admirable!* Co za przytomność umysłu! Wyobraź sobie, wchodzimy i na wstępie w oczy się nam rzuca trup. Osłupiałam, nogi pod mną drzeć zaczęły. Byłabym uciekła. Mamę to także zmieszało, ale wnet odzyskała zimną krew i od początku do końca rzecz całą prowadziła jak nie można bardziej poprawnie. Hrabia stanowczo ujęty został.

— Daj Boże!

— Liczyć na to możemy.

— Niczegośmy się nie domyślali, kiedyśmy kartkę maminą dostali.

— Mama o tem, co zaszło, nic nie pisała?

— Nie. Zaprosiła nas po swojemu, lakonicznie. Roman byłby nie przyjechał, gdyby nie wyrazy w inwitacyi: „Przywieźcie z sobą Rózię *koniecznie.*“ *Koniecznie* podkreślone.

Romana to zaintrygowało. Przyjechaliśmy i dowiedzieliśmy się.

— Czy mama czego nie mówiła?

— Mówiła, żebyśmy ciało odwiedzili. Pojedziemy po obiedzie. Będę się musiała przebrać.

— Więcej nic?

— Zawiadomiła też Jasia, że Rózię dla towarzystwa z ciotkami zaprosiła... Dziękuję za takie dla Rózi towarzystwo.

— No? — z lekkim panna Halina zapytała uśmiechem.

— Biedne dziewczęta! Co zrobicie z nimi?

— Nie wiem. To od mamy zależy. A wiesz, mama nie znosi zapytań, rad, insynuacji. Zresztą sposobności do zamienienia w tym względzie słów kilku nie było. Jak się zdaje, spadnie na nas opieka.

— Mają przecież ojca.

— Mają i siostrę starszą.

— Aa?... — odczuwała się pani Gudulska z akcentem, zaznaczającym niespodziankę. — A więc...

— Ale ojciec ruina, a siostra panna na wydaniu.

— *Va!*... Hrabianka uboga, a przytem nie mniej chyba od sióstr młodszych zardzewiała.

— Cóż robić? Trzeba będzie...

— Poświęcić się—podchwyciła pani Julia.—Tak... Pokażnaż przynajmniej?

— Pokażna. Pokażną się mi wydała, alem się jej przypatrzeć nie mogła. Byłam taka wzruszona, roztargniona, zahypnotyzowana!... Trup hrabiny w oczach mi stał, straszny, przerażający.

— Czyż? — zapytała pani Julia z niedowierzaniem.

— Straszny, przerażający! — powtórzyła panna Halina dobitnie.

— Przecież była to niegdyś piękność, na całą słynna okolicę.

— Nie wyobrażałam sobie czegoś okropniejszego.

— Miła perspektywa... podobna wizyta! Do tego trzecie piętro!

— Na góry ciebie wiozą, a tam iść potrzeba, iść bez końca.

— A potem schodzić pod wrażeniem.

— Dopierom odetchnęła, gdy w karecie się znalazła. A i tu...

— Trup ci w oczach stał.

— Nie, alem miała przed oczami siostrzyczki, ustawicznie płaczące.

— *Quelle corvée!...*, *quelle corvée!...*—rzekła pani Julia z przyciskiem.—Prawdziwe poświęcenie. Nie wiem, czy ja się na nie zdobędę.

— Jakże?

— Migreny dostanę i Romana samego pošlę.

— Dogodzisz mamie.

— Cóż pocznę! Ja się trupów boję, stanowczo się boję. Trup hrabiny będzie mi przeszkadzał spać, jeść, będzie mnie prześladował, ścigał.

— Urządź się tak, ażebyś na niego nie patrzyła.

Pani Julia wejrzenie pytające na siostrę zwróciła. Ta odpowiedziała:

— Można patrzeć i nie widzieć; gdy zaś dołączysz do tego czarną, gęstą woalkę, nie będziesz widziała nic zgoła. Tu o mamę chodzi. Mama się na migrenach zna.

— Masz rację. Poświęcenia chodzą za nami jak cień, jak zmora. Ha!...—westchnęła.

— Główna rzecz: hrabiego *zamaduować*. O to się postaraj.

— Przy trupie?...

Panna Halina opowiedziała przebieg pobytu u hrabiego—i gdy już prawie opowiadanie skończyła, pojawiły się panienki. Wyglądały inaczej trochę, aniżeli przedtem. Z lic

znikły im smugi, które strumienie łez pozostawiły były po sobie. Umiejętna ręka włosom ich nadała kształt i znaczenie ram, służących do uwydatnienia i upiększenia obrazu. Na sukienkach nawet, mimo że pozostały te same, dostrzegać się dawała pewna zmiana, pochodząca od pociągnięć, spięć i przyszpileń, ze świadomością rzeczy dokonanych.

Panna Halina i pani Julia obrzuciły je wejrzeniem, tem wejrzeniem kobiecem, co w jednym oka mgnieniu ogląda i ocenia nie tylko toaletę w szczegółach najdrobniejszych, ale i najnieostrzegalniejsze właściwości oblicza i postaci—i znalazły wszystko w porządku. Pani Julia zwróciła się do swojej córeczki:

— Masz cioteczki swoje.

A zwracając się do hrabianek, dodała:

— Tęskniła za wami... ciągle się na drzwi, któremiście odeszły, oglądała. O, rączęta do was wyciąga.

To rącząt wyciągnięcie wziąć można było tak dobrze do hrabianek, jak do przyozdabiającej kominek statuetki, wyobrażającej czarną Wenus.

Jedna z hrabianek wzięła Rózię na rękę, lecz się dziecina od niej wydierała; wzięła na rękę druga, u tej do beknięcia pysio nastroiła. Uspokoila się u matki na kolanach.

— Niegrzeczna Rózia... niegrzeczna, kapryśna — upominała ją matka. — Rózia mamie wstyd zrobiła. Nie oswoiła się jeszcze z wami — przemówiła do panienek. — Wyszłyście, oglądała się; wróciliście, odwraca się... Dzieci tak zwykle.

Dziesięć beknęła.

— A... aż do tego doszło! Na to już nie mama, ale Hanusia zaradzi.

Zadzwonila, i pannie służącej, która się we drzwiach ukazała, dała polecenie przywołania niańki.

Niańka wyniosła pannę Różę.

Przy zejściu z nią panna Halina obecna nie była. Przez ten czas toaletę na sobie do obiadu urządziła. Zmieniła całkowicie zwierzchnie okrycie i, do saloniku wchodząc, z progu poza siebie rzuciła pannie służącej rozkaz dowiedzenia się, czy w salonie kogo z wizytą niema.

— Cóż? — przemówiła do hrabianek. — Musicie być głodne?...

— Nie... o... — odpowiedziała Frania.

— O której zwykle obiad jadacie?...

— Między dwunastą a pierwszą — odrzekła Mania.

— O! to już głodne być musicie!

Nie odpowiedziały na to—ani jedna, ani druga, a to z powodu roztargnienia, jakie im zmiana toalety panny Haliny sprawiła. Dlaczego się ona przebrała, kiedy tak dobrze ubraną była? Nie umiały sobie dziewczęta wytłómaczyć, nie umiały rozwiązać zagadki, która je, jako rzecz dla nich nowa i niespodziana, żywo zajęła, i to tem bardziej, że z nią się łączyły różne inne osobliwości, tyczące się koloru materyi, kroju sukni, dodatków różnych, zwłaszcza zaś trenu, którego przy sukni poprzedniej nie było. Zwróciwszy na przebranie się panny Haliny uwagę, spostrzegły dopiero, że i suknię pani Julii przyozdabia tren. Rozwiązanie zagadki świtać im w głowach począł. Wyobraziły sobie, że w wielkim świecie do obiadu tren jest regułą, dodatkiem niezbędnym, jak do potraw sosy, musztarda, chrzan tarty, albo ogórki kwaszone.

Służąca wróciła z oznajmieniem, że:

— W salonie jest tylko jaśnie pani z jaśnie panem.

— Z mężem moim? — odezwała się Julia.

— Tak, proszę jaśnie pani.

— Nie wiesz, jakie były wizyty? — zapytała panna Halina.

— Była księżna Gamajdowa, była hrabina Golarska, był baron Habensztok, był pan Skowron... więcej nie wiem.

— Czy Skowron często bywa?—zagabnęła pani Gudulska, po odejściu służącej wstawszy z zajmowanego dotychczas siedzenia i przypatrując się sobie w zwierciadle.

— Nie często — odparła zapytana.

— Szkoda, że ciebie w salonie nie zastał.

— Nie jest to szkoda nie do naprawienia.

— Zapewne — odparła, dotykając zlekka palcami grzywki, co jej czoło zdobiła, i rozsuwając ją nieco.

Od zwierciadła odchodząc i dłońmi o spódnicę po stronie trenu uderzając, dodała tonem sentymentalnym:

— Decyduje często jedno nic. A pan Paweł to kęs łakomy.

— Zapewne — powtórzyła panna Halina wezwała siostrę i siostrzyczki do przejścia do salonu.

Pani Julia wzięła pod ramię siostrzyczkę jedną, panna Halina drugą.

W salonie pani Zbędownska, dla rozprostowania zapewne kości, pogiętych dzięki siedzeniu przy bawieniu gości, przechadzała się powoli; pan Gudulski, przy oknie stojąc, na ulicę patrzył. Za wejściem córek z siostrzenicami, Zbędownska się zatrzymała.

— Jakże? — zapytała uprzejmie.

— Muszę mamusi oświadczyć, żeśmy się z siostrzyczkami pokochały — odpowiedziała pani Gudulska.

— Moje dziatki!... Poznałyście się z panną Różą?

— Panna Róża zaprezentowała się dobrze, ale sprawy do końca nie dotrzymała, skaprysiła.

— Co to?... matka własną ogaduje córkę? — odezwał się pan Gudulski, podchodząc do grupy, która się przy pani Zbédowskiej sformowała.

Pani Julia przedstawiła hrabiankom męża, który je niskim powitał ukłonem, pokazując im kolejno rozlegającą się na jego czasce łysinę. Mówił przy tem:

— Bardzo mi miło poznać kuzyneczki śliczne.

— Ze śliczne, to cię obchodzić nie powinno — zapewniała żona.

— Kogóż to nie obchodzi, mój Boże! — usprawiedliwiał się.

Panienki pokraśniały. Usłyszały po raz pierwszy w życiu wypowiedziany im w żywe oczy komplement.

— Więceście się z Rózią nie porozumiały? — przerwała pani Zbédowska.

— Nie... — odparła Frania.

— Na mojem ręku beczeć zaczęła... — do-
dała Mania.

Wyraz „beczeć“ wrażenie zrobił. Pani Julia odwróciła się, tren z gracyą odrzucając; panna Halina usta przygryzła; pan Karol z uśmiechem gębę otwierał w zamiarze wyzyskania wyrazu na rzecz dowcipu jakiegoś; pani Zbędowska pośpiesznie zięcia uprzedziła:

— Poznacie się bliżej, poprzyjaźnicie się. Różia umie być przyjaciółką, przekonacie się.

W chwili tej lokaj, drzwi na ścieżaj otwierając, oznajmił głosem uroczystym:

— Jaśnie pani... do stołu podano!

Pan Gudulski poprowadził pod ramię teściowę; za tą parą ruszyła w parze z Manią pani Gudulska, na ostatku panna Halina z Franią.

Dla panienek Homirskich wszystko to było nowością. Sytuacja ich na salonach wielkopańskich, wobec porządków i zwyczajów, regulowanych wedle przepisów etykiety, miała niejaki dalekie podobieństwo do sytuacji wilcząt, z lasu pomiędzy ludzi przyprowadzonych. Znajdować się nie umiały i nawet dziwienie się nie szło im gładko z powodu, że to, co widziały i słyszały, sprawiało pewien w ich umysłach zamęt. Nowością dla nich było wszystko. Jako też nowość uderzająca

przedstawił im stół wystawnie nakryty. Porcelany, kryształ, srebra, kwiaty olśniewająco na nie oddziaływały, olśniewająco tak dalece, że gdy się wobec tej zastawy znalazły, mimowolnie usteczka się jednej i drugiej rozwarły i z poza karminów ukazały się szeregi, opiewane w „Pieśniach nad pieśniami.“ Pan Gudulski szepnął do panny Haliny:

— *Ces petites sont à croquer.*

W rzeczy samej nadawały się one na modele do oddania—czy to na płótnie, czy w kamieniu—zachwycenia. Zachwycenie wyobrażały, ponieważ były piękne; gdyby nie to, wyobrażałyby zagapienie się i „chrupanie“ ich panu Gudulskiemu na myślby nie przyszło.

Pani Zbędowska, kobieta z taktem, w przewidywaniu, że siostrzeniczki jej popełnić mogą przy stole niestosowności jakie, posadziła je przy sobie, wyznaczając córkom miejsca poza niemi i odsuwając zięcia na przeciwległy stołu koniec. I rozmowę przy obiedzie regulowała, mając wzgląd na nie. Dzięki temu, przeminęło to wrażenie, skutkiem którego ich „perłowe ząbki błysły wśród koralu,“ rozpatrzyły się i oswoiły powoli, nie odezwały się z niczem niestosownem, nie dopuściły się żadnej nieprzyzwoitości, podjadły sobie i, po obiedzie, odprowadzone przez pannę Halinę do komnaty,

zwanej oranżeryą dlatego, że ją zdobiły rośliny, kwiaty i krzewy egzotyczne, znalazły się tam w towarzystwie Rózi i jej niańki Hanusi.

Rozrywka, dla której je pani Zbędowska zabrała, nie opuściła ich. Bocząc się od nich, Rózia dostarczyła im przedewszystkiem zajęcia sporo. Chodziło o przyswojenie dziecka. Więc się do niej wdzięczyły, więc przemawiały, klaskały, śpiewały, za gradusy z wazonami i za naczynia drewniane, w których się hodowały drzewiny cytrynowe, chowały się i nagle się z poza nich dziewczynce ukazywały.

Skończyło się na tem, że się dziecko obłaszkawiło, śmiało się, biegało, dawało się nosić i huścić.

— Rózia już pokochała jasne panienki — orzekła niańka.

Niańka Hanusia, jedna z tych sług miejskich, co to wiedzą, gdzie raki zimują, do wyrazu „panienki“ dodawała nie zawsze, ale często „jasne.“ Robiło im to przyjemność niejaka, taką, może nawet trochę większą, niż pochwała w szkole za dobrze odrobione ćwiczenia.

Obok Rózi rozrywkę sprawiały im rośliny, same prawie nieznanne a osobliwe, kwiaty cudnej piękności, jedne bezwonne, inne roniące woń odurzającą. Przechodziły od krzewu do

krzewu, od kwiatu do kwiatu, opatrywały, wachały i podziwiałały.

Na rozrywkach tych czas upływał szybko. Do oranżeryi cienie wchodzić poczęły. O zmroku hrabianki ujrzały nagle przed sobą lokaja i usłyszały z ust jego wyrazy następujące:

— Jasna pani prosi jasne panienki.

Ciotka czekała na nie w żółtym saloniku. Była sama.

— Cóż, moje dziatki—zapytała,—zaprzyjaźniłyście się z Rózią?

— O, tak!

— Nie bardzo wam było nudno u mnie?

— O, ciociu!

— Obiecałam ojcu, że mu was odeślę wieczorem, więc jedźcie; karetą gotową. Do widzenia.

Uściskała je, pożegnała. Hrabianki odjechały same. Lokaj im, gdy się karetą zatrzymała, drzwiczki otworzywszy, towarzyszył na trzecie piętro, do drzwi apartamentu. Gdy mimo stróża przechodziły, stróż przed nimi czapkę zdjął i przybrał postawę pełną uszanowania

VI.

Wieczorem tego dnia, w którym młodzieńtkie hrabianki Homirskie bliższą z ciotką i jej rodziną (z wyjątkiem brata ich ciotecznego) znajomość zabrały, w bibliotece pani Zbędownskiej odbyła się konferencya, podobna do tej, jaka już raz miejsce miała. Te same osoby brały w niej udział i ta sama sprawa przedmiotem obrad była. Adwokat przybył z relacją, która, w jego mniemaniu, miała być punktem wychodnim we względzie postanowienia, jakie powziąć należało. Niespodziana o śmierci hrabiny wiadomość z tropu go zbiła.

— A!... — wykrzyknął.

W wykrzykniku tym zabrzmiał wyraz doznanego zawodu.

— Nie jest to tak źle, jak się panu dobrodziejowi wydaje—odezwał się pan Gudulski.

Zapowiedział swoją u hrabiego wizytę, czyniąc nacisk na dobre jego względem pani Zbędownskiej usposobienie, o czem się oboje państwo Gudulscy jak najmocniej przekonali.

— Dobre usposobienie — odparł adwokat—coś, wiele nawet, bardzo wiele znaczy; ale nie o to tylko chodzi.

— O cóż jeszcze?

— O to naprzód, że z hrabią teraz nic o interesach do mówienia niema: trzeba to odłożyć; a następnie... przepraszam, że rzeczy ludzkie po ludzku postawię: kto zaręczy, że hrabia, prędzej, aniżeli by z nim mówić można, za hrabiną nie pośpieszy?... W tem grunt rzeczy...

— Prawda, hrabia skrzypi; z takim jednak skrzypieniem długo się niekiedy żyje.

— To przypuszczenie, lecz do niego dołożyć należy rozstrajające wrażenie, jakie wywiera śmierć istoty ukochanej.

— Dziwnie—odparł pan Gudulski—hrabia jest spokojnym.

— Zdumiewająco spokojnym — potwierdziła pani Gudulska.

— Opowiadał nam anegdoty z czasów dzieciństwa mojej żony.

— I wyraził chęć poznania naszej Rózi.

— Są to symptomy pocieszające, ale nie upewnijające... Ale... hm... nie pozostaje, jak tylko... przeczekać i postarać się hrabiego ująć.

— Cóż Jaś?...—zapytała pani Gudulska.

— Pan Jan? Co do pana Jana, sondowałem go z daleka we względzie usposobienia dla hrabiego: zdaje się, że usposobiony jest dobrze, wcale dobrze. Nie nalegałem, tem bar-

dziej, że go szczególnie zajmował stan interesów dóbr zagórskich, o które się szczegółowo rozpytywał.

Zbędowska znaczącym wyrazem oczu strześliła i wykonała giest taki, jakby przemówić chciała,—ale nie odezwała się. Zlekka jeno ustami poruszała i słuchała rozmowy, jaka się przy niej toczyła.

Materya rozmowy snuła się okolo jednego i tegoż samego punktu, którym była interwencya hrabiego w kwestyi posagowej.

Co do słuszności, w tym punkcie nie zachodziła różnica zdań.

Adwokat moc prawa uznawał; dodawał jeno: „*Summa lex—summa injuria*,“ co dla interesowanych nie było wielką pociechą. Pani Gudulska i panna Halina powściągały w sobie niecierpliwość, pochodzącą stąd, iż gorąco pragnęły, ażeby się ta sprawa rozstrzygnęła jak najrychlej, nie inaczej atoli, jak wedle ich życzenia. Innego rozstrzygnięcia nie rozumiały i nie dopuszczały.

Wydawało się im, iż sprawiedliwość tak za nimi przemawia silnie, iż niepodobieństwem jest, ażeby hrabia pretensyi ich nie poparł, tem bardziej, że:

— To człowiek bardzo zacny, bardzo zacny—powtarzała pani Gudulska.

Pan Gudulski żonie przytakiwał; czynił jednak objekcyę pewną:

— Zubożał — powiadał.

— Więc cóż?

— On ubogi, Jaś bogaty; gdy się zejdą, nie on Jasiowi, ale Jaś jemu będzie imponował.

— Ale Jaś go wysoko ceni.

— Ceni?... Pytanie: jakiej to cenie natury?... Jeżeli teoretycznej, to nic na niem budować nie można. Pytanie również: jakiej jest natury zacność hrabiego? Może również teoretyczna.

Co do tego spotkało go zaprzeczenie ze strony żony, jej siostry i adwokata.

— Niema wątpliwości, że hrabia praktyki od teoryi nie oddziela we względzie przekonania... Dowodem strata majątku.

— Fantazyja. Jednym zamiłowaniem jakieś majątki pochłania, innym fantazyja. Hrabia Bolesław dał w Neapolu bal na cześć króla i obecnie starczy mu za ledwie na hodowanie piesków. Aleksandrowi Łebskiemu Wenecya się podobała... córkę wydając, wesele jej w Wenecyi sprawił, miasto *al giorno* illuminował i tak się zaszargał, że w łeb sobie strzelił. Coś podobnego zrobił i nasz hrabia Aleksy... Zabawił się w zacność.

— A!...—odezwała się pani Julia z akcentem niecierpliwości. — Ty bo wszystko bierzesz ze strony ujemnej.

— Z ujemnej? — odparł mąż. — Czyż jest co bez niej?... Czy się co bez niej robi? Jedni ujemnie majątki zdobywają, drudzy ujemnie majątki tracą... Na tem świat stoi.

— Pan dobrodziej pesymista — zauważył adwokat.

— Możnaż nie być pesymistą?

— Tak... zapewne... jednakże, wszelako...

— Daj mi pan dobrodziej bodaj jeden przykład.

— Przykład? hm... — adwokat się zamyslił.

— Pan Paweł Skowron — wtrąciła panna Halina.

— Ooo... — odparł jej szwagier. — Tego nieujemność jest trochę za młodą i zagadkową. Ojczulek jego nie koniecznie dodatnio zgromadził majątek. Niema najmniejszej pewności, że syn w ślady rodzica nie pójdzie. Zobaczymy... Ktoby z dodatniości jego korzystać chciał, niech się śpieszy, za lat parę bowiem będzie już po czasie.

Wyrazy ostatnie powiedziane były tonem znaczącym, niby ostrzeżenie pod adresem jednej z osób, biorących w konferencyi wieczornej

udział. Pani Gudulska zwróciła na siostrę wejrzenie, zatrzymała je na niej chwileczkę i przeniosła następnie na matkę. Panna Halina przymrużyła nieco powieki. Pani Zbędownskiej oblicze wyrażało obojętność, z jaką od początku rozmowie się przysłuchiwała. Adwokat, który nie rozumiał, do czego ostatnie panna Gudulskiego wyrazy zmierzały, po chwili milczenia, jakie zapanowało, zabrał głos:

— To prawda, pan dobrodziej ma rację, wielką rację: pana Skowrona nie można jeszcze za dodatnią uważać siłę, a przynajmniej z opinią o nim wstrzymać się do czasu należy. Cóż o nim wiemy? Uczył się... oto wszystko... Czy to mało kto się uczy?..

— I niczego się nie wyucza — dokończył pan Gudulski. — Ale... nie wszystkich nas obchodzi on w tym momencie. Trzeba coś postanowić o hrabi.

Była to interpelacya, wprost do pani Zbędownskiej zwrócona.

Pani Zbędownska wytrzymała jeszcze chwilę słuchaczy w oczekiwaniu, wreszcie się odezwała:

— Pojutrze pogrzeb. Hrabia klepsydr nie rozesłał i nie roześle.

Zamilkła.

— Czy mama życzy sobie, żeby hrabiego wyręczyć? — zapytał pan Roman.

— Nie — odpowiedziała. — Byłaby jednak pożądaną liczną *towarzystwa* na pogrzebie obecność.

— Tak, jest to bezwarunkowo pożądanem — potwierdził adwokat.

— I kazanie.

— Tak, i kazanie — rzekł i po chwilce namysłu dodał: — Wszak to wszystko urządzić by się dało na drodze, że się tak wyrażę, znowy. Jaśnie wielmożna pani tyłu ma przyjaciół, znajomych! Wystarczyłoby słówko rzucić jednemu, drugiemu.

Mówiąc o rzuceniu słówka, głową ku panu Gudulskiemu i ku pani Gudulskiej skinął, zaznaczając przez to, iżby się oni tem zająć powinni.

— To się robi — rzekł pan Roman.

— Jutro czasu dzień cały.

— To się robi — powtórzył. — Złoży się wizyt parę, a resztę zda się na usługność Guccia, który tłumy sprowadzi.

— Tłumów nie potrzeba — wtrąciła pani Zbędowska.

— To się tak mówi. Właściwie jednak nie o to chodzi, ale o nastrojenie hrabiego względem Jasia. Należałoby się nad tą kwestyą

zastanowić i stosownie kampanię podjazdową obmyślić. Zgodziliśmy się na to jeno, że się wstrzymać potrzeba... A dalej?...

Pytanie zwracało się do pani Zbędowskiej.

Pani Zbędowska odpowiedziała na nie krótko:

— Jestem na wyjeździe.

Odpowiedź ta przykre na interesowanych sprawiła wrażenie. Pani Julia i panna Halina znacząco jedna na drugą spojrzały.

— Bo i my wyjechać musimy — odezwał się pan Gudulski.

Nastąpiła chwila milczenia. Na zgromadzonych przy stole coś zaciążyło niby. W myślach córek pani Zbędowskiej kipiała pretensya do matki, która, zdawało się, chce, jak Piłat, ręce umyć i wycofać się. Wystąpiłyby z tą pretensją, wyrzuty gorzkie na języki im się cisnęły, piękne usta drżały, ale otworzeniu onych przeszkadzał strach, który pani Zbędowska w córki wpoić potrafiła. Konferencya byłaby się na tem skończyła—pani Gudulska bowiem zamierzała już wstać i nastrajała się do chłodnego pożegnania matki, gdyby milczenia nie przerwał Ostępski.

— Ależ to się wybornie układa—zaczął.— Pani Zbędowska dobrodziejka wyjeżdża, państwo dobrodziejstwo wyjeżdżacie: zostaje hrabia

i pan Jan. Pan Jan zapewne na pogrzebie będzie i do hrabiego się zbliży.

— Zawiadomiłam go o śmierci ciotki i poleciłam mu złożenie hrabiemu wizyty kondolencyjnej — wtrąciła pani Zbédowska.

— Jeszcze lepiej! Zbliżenie się pana Jana do hrabiego nie może chyba jak do pomyslnych, do najpomyślniejszych doprowadzić następstw. Ci panowie poznają się, będą u siebie bywali, będą się sobą wzajemnie interesowali i jeden na drugiego oddziaływali.

— I cóż? — odezwał się pan Gudulski.

— W ten sposób romantyzm hrabiego powoli, nieznacznie przeszczepi się do pewnego stopnia w duszę pana Jana i przysposobi ją do przyjęcia propozycji, która, bądź-co-bądź, jest natury bardzo delikatnej. Jaśnie wielmożnej pani Zbédowskiej postanowienie pomyślanem zostało świetnie, znakomicie, z głęboką psychologią znajomością... winszuję!

— Romantyzm — bąknął pan Gudulski.

— Pan dobrodziej na romantyzm zapatruje się pesymistycznie... i słusznie... Podzielać zdanie pańskie... Jest to słabość, gorączka, narażająca dotkniętych nią na następstwa niewesołe, ale... ale... ponieważ słabość ta czepia się ludzi, więc do wyzysku się nadaje. Proszę sobie wyobrazić, że hrabia romantyzmem zaraża pana Jana i szczepi mu w duszy pojęcie

o pokrzywdzeniu sióstr, jeżeliby się zechciał ściśle litery prawa trzymać; jakie stąd wyniknie następstwo? Słabości, widzicie państwo dobrodziejstwo, słabości bywają niekiedy ogromną potęgą.

— Tylko je umieć wyzyskać potrzeba — zauważył pan Gudulski.

— Na tem sztuka cała. Pani Zbęowska sprawę postawiła świetnie, znakomicie, psychologicznie. Niech się grunt uprawia.

Rzekł i na zegarek spojrział. Pani Zbęowska dzwonek przycisnęła. W chwil kilka później odbyło się ceremonialne oznajmienie pogotowia wieczerzy i towarzystwo przeniosło się do sali jadalnej. Adwokat przeprosił, że nie może korzystać z zaszczytu wieczerzania przy stole jaśnie wielmożnej pani, albowiem obowiązek powołuje go.

Spojrział na zegarek.

— Ach! pośpieszać muszę.

Pożegnał się, wyszedł śpiesznie, a naglił go nie żaden obowiązek, ale potrzeba wyrwania się z zaduchu, jaki w eleganckich, z kurzu starannie oczyszczonych, wietrzonych i wykadzanych komnatach wytworzyła interesowność, wydzielająca się w słowach, strzelająca ze spojrzeń, szumiąca w głowach, hucząca w pierśsiach, przewijająca się w uśmiechach.

— Ach!—odetchnął, znalazłszy się na ulicy, rozpinając surdut na sobie.—Zbędowska... godna niewiasta; Julcia, Halinka... godne córeczki; Jaś... godny synek... Tam trup, dokoła trupa mąż i dzieci... Trzeba będzie im jeszcze w oczy spojrzeć. Psie człowieka życie. Ha, no, cóż robić?

Tak w duchu monologując, poszedł do jednej z najwykwintniejszych restauracyi i spis potraw podać sobie kazał. Spożywając sterleta z białym sosem, polędwicę z rożna, kapłona z truflami, ser limburski i zakrapiając jadło burgundem, rozmyślał sobie:

— Hrabia Aleksy... hrabia Aleksy...

Wyrazy te stanowiły niby kanwę, na której się myśli jego dzierzgały.

Przecież był to niegdyś pan, hej! a dziś co? Romantyk. Czy i jak się w nim romantyzm utrzymał? Jeżeli się zaś utrzymał, kto więcej wart: on, zubożały,—czy też oni, wysilający dowcipy na zagarnięcie grosiwa trochy i jeszcze troszeczki? Może i on teraz na to zeszedł... Kto wie... zobaczymy. Gdy się kierunek pewien zamanifestuje, trudno, ach! jak trudno prądowi się oprzeć!

Jadł, popijał i wspomnienia z własnej przeszłości przywoływał. I on niegdyś był

romantyzmu wyznawcą. Wpadł jednak w prąd i prądowi unieść się dał.

— Trudno prądowi się oprzeć — powtarzał, wychylając kieliszki, napelnione płynem rubinowym.

Czuł jednak, iżby wielką miał dla hrabiego cześć, gdyby go znalazł dziś takim, jakim był przed laty.

— Hrabia Aleksy...

Nazajutrz o dziesiątej rano, to jest o godzinie niewizytowej, do mieszkania hrabiego Homirskiego zadzwonił.

Otworzyła mu kucharka. Dał jej kartę i zapytał:

— Czybym mógł pana hrabiego widzieć?

— Czemu nie? — odparła, drzwi mu do jadalnego pokoju wskazując.

Hrabia wyszedł niebawem.

— Dowiedziawszy się o ciosie, jaki pana hrabiego dotknął — zaczął pan Ostępski, — pośpieszam złożyć mu głębokie swoje uszanowanie i wyrazić żywy udział, jaki w smutku jego biorę, udział szczerzy, niekłamany, z głębi serca pochodzący. Wybrałem umyślnie godzinę niewłaściwą, ażeby tem swobodniej wypowiedzieć, co myślę i czuję.

— Dziękuję — odparł hrabia, wskazując gościowi krzesło i siadając obok.—Bardzo panu dziękuję.

— Hrabia mi wybaczy...

— Nic do wybaczenia nie mam.

— Niewłaściwość pory wtargnięcia w jego progi.

— To wina jedna z najmniejszych, jakich się ludzie dopuszczają, wobec mnie zaś żadna, bom z etykietą od dawna rozbrat wziął. Gdybyś mi pan świadomie w pracy przeszkodził, wówczasbyś zawinił. W tym momencie jednak, dzięki — tu sobie pierś dłonią przycisnął — śmierci mojej żony...

— O! hrabina — podchwycił adwokat,— hrabina. Pamiętam ją, w oczach mi, niby żywa, stoi. Jej słodki wyraz oblicza, jej ujmujące, pełne dobroci wejrzenie, wdzięk jej postaci... o!... panie hrabio, stratę waszą rozumiem i czuję.

— Dziękuję panu.

— Nie dziękuj mi, panie hrabio. Nie dziękuje się za dopełnienie powinności.

Hrabia się na to uśmiechnął. Uśmiech po jego znękanej twarzy przesunął się mgławo, z zabarwieniem, znamionującym akcent ironiczny, podłożony pobłażliwością, ilustrującą wiersze następujące:

„Pryncypia, o! pryncypia, jakbym chętnie
Powiedział prosto, co dziś o was myślę.”

Uśmiech ten przypominał oraz dwie strofy, które poeta kończy wyrazami: „A choć mi serce pęka, śmiech mnie bierze.”

Był jednak zabarwiony tak leciuchno i subtelnie, że się na nim pan Ostępski nie poznał. Wziął go za okaz wdzięczności, za współczucie, jakie okazał hrabiemu, dodał więc:

— Cierpisz, hrabio, o! proszę mi wierzyć, że i ja cierpię, myśląc, że tę istotę świetlaną, jaką była hrabina, śmierć zabrała.

Na to hrabia, jakby mówił sam do siebie, odpowiedział:

— Wprawilem się nad cierpieniem panować i nie chwalić się niem przed sobą samym nawet. Zresztą — dodał — powtórne to rozstanie się nasze nie jest na długo. Połączymy się niebawem. To mnie pociesza.

— O! nie myśl tak, hrabio! — zawołał adwokat.— Myśl raczej o smutku, jakiby urzęczywistnienie ci twojej pociechy sprawiło twoim przyjaciółom i czcicielom...

Hrabia spojrział na adwokata, a w oczach jego zaświecił wyraz zdziwienia tak lekki i nieznaczny, jakim był uśmiech poprzedni. Wyraz ten atoli nie uszedł uwagi adwokata. Poznał

się na nim i dodał tonem zwyczajnym, ale z przyciskiem oratorskim:

— Tak, twoim przyjaciółom i czcicielom, którzy przyjaźń i cześć dla ciebie przechowywali i przechowują w głębi dusz swoich. Tak, panie hrabio.

Rozrzewnieniem brzmiały wyrazy ostatnie.

— Pozwól mi złożyć hołd zwłokom hrabiny.

Hrabia, nic nie odrzekłszy, wstał, kroków kilka postąpił i drzwi od bawialnego pokoju otworzył.

Adwokat wszedł, a stanąwszy u nóg leżącego na katafalku ciała, dłonie złożył i głowę pochylił.

Hrabia zatrzymał się na progu.

Katafalk przedstawiał się inaczej, aniżeli wówczas, kiedy po raz pierwszy oglądały go pani Zbędowska i panna Halina. Wygląd jego zmieniły światła i kwiaty. Zamiast czterech, ilość świeczników się podwoiła, a przytem pojawiły się bukiety, girlandy i wieńce, maskujące całkowicie skromną podstawę, na której spoczywały zwłoki zmarłej. Kwietna powódź zalewała komnatę i dośrodkowywała się do katafalka, uwydatniając oblicze nie-

boszczki białości kredowej, rysów zaostzonych, wychudzone i boleścią nacechowane.

Dla pana Ostępskiego widok ten był niespodzianką. Z podełba spoglądał i oczom własnym uwierzyć nie chciał, ażeby ten trup był pozbawionem życia ciałem kobiety, która się przed laty odznaczała pięknnością. „Co to się stało!“ — taki okrzyk w myśli mu zabrzmiał. Wierzyć nie chciał, uwierzyć jednak musiał świadectwu męża, co z progu spokojnie na nieboszczkę patrzył. Spokój ten mieszał adwokata. Uważał za właściwe przystosować się do niego, ale nie wiedział, jaki dać nastrój rozmowie po odejściu od katafalka. Dlatego z odejściem zwlekał, namyślał się, frazesy odpowiednie układał, wyrazy szykował.

Dał się słyszeć dzwonek u kurytarza.

— Wizyta... — rzekł do siebie. — Może pani Zbędownska...

Była to wizyta, ale nie Zbędownskiej. Hrabia z progu zeszedł i po chwili odezwały się wyrazy powitania, zamienione z kimś, co męskim przemawiał głosem.

Adwokat pozostał jeszcze chwil kilka; gdy zaś do przyległego przeszedł pokoju, ujrzał hrabiego w towarzystwie pana Jana Zbędownskiego. O uszy jego obily się tego ostatniego wyrazy:

— Wybacz mi, wuju kochany...

— Cóż ci do wybaczenia mam?... — była hrabiego odpowiedź.— Czyś mi czem ubliżył?...

— Nie... ale...—począł pan Jan bąkać.

— Byłeś młodzieńcem, kiedym cię z oczu stracił; dziś widzę cię mężem dojrzałym...

— Zmieniłem się, ale się nie zmieniły moje dla ciebie, wuju, uczucia... W cię się były usunęły, ale nie zgasły, ani się zmieniły.

— To dobrze... — odparł hrabia — to dobrze...

„To dobrze...“ — zakarbował sobie w głowie adwokat, wyczekując we drzwiach na moment, w którymby mógł, korzystając z przerwy w rozmowie, pożegnać gospodarza domu.

Przerwa jednak nie przychodziła. Pan Jan podchwycił:

— Chcę się poprawić i do ciebie, wuju, jeżeli mi pozwolisz, zbliżyć się...

— Coraz to lepiej... — rzekł do siebie adwokat.

Hrabia odrzekł:

— Nie spotkasz z mojej strony opozycji.

— Czybym nie mógł znajomości z siostrami odnowić?...

— Jeżeli sobie tego życzysz...

— Może nie w tej chwili...

— Zobaczę... zapytam...

Z tem słowem hrabia wstał i, na stojącego we drzwiach Ostępskiego uwagi nie zwracając, do przyległego wyszedł pokoju.

Adwokat do pana Jana podszedł.

— A?... pan?...—zapytał ten ostatni.

— Dawną jest moja, jakem miał zaszczyt panu dobrodziejowi powiadać, z hrabią znajomość... Dowiedziawszy się przeto o bolesnej stracie, jaką poniósł, za obowiązek sobie poczytywałem cześć mu należną złożyć... Co to za godny, co za zacny człowiek!... A nieboszczka... nieboszczka hrabina: jeżeli kobietom dają nazwę aniołów, to jej przedewszystkiem, jeśli nie wyłącznie, ta nazwa się należy. Wszystkie łączyła w sobie przymioty serca i głowy i była pięknnością jedną z najświetniejszych na okolicę... Pamiętam ją, ach!...

Młody człowiek superlatywów tych słuchał w roztargnieniu, spoglądając od czasu do czasu na drzwi, któremi hrabia wyszedł.

Hrabia niebawem wrócił. Towarzyszyła mu panna Teresa.

Zaznajomienie się ciotecznych brata i siostry odbyło się po prostu i naturalnie. Przywitali się, ręce sobie podali i miejsca na krzesłach zajęli.

Adwokat, na widok hrabianki, doznał tego wrażenia, jakie zazwyczaj piękność doskonała

wywiera. Było to czemś na kształt olśnienia. Trwało to chwilkę i nie przeszkodziło mu domyślić się i uznać, że w gronie odnawiającej znajomość rodziny odgrywał rolę zbyteczną. Przytem dostał wskazówki, o jakie mu chodziło. Pozostawało jeno wycofać się z szykiem; w tym więc celu do hrabiego się zwrócił i w następujący przemówił do niego sposób:

— Pozwoli pan hrabia pożegnać siebie, pierwej atoli raczy przedstawić mnie hrabiance...

— Pan Ostępski. . — rzekł hrabia do panny Teresy.

— Dawny znajomy i wielbiciel rodziców pani... Pani mnie sobie nie przypomina, ale ja... o! ja... pamiętam w Szurkach panienkę, która wszystkich, co ją znali, zachwycała... Z tytułu dawnej znajomości mam zaszczyt polecić się łaskawym pani względom...

— O, panie... — odpowiedziała panna Teresa.

— Obowiązkiem moim będzie przed wyjazdem złożyć jeszcze hołd należny...

— Więc pan mieszka?... — zaczęła z akcentem pytającym.

— W Kijowie, do usług...

Rzekłszy to, skłonił się, hrabiemu i panu Janowi dłoń kolejno do uścisku podał i oddalił się.

Bytność jego najmniejszego po sobie nie pozostawiła wrażenia. Gdy wyszedł, mowy o nim nie było. Pochodziło to w części stąd, że osobistość pana Ostępskiego nie nadawała się do zwracania na nią szczególnej uwagi, głównie zaś stąd, że okoliczności, wśród których wizyta jego się odbyła, nie sprzyjały zajmowaniu się przedmiotem, nieznajdującym się z niemi w styczności bezpośredniej. Znikł— i jakby dla hrabiego, hrabianki i pana Jana nie istniał na świecie.

Pan Jan pogarnął się do kuzynki. I na niego jej piękność wrażenie wywarła. Była bo to piękność rodzaju osobliwego, niemająca nic wspólnego z temi, co brylują, głowy ludziom zawracają i trzonkiem wachlarza manewrując jak berłem, panują nad tłumami wielbicieli. Biła od niej wysłowić się niedająca dziewczicza powaga, taka, co to sprawia, że „zbliżyć się ludzie i kochać nie śmieli.“ Dostrzedz się w niej nie dawał cień wyzywania, budzącego pociąg w istotach płci odmiennej. Z postaci jej wydzielala się wyższość nad wszelakie pożądlivości, owa wyższość nieskazitelna, która po wsze wieki czczoną była w niewiastach

i stanowiła przymiot, wyświęcający je na westalki, na kapłanki znicza, wreszcie na oblubienice Chrystusa. Gdyby się była urodziła w owych czasach, kiedy się wojny toczyły dla łupów i kobiety stanowiły artykuł jeden z najbardziej poszukiwanych i pożądaných, panna Teresa, jako branka w rękach wojowników najdzikszych, byłaby z pewnością otoczona poszaną, trzymającą od niej zwycięzców w oddaleniu. Nieskazitelność kobieca odnosi się bezpośrednio do pojęć metafizycznych, wyprzedzających materję z ducha i domagających się, ze względu na życie duchowe, poszanowania duszy nad ciałem. Ezoteryzm indyjski, egipski, grecki na tem się opiera. Pojęcie to przeszło do chrystyanizmu i wytworzyło ideał czystości dziewiczej, święty i nietykalny, stojący na skraju, łączącym człowieczeństwo z bóstwem. Ideał ów, którego upostaciowanie jest jednym z najtrudniejszych sztuki plastycznej zadań, wciela się niekiedy w postać żywą.

Takiem ideału dziewiczego wcieleniem była panna Teresa.

„Zbliżyć się ludzie i kochać nie śmieli.“

Nie odpychała postawą swoją, ale w osobnikach płci męskiej wzbudzała zapytanie: „Czy ja jej godzien?“

Wzbudzała to zapytanie samą postawą swoją, wejrzeniem, mówiącem: *noli me tangere*, uśmiechem, który się pojawiał jako obietnica nagrody za... za przyniesienie białego kwiatka z przepaści. Na obliczu jej jaśniała pogoda cicha, słodka, rozkoszna, nie mrożąca zimnem z pod biegunów, nie paląca ogniem równikowym, ale nieubłagana na punkcie czystości duszy.

Pan Jan, wobec niej się znalazłszy, skłonił się, głowę pochylił i przemówił:

— Siostro.

Po chwilce zapytał:

— Nie wiem, czy mi wolno?

Panna Teresa nie umiała odpowiedzieć na to.

— O jaką wolność ci chodzi? — odezwał się hrabia.

— Niegdyś byliśmy ze sobą jak brat z siostrzyczką.

— Czemużbyście tak samo nie mogli być teraz?...

— Bo siostrzyczka... siostrzyczka... spoważniała; ja zaś...

— I tyś spoważniał.

— Poważną ilość grzechów i grzeszków nakarbowiałem sobie na sumieniu — odrzekł.

C'est le ton, qui fait la chanson — powiadają Francuzi. W tonie słów młodego człowieka zabrzmiał akcent tej szczerości, jaka jest wymagana od penitenta, co do win się przyznając, żałuje za nie. Akcent ów zafrapował hrabiego i hrabiankę. Hrabia odchrząknął, coś przemówić chciał; lecz go panna Teresa uprzędziła. Rękę panu Janowi podała i rzekła:

— Odnowimy dawną znajomość i dołożymy starania, ażeby się porozumieć. Czy dobrze, Jasiu?

— Ach! — zawołał, i powtarzając: — Tereniu, Tereniu, Tereniu! — rękę jej całował.

— Jam brata nie miała — odezwała się hrabianka.

— Porozumiemy się.

Hrabia przywołał Marynię i Franię. Nastąpiło krótkie familijne posiedzenie, które się zakończyło złożeniem hołdu zwłokom nieboszczki.

Pan Jan, wsiadając do czekającego nań przed kamienicą pojazdu, kazał stangretowi wieźć siebie na Łabędzią N-r 3.

VII.

Przy ulicy Łabędziej, pod numerem trzecim, wznosiła się kamienica, jedna ze wspaniał-

szych, mimo że leżała poza właściwym miasta obrębem. Mieszkania w niej były tańsze, aniżeli w śródmieściu, luboć tym ostatnim nie ustępowały w niczem, a nawet je przewyższały w niejednym względzie, szczególnie zaś w tym, że dawały swobodniejszy przystęp powietrzu, o wiele stosunkowo czystsze. Przed tą kamienicą wysiadłszy, pan Jan Zbędowski wszedł w podwórze i przez drzwi na prawo dostał się na drugie piętro, na którem zadzwonił do jednego z numerów. Otworzył mu młody człowiek w fartuchu, z miny i czupryny na czeladnika wyglądający.

— Pan Paweł w domu? — zapytał.

— W domu — była odpowiedź.

Cofnął się i drzwi do salonu otworzył.

Gdy pan Jan próg salonu przekroczył, człowiek w fartuchu w te do niego odezwał się słowa:

— Niech pan chwileczkę poczeka. Pan Paweł zajęty, ale nie tak, ażeby wyjść nie mógł.

Ów fartuchowy nie zdradzał zgoła kondycyi służebnej, nie zapytał bowiem pana Jana, kto zacz jest, i w słowach kilku, jakie z nim zamienił, czuć się dawał akcent poufałości.

Wpuścił go do salonu, sam znikł.

Salon miał wygląd kawalerski, był obszerny i zaopatrzony w sprzęty tak, że kilka, kilkanaście osób mogłoby się w nim swobodnie ruszać i miałyby na czem usiąść. W kącie, przy jednym z okien, których dwa na powietrze i światło się otwierały, stał ogoniasty z fabryki Erarda fortepian; na ścianach, w zawieszonych malowidłach, znawca od jednego oka rzutu rozpoznawał pędzle Matejki, Brandta, Chelmońskiego i innych; stoły i stoliki służyły za skład ilustracyi, albumów i tek; wyroby dłuta, zdobiące okap kominka i kąty, pochodziły z pracowni Brodzkich, Welońskich; w rozkładzie tych ozdób panował smak, świadczący, że nie próżność je dobierała, rozwieszała i rozstawiała, lecz poczucie estetyczne, kierujące się o tyle zamiłowaniem, o ile znawstwem. Dzięki temu poczuciu salon miał minę małego muzeum, gromadzącego w sobie wyborowe okazy pędzla, dłuta i sztuki typograficznej.

Pan Jan nie rozpatrywał się w okazach. Wszedłszy, udał się wprost do okna, które było otwarte, stanął, i ująwszy się w bok ręką prawą, puścił wzrok w kierunku pól, widnych z poza rzadkich i niskich zabudowań, zapelniających przedmieście. Ukazywała się w perspektywie zieleń, przetykana odosobnionymi domkami i bukietami drzew, które się w dali

wzdłuż traktu szeregowały w linię, gubiącą się na horyzoncie. Z boku połyskiwała zwierciadlaną powierzchnią woda rzeki czy jeziora; tu i owdzie iskrzył się krzyż blaszany na wieży kościelnej. Widok nie był pozbawiony wdzięku malowniczego. Nie zajmował on jednak pana Jana. Stał, patrzył, ale nie widział ani pól, ani budynków, ani drzew, ani opromienionych wieżyc.

Niebawem później otworzyły się nieco drzwi boczne i wyjrzało przez szczelinę czyjeś oko, poczem wnet drzwi się otworzyły na ścieżaj, dając przejście młodemu, odzianemu w kitel płócienny człowiekowi.

Na skrzypnięcie drzwi pan Jan się odwrócił.

— Ciekaw byłem — zaczął człowiek w kitalu, — kto też do mnie o tej porze porannej zawitał. Podglądałem ciebie przez szparę i stawiam się przed tobą w toalecie robotniczej.

— Możem ci przeszkodził? — odezwał się pan Jan.

— Phi! Nie powiem, żeś pomógł, aleś nie przeszkodził w tym stopniu, ażeby stąd groźne jakie wyniknąć mogło następstwo. Mam zresztą wyręczycieli.

— W każdym razie... jeżeli...

— Ależ nie... nie!...—przerwał gospodarz domu.—Siadaj.

— Tu, czy w biurze? — zapytał pan Jan.

— Chodźmy do biura. Proszę cię — odrzekł, ręką na drzwi wskazując.

Biuro biurem było, bo taką nazwę nosiło, lecz zasługiwało na nazwę pracowni ze względu na ilość książek, osłaniających wszystkie ściany i wypełniających półki ruchome, mogące być na kółkach przeciągane z miejsca na miejsce. Księgozbiór ten reprezentował trzy literatury naukowej rodzaje: chemię, fizykę i gospodarstwo rolne. Na ustawionym pośrodku stole długim znajdowały się przybory do pisania, a przytem miary, wagi, instrumenty matematyczne, jako też rozmaitej wielkości i rozmaitego kształtu maszynki i modele. Rękopisy i wypełnione cyframi papiery rubrykowane świadczyły o pracy umysłowej, polegającej na krystalizowaniu myśli na podstawie liczb. Przy stole stało kilka skórzanych z zaokrąglonemi poręczami foteli. Dwa z nich gospodarz zesunął jeden obok drugiego i wezwał gościa:

— No... siadajmy.

Podał mu następnie paczkę papierosów i zapytał:

— Jakże się miewasz, Jasiu?

— Czuję, że się rozstrajam.

— Noo?

— Albo raczej... przestrajam się.

— Jakże to się dzieje?

— Sam nie wiem jeszcze. Objawiają się we mnie symptomy, z których sobie dokładnie sprawy zdać nie umiem.

— Do lekarza z nimi!

— Ba... Chybaby psychiatra mógł coś o nich powiedzieć.

— Przerażasz mnie.

— Mnie się zdaje, że nic w tem niema przerażającego—odrzekł pan Jan, zapalając od płomienia zapalki papieros.

— Jest coś przecie.

— Jest to, że zaczynam mieć siebie za głupca i błązna.

— Co mówisz, Jasiu?

— To, co słyszysz, Pawełku: mieć siebie zaczynam za głupca i błązna. Postrzeżenie to czysto subiektywne przyszło ukradkiem, z razu niewyraźnie, powoli się wzmacniało, aż się wzmocniło tak dalece, że dziś do ciebie po to przyjechał umyślnie, ażeby ci o tem powiedzieć.

— Rzecz to dla mnie ciekawa, ale niedowiedziona. Nie od dziś się znamy.

— Za cóż mnie masz?

— Za co?... hm...—mruknął pan Paweł.—
W Liège miałem ciebie za dobrego chłopca,
trochę wartogłowa.

— Liège... o! dawne dzieje.

— Lat dziesiątek.

— Z górą.

— Chociażby. Rok mniej, rok więcej,
w rachubę nie idzie. Kiedym się zwrócił do cie-
bie, ażebyś mnie wprowadził w świat niezna-
ny, znalazłem w tobie tego samego, do odda-
wania usług koleżeńskich skorego Janka, ja-
kim byłeś czasu onego w Liège.

— Tak, to być może — odparł pan Jan
z zastanowieniem.—Znalazłeś mnie tego same-
go, do usług koleżeńskich gotowego. Chcia-
łeś, żebym ci pilotował w świecie obcym to-
bie. Pilotowałem, prowadziłem cię i na scenę
i za kulisy. Dzięki mnie, poznałeś, jak się
komedia gra. Ale się zawiódł na tobie.

— W jakim względzie? — zapytał pan
Paweł.

— Myślałem, że chcesz zostać aktorem,
a tyś został widzem.

— Rzecz gustu.

— Jest w tem coś więcej i co innego, ani-
żeli gust. Gust? Zapewne... Pilotując tobie,
dostrzegłem różnicę... gustów, jeżeli chcesz,
ale podszytych materyałem, zmieniającym je

z gruntu, czyniącym z jednych posiew piękna i dobra, z drugich rzecz szkodliwą. Różnicę tę rozumiałem jeszcze w Liège; rozumiałem, alem jej nie brał na seryo, oddając siebie fali, niech mnie niesie. No, i niosła mnie fala, niosła, ażeś się zjawił i doniosłość różnicy w oczy mi skoczyła.

— Hm!—mruknął pan Paweł.

— Rozumiesz mnie?

— Zrozumieć się staram.

— Wytłómaczę ci przykładami, tak jak nam tłómaczyli profesorowie, których wykładów ty słuchałeś inaczej, ja inaczej. W świecie naszym, składającym się z osobników, mających co najmniej trzydzieści tysięcy dochodu rocznego, fala, której się unieść dałem, wytworzyła dwa typy, idące przodem: Jeden reprezentuje hrabia Pomorski, wielki pan, spekulant, bankier, przemysłowiec, rachujący się ściśle, robiący majątek i odkładający pewną część dochodów na ostentacyę i dobre uczynki. Jego salony są najświetniejsze, jego bale najświetniejsze, jego karety, konie, służba oczy zrywają i za wzór służą, jego stajnia wyścigowa w Europie słynie, a przytem nie znajdziesz towarzystwa dobroczynnego, instytucyi naukowej, przedsiębiorstwa, interesującego publiczność, w któremby udziału nie brał, czy to

jako prezes, czy jako czynny lub honorowy członek, a zawsze jako „znany filantrop“ i „wspaniałomyślny dawca,“ ofiarujący tu sto, tam pięćdziesiąt, ówdzie dziesięć albo pięć rubli, zaznaczonych w budżecie z góry w rubryce „suchych strat.“ Hrabia Pomorski, którego znasz, to typ jeden. Drugi... to ja.

Pan Paweł się uśmiechnął.

— Nie podaję siebie za przewodnika — ciągnął pan Jan, — *loin de là!* Na to mnie nie stać; ale mam niejakię prawo mieć się za okaz typowy, będący wierną hrabiego Pomorskiego reprodukcją bez głowy i ogona.

— Szczególna reprodukcya! — wtrącił pan Paweł.

— Daj mi głowę spekulacyjną i ogon filantropijny, a będę reprodukcją tak wierną, jak jedna kropla wody dystylowanej jest reprodukcją drugiej. Brak mi tylko takiej głowy i takiego ogona.

— Bagatela!

— Ten brak w niczem nie nadweręża gustu, który nami kieruje i nas samych, nas wyłącznie, na ołtarzu stawia. On, z głową i ogonem, sobie i dla siebie ofiary składa; ja bez głowy i ogona to samo czynię. Nieprawdaż, że jego i mój gust brzemienny jest szkodliwością?

— Jeżeli o tem wiesz — odparł pan Paweł,—a kierunek ten nie podoba się tobie, to... czyż niema na to sposobów zaradczych?

— Ba... sposoby zaradcze? Zapewne, że są; świadczą o tem: nawracanie niewiernych, poprawianie grzeszników, pokutowanie Magdaleny... Działo się to jednak bardzo dawno, kiedy praktykom spirytystyczno - hypnotyczno - magnetyczno-medyumicznym przydywiał Hermes Trismogista, a ludzi po śmierci przed kratkami sądowemi stawiano; to raz. A powtóre, nie o to mi *pour le moment* chodzi, ale o zaznaczenie różnicy gustów i wynikających z niej następstw. Może to tylko prosta we mnie ciekawość, ciekawość jednak niezupełnie interesu pozbawiona. Co?...

— Tak — odpowiedział pan Paweł.

— Może cię nudzę?

— Bynajmniej... Przeciwnie... Przedstawiasz mi się ze strony dla mnie nowej.

— Psychopatycznej?... he?...

— Zgoła nie.

— Nagadałem ci dużo; teraz ty musisz głos zabrać.

— W jakiej materji?

— Nie widzę dobrej racyi, dla której nie na wsi, ale w mieście przesiadujesz i dla której kazałeś mi siebie po salonach oprowadzać.

— Jedno i drugie usprawiedliwisz może, gdy ci powiem, że do zamieszkania na czas jakiś w mieście zniewoliła mnie potrzeba zrobienia kilku analiz i kilku doświadczeń, coby na wsi, przy braku gabinetów, materyałów i doradców odpowiednich, było więcej niż trudnem; co się zaś salonów tyczy... jak wiesz, nie znałem ich... chciałem je poznać, zaspokoić ciekawość, która we mnie od dawna nurtowała.

— Groziło ci poślizgnięcie się na nich.

— Trudno się ślizgać po kobiercach.

— Ja jednak—rzekł pan Jan nawpół do siebie—pośliznąłem się.

Pan Paweł długo na obliczu kolegi zatrzymał wejrzenie—i luboć to wejrzenie nic nie mówiło, pan Jan odpowiedział, jakby pytany był:

— Dałem się zanarkotyzować. Narkotyzm w salonach naszych pełną bije falą i, nie dziw, stanowi główną ich bytu racyę. Dekoracye, stroje, ramiona, fryzury, wonie, nastrój cały jest nie czem innym, jeno umiejętnie a głęboko wystudyowaną kombinacyą najsubtelniejszych narkotyków, działających potężnie na zmysły i nerwy. Sądziłem, że paryskie wieczery w gabinetach, paryskie wieczorki u półświatówek i przyjaźnie z niemi serce mi

wysuszyły i przeciwko narkotyzmowi salonowemu zabezpieczyły... Otóż nie!... Złapałem się... Nie dostrzegłem zastawionych na mnie sideł.

— Długoś z żoną mieszkał?... — odezwał się pan Paweł.

— Straszliwie długo... aż trzy lata. Nieporozumienie pomiędzy nami zaczęło się w ciągu poślubnej wędrówki. Upojenie wzajemne trwało tydzień niespełna. Konwojując cię przeto na salony, myślałem sobie: „Kiedym ją się złapał, to cóż on dopiero!“ Byłem pewny, że ofiarą w krótkich padniesz abcugach.

Pan Paweł się uśmiechnął i odrzekł:

— Ludzie się jednak żenią i ofiarą nie padają.

— Zdarza się to, gdy się odpowiednio dobiorą temperamenty.

— Gdy miłość złączy.

— Miłość!.. Ty w nią wierzysz?

— Jest faktem.

— Oskrzydlonym tyłu i takimi warunkami, że uważać ją należy za obłąd zmysłowy. Miłość?... cha, cha!... On kocha dla siebie, ona kocha dla siebie, łączą się, poznają istotę rzeczy i albo słabsza strona ulega mocniejszej, albo też, gdy są mocy równej, sprawiają sobie

w domu piekło lub piekielko, które w sferze wielkoświatowej ma swój właściwy, mocny, korzenny, odurzający zapaszek.

— Umiłowanie wspólne bądź-to zadania poważnego, bądź też idei wzniosłej, czy nie może być rozjemcą sporów domowych, rękojmią zgody małżeńskiej, poręką miłości?

— Bardzo chyba wyjątkowo w sferze naszej; w innych dziatki, liczenie wspólne krup i tym podobne ideje wzniosło oddziaływują zapewne na harmonię do pewnego stopnia. O tych sferach nie mówię, to dla mnie *terra incognita*. Wiem o nich nieco ze słyszenia. Mówię o tej sferze, w której się obracam i do której ci majątek twój szeroko wrota otworzył.

— Nie pochlebia mi to — wtrącił pan Paweł.

— Ale ci ułatwia wartości jej cenie. Zdarzają się wyjątki — dodał, przybierając nagle akcent zamyślenia, — zdarzają się. Masz rację: idea... Zaczęliśmy mówić o gustach, wedle których wykazałem ci typu jednego dwa rodzaje: rodzaj z głową i z ogonem i rodzaj bez głowy i bez ogona. Gustu drugiego typowe przedstawicielstwo również na dwa rozpada się rodzaje, także zaznaczone obecnością i nieobecnością tych samych apendyktów. Rodzajowi z głową i z ogonem odpowiadasz ty;

rodzajowi bez głowy i bez ogona... ktoś, kogo ci pokażę, jeżeli jutro około jedenastej rano będziesz do rozporządzenia...

— Jutro?... około jedenastej?... A... nie mogę, jestem zamówiony...

— Szkoda. Byłbym cię zawiódł na pogrzeb.

— Właśnie na pogrzebie mam być... w kościele świętego Michała.

— Skądże to?

— Zbędowska mnie zamówiła.

— A!... Zajadę więc po ciebie... Razem pojedziemy.

— Dobrze — odparł pan Paweł.

— A zatem... adiu... do jutra... — rzekł pan Jan, wstając.

Wstał i pan Paweł.

— Wszak to pogrzeb hrabiny Homirskiej?

— A tak — odrzekł pan Jan.

— Żony chyba tego Homirskiego?

— Tego... — odpowiedział.

— Czy on sam żyje?

— Żyje... Pokażę ci go... To, co do gustu, drugi ty, tylko bez chemii, bez majątku i bez zdrowia. Ruina... Może widok jej przyda ci się na co. We mnie, nie wiem dlaczego, wzbudza ona cześć.

— Efekt ruiny.

— No, do jutra.

Uścisnęli sobie dłonie i rozstali się u drzwi wchodowych.

Pan Paweł przez salon, przez pokój jadalny, przez biuro, wracał powoli, zatrzymując się od czasu do czasu. Zatrzymywał się bez żadnego widocznego powodu. Rozmyślał. Do rozmyślenia temat nasunęła mu rozmowa z dawnym kolegą szkolnym, który mu kolorami nie nader wesołymi odmalował świat, stanowiący czoło społeczne. Do świata tego pan Paweł należał i nie należał: nie należał wedle niezupełnie jeszcze wygasłych wyobrażeń dawniejszych, wyznaczających tym, co się mniejszym lub większym szeregiem antenatów wykazać mogli, osobne, poczystne stanowisko. Antenaci jego nie zanotowali nazwiska swego—kto wie nawet, czy posiadali je w tem brzmieniu, w jakim jemu służyło, a które on zachował, pomimo że mu ten i ów podsuwał radę nadania onemu powagi przez proste końcówki dołączenie. Dołączenie to starczyłoby za legitymację, którą zastępował majątek. Skowrońskiego bogatego żadnemu Potockiemu czy Lubomirskiemu na myślby nie przyszło pytać, czy który z przodków jego piastował buławę, czy który w senacie zasiadał bodaj na drażku. Skowrona zaś równał z nimi tylko majątek,

nic innego. Tytuł ten odpowiadał zmianom w pojęciach, jakie rozwój przemysłu wprowadził. Do grona arystokracji wszedł na podstawie dokumentów, zapisanych w wykazach hipotecznych i papierach wartościowych, zastępujących pergaminy i pieczęcie.

Dokumenty te nadawały mu w sferach wysokich znaczenie większe, aniżeli gdyby był ubogim potomkiem hetmańskim. Ta przytem osobliwość, że się w nim, mimo że takie gruntowne posiadał tytuły, nie dawał ani z daleka nawet podejrzewać potomek Izraela, w mniemaniu „świata“ stawiało go wyżej od arystokracji finansowej, pochodzeniem tem się szczytującej. Miano go za swego z krwi i kości i widziano tem chętniej, że się prezentował dobrze: wzrost średni, budowa szykowna; nie wyglądał na Endymiona, ale mu z czoła i z oczu widniała intelligencya. Brakowało mu jeno szyku salonowego, tej pewności siebie, którą nawyk daje. Wobec płci pięknej miał minę obwinionego, stawionego przed sądem, do winy się niepoczuwającego, jednak nieufającego w nieomylność sprawiedliwości, przedstawiającej się pod postacią istot, będących najszczytniejszem piękną wcieleniem.

Może dlatego, że mu się płeć piękna w postaci sędowniczej przedstawiała, żadnej

z czarodziejek salonowych usidlić się nie dał. Nadaremnie Kupido strzelał do niego ze źrenic czarnych jak „cienie Eblisa,“ jasnych jak „błękit niebieski“ i wszelakich inaczej zabarwionych. Strzały, acz ostre i trafnie puszczone, celu chybiały, w serce nie trafiały. Z racyi tej w oczach jednych uchodził za głąba, nieznanjącego się na strzelistości flirtycznej; w oczach drugich—za mistrza, biegłego w wymijaniu zawrotów niebezpiecznych. Papa Goldhaber, który się w interesach zaszłapał i tylko bardzo zrzęcznie bankructwo maskował, a miał na wydaniu bardzo nadobną córkę, wychowaną na hrabinę, nazywał go fajnerem.

— Kiedy mojej Jadzi na wędkę wziąć się nie dał, to już aus... — mawiał o Pawle Skowronie.

Pan Paweł, po rozstaniu się z panem Janem, minut dziesięć, jeżeli nie więcej, chodził w zamyśleniu. Po głowie mu się snuła rozmowa z kolegą i z rozmowy wysnuła się osobistość jego, albo raczej analiza osobistości, posiadającej zdolność rozumienia i zdawania sobie sprawy z natury życia światowego, nieposiadającej jednak mocy opierania się prądom, które sam uznaje za idące w kierunku błędnym. Jana Zbędowskiego znał; spędził z nim lat parę razem na naukach, co do których

zachodziła między nimi ta różnica, że Jan traktował je przez ramię, on zaś (Paweł) upatrywał w nich rodzaj materiału budulcowego, wymagającego obrobienia starannego i dokładnego w odniesieniu do zadania, jakie na nich ciąży. Zadanie to, w mniemaniu Jana, było przedewszystkiem ornamentacyjnem. Uczył się więc, jak się zazwyczaj uczą młodzi wielcy panowie, którym chodzi o to, ażeby powiadano, że uczęszczali na kursa w jednym z głośniejszych uniwersytetów. Jan też „uczęszczał:“ niekiedy na wykładach bywał, czasami do książek zaglądał, z kolegami dysputował, do poduszki romanse francuskie czytywał, późno chodził spać, późno wstawał, brał lekcyę gimnastyki i fechtunków, nauczył się po angielsku i z kilku przedmiotów stawał do egzaminu. Mimo to, rozumiał, że ornamentacya, jeżeli ma mieć znaczenie jakie, nie może być kwiatkiem przy kożuchu, że nauka odnosić się winna do tła odpowiedniego. Często o tem w gronie studentów bywała mowa; że zaś w tym czasie modnem się stało śród młodzieży uniwersyteckiej rozprawianie o różniczkowości klasowej, Jan przeto przydatność wiedzy odnosił do tej klasy społecznej, do której faktycznie należał. Lokował ją w życiu, ogniskującym się około wielkoświatowego salonu,

w życiu troski o używanie, wymagające umiejętności w szerokim zakresie. Przy stawianiu pałaców, urządzaniu domów, zaprowadzaniu parków, ogrodów, galeryi sztuk pięknych, stajni wyścigowych, panowie na śmieszność się narażają, jeżeli sami nie posiadając znajomości architektury, ogrodnictwa, estetyki, chowu koni, spuszczają się na specjalistów. Przysłowiowymi stały się bąki, jakie w tym względzie bankierzy strzelają, popisując się przed światem płatnem amatorstwem i płatnem znawstwem. Członek klasy używającej znać się powinien na wszystkim i znać się o ile można najlepiej, zwłaszcza zaś na tem, ku czemu się w nim zamięłowanie rozbudzi. Gusta szczególne wyprowadzają niekiedy ludzi na znakomitości, jak na przykład wykierowały X. na botanika, Y. na archeologa, Z. na hodowcę papug, które po zejściu z tego świata, wypchane i w szafach ustawione, wytworzyły kolekcję, jakiej nie posiada żadne muzeum ornitologiczne. Nauka przeto służy wielkim panom, służy, przyozdabia ich—i dlatego Jan oddawał się jej od niechcienia, czekając na rozbudzenie się zamięłowania specjalnego. Specjalne atoli zamięłowanie nie rozbudziło się w nim. Wszedł w świat z ogólnem, encyklo-

pedycznym pojęciem o wszystkim, przyozdobił się i zdoił sobą salony.

„Był w Liège, słuchał wykładów w Heidelbergu, uczęszczał na prelekcye w Lipsku i Berlinie...” — głosiła o nim fama.

Zdoił salony, ożenił się, majątku nadzarpnął, z żoną się separował i salonów zdoić nie przestawał.

W tej fazie zgłosił się do niego Paweł w charakterze aspiranta do salonowego życia.

Pan Paweł, zrobiwszy w myśli przegląd swego do pana Jana stosunku i zestawwszy takowy z tylko co stoczoną z nim rozmową, taką stąd wypośrodkował konkluzję:

— Co prawda, nie na osobliwego trafiłem pilota. Jutro pogrzeb Homirskiej... hrabiny... Coś o hrabiach Homirskich słyszałem... Historia to nazwisko zanotowała, ale to się tyczy przeszłości... Ci zaś?... Coś o nich jednak słyszałem...

Przypominał sobie i poszedł dalej; minął pokój sypialny, wyszedł na kurytarz i wkroczył do izby, zaopatrzonej, niby kuchnia, w piece, piecyki, okapy, jako też w półki i stoliki, zastawione słojami, słoikami, butlami, fiolkami i rozmaitego kształtu i wielkości naczyniami, po największej części szklanemi. Było to laboratorium chemiczne. Jednemu ze słoików,

napełnionemu do połowy płynem brunatnym, przypatrywał się pilnie ów młody człowiek w fartuchu, który panu Janowi drzwi otworzył.

— Cóż?.. idzie?...—zapytał go pan Paweł, obok stanąwszy i na słój patrząc.

— Nie idzie... — była odpowiedź.

— No?...

— Przypuszczać zaczynam omyłkę.

— W czym?

— W wyznaczeniu stosunku...

— Bój się Boga! Würtz!

— Czy to on nieomylny? A zresztą zająć mogła omyłka w druku. Zdarza się to...

— Zdarza się — potwierdził pan Paweł, biorąc fartuch na stołku z boku rzucony i wkładając takowy na siebie. Powtórzymy jeszcze raz... i jeżeli nie pójdzie, trzeba będzie próbować inaczej.

Zapiąwszy fartuch, zasiadł przy jednym ze stolików, na którym stały ważki, i począł ważyć na nich wydobywane ze słoików grudeczki i proszki. Przedmioty zważone układał w szeregu na białych kartonach rozmiaru dużych kart wizytowych. Czynność ta zajęła go całkowicie.

VIII.

Na zegarach miejskich wybiła jedenasta, gdy przed kościołem Świętego Michała zatrzymał się wóz pogrzebowy, wiozący okrytą prostym całunem trumnę. Wzdłuż sztachet kościelnych stało kilka karet i kilka powozów odkrytych. Zdawało się, że skromna trumna, przyozdobiona jedynie kwiatami, w żadnym nie pozostawała stosunku do pojazdów, przy których liberya i na których herby świadczyły, że pochodzą ze sfery wysokiej. Prawie nie było powozu, na którymby nie figurowały znaki rodowe. Widniały one i na ustawionym na środku kościoła wspaniałym katafalku, zaznaczone koroną hrabiowską. Katafalk, osłonięty kirem, otoczony światłem jarzącym-przybrany w lampasy i frendzle srebrne, stanowił kontrast rażący ze skromnością trumny, którą słudzy pogrzebowi wnieśli i na wysokości postawili.

Wierzyć się nie chciało, że ta trumna dla tego jest katafalku.

Wszedł za nią hrabia Aleksy Homirski, zatrzymał się, okiem po katafalku powiódł, brwi zlekka zmarszczył, i nic nie rzekłszy, z boku w ostatniej usiadł ławce. Obok niego trzy jego córki zajęły miejsca. Panienki miały

na sobie odzież żałobną, nie wystawną jednak. W żałobie oczy zwracającej wystąpiły: pani Zbędowska, pani Gudulska i panna Halina. Na czarnej ich odzieży znać było rękę krawca-artysty i cechę mody, umiejętnie przystosowanej. Panna Halina wyglądała niby brzoza płacząca, krepą chmury czarnej owiana. Pani Zbędowskiej żałobne szaty nadawały akcent surowej boleści. Oprócz tych pań, zgromadziło się w kościele osób płci obojej mniej więcej trzydzieści, ale samo czoło, sam wybór towarzystwa. Obecność ich nie zapełniała wnętrza świątyni, jednej z pomniejszych. Kościół świeciłby pustką, gdyby wspaniały katafalk nie ściągnął w znacznej ilości dziadów i bab, którzy: „czy pogrzeb, czy to chrzciny—śpieszą.“ Zapełniali oni szary koniec świątyni, i odmawiając za umarłych pacierze, dziwili się kontrastowi pomiędzy trumną a katafalkiem. Słyszeć się dawały wśród nich szepty:

— Wieczny odpoczynek... jakaś chudzi-
na, czy co!... Klepsydry nawet nie było... Nie
wiesz, kto to się wyciągnął?... — pytała baba
dziada.

— Światłość wiekuista... Co ci do te-
go!... Patrz, żebyś się nie pchała przede
mną... — odpowiedział dziad babie.

— Daj im, Panie... Och, Panienko naj-słodszą!... och, Jezusieńku najmilejszy!... W żałobie trzy w pierwszej ławce i trzy w ostatniej... Te chyba od katafalku, te od trumny...—kombinowała baba, powodząc przygąsłem okiem po obecnych w kościele.

— Kto jałmużnę rozdawać będzie?...—frasował się dziad.

— Taka tego garstka... Chyba mało co kapnie...—zauważyła baba.

— Ino ty się nie pchaj... Koście ci w gospodzie połamię...

— A ja ci to pyska nie podrapię?

— Gębę stull!... Niechaj im świeci na wielki wieków...—westchnął dziad, usuwając się dwóm młodym panom, którzy weszli, gdy księża w żałobnych ornatach nabożeństwo rozpoczęli.

Młodzi panowie zatrzymali się nieopodal od ławki, w której hrabia Aleksy z córkami siedział. Byli to panowie Jan i Paweł. Ten ostatni w przejeździe z Łabędziej do kościoła oświadczył się ze stosunkami, jakie rodzinę Zbędownskich łączyły z rodziną Homirskich, jako też z losem tej ostatniej. Los ów żywo go zainteresował. Utrata dużego majątku jest zawsze rzeczą ciekawą, z dwóch mianowicie względów: z tego, że spotkać może każdego,

i z tego, że wywołuje zapytanie: jak się doknięty nią zachowuje? Pytanie to należy do zakresu etyki, która, bądź-co-bądź, ludzi obchodzi, nie wyjmując samolubów najbezwzględniejszych. Pan Paweł samolubem nie był: świadczyło o tem jego branie się do rozwiązywania zadania życiowego,—dlatego też, gdy w kościele obok pana Jana stanął, wnet zrodziła się w nim chęć wyszukania wśród obecnych hrabiego Homirskiego i spojrzenia na niego. Szczupła liczba obecnych ułatwiła mu zadanie. Powiódł po ławkach okiem i zatrzymał wejrzenie naprzód na trzech paniach w eleganckiej żałobie, siedzących w pierwszej ławce,—następnie na trzech pannach w żałobie skromnej, zajmujących ławkę ostatnią. W tem gronie dwie wyglądały na panienki w wieku podlotków. Te po cichu płakały. Trzecia, pomiędzy nimi najstarsza, modliła się i od czasu do czasu zwracając głowę ku katafalkowi, wpatrywała się w trumnę. Panu Pawłowi oblicze jej ukazywało się z profilu, który go zastanawiał poprawną, klasyczną harmonią rysów. Nos, usta, oko, forma czaszki, wytok szyi, rozmiary biustu, harmonia ogólna, odpowiadająca temu wszystkiemu złocistość bujnych włosów, mieniących się w oświetleniu, spływającym na nie przez kolorowe szyby okien

kościelnych, owiewający oblicze wyraz smutku—czyniły z niej upostaciowanie dźwięków, brzęących w marszach pogrzebowych Chopina lub Beethovena. Pan Paweł, raz na nią spojrzawszy, oczu od niej oderwać nie mógł. Od niej ku niemu szedł nastrój modlitewny, bardzo smutny, a czysty i tak przejmujący, że młody człowiek przestał zaciekawiać się do hrabiego Homirskiego, nie obchodziło go nawet, kto ona.

Uwagę jego oderwało od niej kazanie. Kaznodzieja wysławiał cnoty nieboszczki, opowiadał o jej cierpieniach przedgonnych, podawał ją za wzór rezygnacyi chrześcijańskiej i pocieszał pozostałą po niej „w żalu nieutuloną“ rodzinę. Gdy o rodzinie wspomniał, pan Paweł zwrócił oczy na siedzące w ostatniej ławce grono i rzekł do siebie:

— To oni.

Hrabia siedział ze skrzyżowanymi na pierśsiach rękami i ze spuszczoną głową.

— To on... — dodał w myśli pan Paweł, pomimo że na nim oznak żałoby nie dostrzegł.

Zestawienie to wynikło samo przez się stąd, że hrabia zajmował siedzenie pomiędzy tą, której postać wyobrażała geniusz smutku, a dwiema panienkami, folgującemi żalowi płaczem. Osobistości te wchodzić musiały do

pozostałej po nieboszczce rodziny, o której kaznodzieja mówił. Córki osierociałe, mąż owdowiały. W sposób ten wyraził się wstęp do znajomości, który się uzupełnił na krużganku kościelnym.

Za wynoszoną przez służbę pogrzebową trumną wyszedł hrabia z córkami, za niemi pan Jan z panem Pawłem. Po przekroczeniu progu w drzwiach wchodowych, zatrzymali się. Pan Jan powitał hrabiego.

— Ach!... — odezwał się ten ostatni. — Nie jestem wam za tę wystawę wdzięczny.

— Nic o niej nie wiedziałem — odparł pan Jan.

— Ha... — wzruszył hrabia ramionami, jak czyni człowiek, zmuszony uznać, czegooby uznać nie chciał.

— Wujowi — zaczął pan Jan — pragnie hołd kondolencyjny złożyć przyjaciel mój i kolega szkolny, pan Paweł Skowron.

Wskazał na pana Pawła ręką. Ten się skłonił. Hrabia odpowiedział:

— Dziękuję...—a zwracając mowę do pana Jana, dodał: — Będiesz łaskaw zanotować dla mnie osoby, które pogrzeb mojej żony obecnością swoją zaszczyliły. Nie wszystkie mi są znane. Pan na przykład.

Oczami pana Pawła wskazał.

— Jeżeli hrabia pozwoli, złożę mu uszanowanie swoje.

Hrabia tylko skinieniem głowy na słowa te odpowiedzieć mógł, w tej chwili bowiem podeszła do niego pani Zbędowska z panną Haliną i z westchnieniem, urywanym sposobem, przemówiła:

— Bracie kochany... Smutny obrządek... Anielka moja... Mamy w niej naszą w niebie orędowniczkę... Och!...

Panna Halina leciuchnem z ukosa pochyleniem głowy, owianej krepą czarną, uwydatniającą jej pleć białą, rysy delikatne i włosy blond, pozdrowiła pana Pawła i usunęła się do panny Teresy.

Nastąpiła w tej chwili defilada pań i panów, z których jedni przechodzili z ukłonem, inni się zatrzymywali na momencik, słów parę wygłaszali i szli dalej wśród szpaleru bab i dziadów, wydających okrzyki i westchnienia:

— Duszo miłosierna!... A światłość wiekuista!... Trzy paciorki i jedno „Zdrowaś!...“ Wieczny odpoczynek daj jej, Panie!... Za duszę... za duszę!... Anieli niebiescy będą ją piastować!... Duszczyka święta... Zorza poranna!...

Okrzyki te ustały, gdy po przejściu przedstawicieli i przedstawiolek wielkiego świata hrabia, hrabianki i dwaj młodzi panowie ze

schodów zeszli. Nie tylko okrzyki ustały, ale i szpaler się rozwiązał. Przed kościołem szykował się kondukt pogrzebowy, który już dziadów i baby niewiele obchodził, z powodu, że karety i pojazdy wykwintne prawie wszystkie odjechały. Czyż warto, jak się jedna z bab wyraziła, „sztykutać na cmentarz po próżnicy?” Zwłoki przeto hrabiny na miejsce wiecznego spoczynania odprowadziła najbliższa jej rodzina, do której przyłączyli się pan Paweł i pan Ostępski. Hrabia i hrabianki szli sami; pani Zbędowskiej ramię podawał adwokat, pani Gudulskiej mąż, pannie Halinie pan Paweł. Pan Jan swoje ramię pannie Teresie zaofiarował, lecz ona mu podziękowała, on przeto do grona hrabiego się przyłączył, idąc obok w milczeniu.

W milczeniu odbywał się pochód za trumną. Pana Pawła, który nareszcie dowiedział się, czyja postać w kościele go zajęła, opanowało zamyślenie; pan Roman nie miał o czem z żoną mówić; adwokat, mimo że go do mówienia ochota zbierała, ograniczyć się musiał do wypowiedzenia półgłosem uwag następujących:

— Doskonale, świetnie się składa. Pan Jan, widzi pani dobrodziejka, Ignie do hrabie-

go. Pani dobrodziejka znakomicie rzecz urządziła... znakomicie...

Pani Zbędowska, osłonięta parasolką, nic nie odpowiedziała. Wkońcu tylko, gdy już kondukt w bramę cmentarną wkraczał, odezwała się:

— Po powrocie z zagranicy będę zapewne musiała wezwać pana.

— Zawszem, chwili każdej gotów na rozkazy jaśnie wielmożnej pani — odrzekł.

Po chwili dodał:

— Nie życzyłaby sobie pani dobrodziejka, ażebym słów kilka nad grobem wygłosił?...

— Dobrze — odpowiedziała po dłuższej chwili namysłu.

Po odmówieniu więc stosownych nad trumną modlitw, adwokat głos zabrał i wobec szczupłego grona słuchaczy zaimprovizował mowę krótką i dobrą, osnutą około tego założenia, że hrabia, po takiej, jaka go dotknęła, stracie, znajdzie niejaką pociechę na łonie rodziny własnej, jako też w gronie rodziny nieboszczki, grób jej w tej chwili otaczającej.

— Ta siostra rodzona, te siostrzenice, ten siostrzeniec— zawołał,— który jest dla ciebie z czią głęboką, postarają się osłodzić ci chwile smutku, podzielanego przez wszystkich, którzy ją (na trumnę wskazał) znali... Ty znajdziesz

u nich osłodeę i pociechę, oni znajdą u ciebie rady i wskazówki, nacechowane tem piętnem bezinteresowności i cnoty, które czoło twoje zdobi.

Tyle było dyskretnej do interesu alluzji, zrozumiałej nie wszystkim. Zrozumiały ją cztery tylko osoby. Inne przyjęły te słowa, jak się przyjmują wszystkie pośmiertne pochwały; te zaś, do których się one szczególnie zwracały, słyszały brzmienie wyrazów, lecz znaczenia ich do serca ani na uwagę nie brały. Młode hrabianki płakały, na hrabi drganie policzków znamionowało, że nie może oprzeć się wzruszeniu na widok oddawania ziemi tego, co się ziemi należy, a co jest szczątkiem ukochanej istoty; pannie Teresie łzy gorące, obfite, niby strunę przerwawszy, nagle wzdłuż policzków popłynęły. Zasłoniła oblicze dłońmi, kilka razy łkanie jej ciałem wstrząsnęło, łzy otarła i przygarnęła do siebie siostry młodsze. Widok ten wzruszył pana Pawła. Patrząc na tę grupę, myślał o sierotach wogóle, poszczególnie zaś zapytywał: czy ta piękna panna potrafi tym przytulonym do niej panią matkę zastąpić?

Pytanie to wydało mu się szczególnie w tym wypadku ważnem. Zajęło go ono żywo, a tem mocniej, że główna w grupie postać

przedstawiła mu się w oświeceniu, odpowiadającym warunkom etycznym i estetycznym zarazem tak naturalnie, że o pozę podejrzewać jej nie można było. Dla kogóżby bowiem pozować miała? Dla niego chyba jednego, którego nie znała i którego, idąc przodem, nie widziała.

Gdy grób został zasypany, hrabianki pokłękaly przy świeżej mogile, hrabia żegnał opuszczających cmentarz i dziękował za oddanie żonie jego posługi ostatniej. Pani Zbędownska prosiła go, ażeby ją odwiedził.

— Manię i Franję gościłam w swoim domu—mówiła,—spodziewam się, że i ty, bracie kochany, z Terenią wyświadcycie mi ten zaszczyt.

— Nie dziś w każdym razie — odrzekł hrabia.

— Niezadługo jednak—odparła na to tonem uprzejmości proszącej,—za dni parę bowiem wyjeżdżam... zagranicę...

— Jutro... pojutrze, jeżeli co nie przeszkodzi.

— Jutroby Mania i Franja mogły u mnie dzień cały spędzić.

— Szkoły, ciociu... nauka, ciociu...—zainterweniowała panna Teresa, podchodząc w tej chwili.

Pani Zbędowska spojrzała na nią ze zdziwieniem, którego ukryć nie mogła. Wymówka, tycząca się szkół i nauki, wystosowana do niej, wydała się jej co najmniej nie na swoim miejscu. Jaka inna, brak na przykład czegoś w toalecie, byłaby odpowiedniejsza. Nauka zaś w światowym względzie jakie ma znaczenie? Mężczyznom służy za ornament do pewnego stopnia; kobiety mają o czymś ważniejszym do myślenia. Pani Zbędowska zdziwiła się.

— A... — odrzekła, nie mając czego innego na wymówkę panny Teresy do odpowiedzi.—Do widzenia więc... do widzenia.

Pożegnała się i odeszła z panną Haliną i z panem Ostępskim, który za nią pośpieszył, uściskawszy z pośpiechem dłonie hrabiemu i panu Janowi i rzuciwszy z ukosa wejrzenie na pana Pawła.

— Któż to panu Janowi towarzyszy?... — zapytał pana Gudulskiego, przechodząc mimo niego.

— Aspirant do ręki panny Haliny — odpowiedział zapytany.

— Jakże się wabi?

— Nienajosobliwiej: Paweł Skowron.

— A!... — zawołał i podwójnym ruszył krokiem.

Pan Paweł pozostał z panem Janem i z rodziną hrabiego.

— Chodźmy, dzieci — odezwał się ten ostatni do córek. — Rozstaliśmy się z matką na czas jakiś... Połączymy się z nią... ja trochę prędeż, wy trochę później. Mamy przed sobą życie... och! — zakaszła się.

Towarzystwo, na dwie trójki podzielone — przodem panny, z tyłu panowie, — ruszyło powoli.

Przed bramą cmentarną czekał powóz pana Jana.

— Może wuj z pannami odjedzie... — zaczął pan Jan.

— Nie... nie — odparł hrabia.

— Wuj zmęczony.

— Nie bardzo. Zresztą przechadzka, byle powolna, służy mi. Wy, panowie, jedźcie, ja z dziewczętami mojemi powlokę się ku domowi.

— Na to nie przystaję — odrzekł pan Jan. — Towarzyszę wujowi.

— Jeżeli chcesz... nic nie mam przeciwko temu...

— Ale... niech siostry jadą...

— I przeciwko temu nic nie mam. Niech jadą, niech nas wyprzedzą i przysposobią nam posilek... Zapraszam panów na stypę.

Ostatnie wyrazy zwrócone były szczególnie do pana Pawła, który, zaskoczony przez nie w sposób niespodziany, skłonił się i odpowiedział:

— Jadę na wózku Jana.

— Więc jego piosnkę pan śpiewać musisz. Jan, spodziewam się, wujowi odmówi chyba dla jakiego bardzo ważnego powodu.

— Bardzo ważnego powodu nie mam, ale w takim momencie... subiekcy...

— Powiedz raczej: nieco przymusu dla moich dziewcząt, którym taki przymus dystrakcyę sprawi i cokolwiek ciężaru ciosu ulży.

— Więc przyjmuję inwitacyę wuja — podchwycił pan Jan.

— To dobrze—odrzekł hrabia i, głos podnosząc, zawołał:— Tereniu!

Panna Teresa zatrzymała się.

— Zmowa tu się przeciwko wam zrobiła. Wsiądźcie do powozu Jasia, a to na ten koniec, ażeby nas w domu wyprzedzić i dwa nakrycia dodać dla tych panów, którzy się na moją prośbę obiad z nami zjeść zgodzili.

Panna Teresa uśmiechem podziękowała gościom. Pan Jan siostrom do powozu wsiąść pomógł.

— Dobrze, żeś się pan trafił obcy—zaczął hrabia, gdy pojazd odjechał.— Obecność pań-

ska większy na moje dziewczęta wywrze przymus moralny. Przymus bywa zbawiennym w pewnych razach.

— Stosownie użyty — zauważył pan Paweł.

— Odpowiednio do natury, na której właściwem chełznaniu polega cała waga ustroju społecznego.

— Wynalezienie właściwego chełznania... to zadanie nieco trudne.

— Bardzo trudne. Rozwiązuje je ludzkość drogą prób... prób bez końca, podejmowanych, zarzucanych, znów podejmowanych, snutych i prutych, jak Penelopa snuła i pruła płótna swoje w oczekiwaniu na powrót Ulissesu...

— No? — zapytał hrabia, zwracając na młodego człowieka zaciekawione wejrzenie.

— Staram się... Próbuję...

— Z czem i na czem?

Panu Pawłowi na zapytanie to odpowiedzieć trudno było. Wyręczył go pan Jan.

— Mój kolega i przyjaciel — odrzekł — pracuje nad rozwiązaniem zadania wydobywania z roli jak najwięcej owoców przy jak najmniejszej a wynagradzanej sowności pracy.

— Czy ma warsztat odpowiedni?

— Duży majątek ziemski.

— Winszuję panu... z całego serca winszuję... Posiadanie warsztatu odpowiedniego ułatwia rozwiązywanie zadań podobnych. Gdzież leży majątek pański?

Pan Paweł wymienił nazwy kilku miejscowości. Hrabia na niego z ukosa spojrział. Majątki te były niegdyś własnością znanych mu wysokiego rodu osobistości, domyślił się przeto, że zmieniawszy właścicieli pierwotnych, dostały się panu Pawłowi pośrednio, w spadku po nabywcy, którym mógł być jego ojciec, może stryj. Przypomniało mu się przytem nazwisko Skowron. Nie było mu ono obcem. Słyszał o niem. Wspomnienie to zajęło go. Szedł dalej w milczeniu. Od czasu do czasu zakaszliwał się i dla odetchnięcia zatrzymać się musiał, przepraszając towarzyszy.

— Wybaczcie... Straciłem zdrowie... Stałem się skrzypiącem kole... Żółwim w mojem towarzystwie wleczenie się krokiem.

— Nic nas nie nagli — perswadował pan Jan.—Zajdziemy.

Zaszli. Przed domem, w którym hrabia mieszkał, stał powóz pana Jana. Pan Jan kazał stangretowi odjechać i nie wracać.

— Toż czemu?—zapytał hrabia.

— Mam zamiar siostrzyczki na przechadzkę wyciągnąć...

— Dziękuję ci, Jasiu—rzekł hrabia ze znaczącym przyciskiem.

Przed wnijsciem na schody zatrzymał się, i do młodych zwracając się towarzyszy, przemówił:

— Nie śmiem was młodych przy sobie trzymać, bo dla mnie wejście na trzecie piętro jest dziś trudem większym, aniżeli dawniej było wchodzenie na Mont-blanc.

— Weźmiem wuja na ręce i wniesiem — odrzekł pan Jan.

— Nie... na to się nie zgodzę... ale idźcie przodem i zaanonsujcie nadejście moje.

— Na to znów my się nie zgodzimy.

— Jak chcecie.

Rozpoczęło się więc wchodzenie powolne, krok za krokiem. Pan Jan ofiarował wujowi ramię swoje, którego ten nie przyjął. Nareszcie ukazało się trzecie piętro.

— Ach!—z głębi piersi hrabia odetchnął.

— Witajcie na tem miejscu—odezwał się, wprowadziwszy gości do salonu, uprzątniętego ze sprzętów pogrzebowych.—Siadajcie, ja usiądę, potrzebuję bowiem wytchnąć trochę przed przystąpieniem do odrabiania pańszczyzny, zwanej posiłkiem.

W fotel się osunął i przez chwil kilka z wysiłkiem, połączonym z wydobywającym się z głębi piersi świstaniem, oddychał.

Młodzi panowie miejsca pozajmowali. Wnet jednak powstać musieli. Powstali na powitanie panny Teresy, która weszła z taczką w ręku i ze szklanką wody na tacce. Weszła, ku gościom głową na powitanie skinęła i, ojcu wodę podawszy, do pana Jana z wyciągniętą do uścisku dłonią się zwróciła.

— Mój przyjaciel, pan Paweł Skowron...—przedstawił jej pan Jan gościa.

I panu Pawłowi uścisk dłoni od niej się dostał, uścisk szorstkawy nieco, świadczący, że dłoń ta nie była pielęgnowana na to, ażeby miękkością przypominać aksamit lionński.

— Na panów długośmy czekały—rzekła.

— Dotrzyśmy kroku hrabiemu.

— A tak... Tatko powoli chodzi...

Wyraz „tatko“ w ustach hrabianki, hrabianki Homirskiej, uderzył pana Pawła. Popatrzył pannie Teresie w oczy—wydały mu się one jakieś takie jasne, spokojne a głębokie, jakich widzieć nie zdarzyło mu się jeszcze.

Hrabia łyków kilka ze szklanki pociągnął, a panna Teresa, postawiwszy szklankę na tacce, odchodząc, rzuciła wyrazy:

— Wkrótce panów poproszę.

Owo „wkrótce“ nastąpiło wnet. Drzwi boczne się otworzyły; słyszeć się dały dźwięcznym, srebrzystym głosem wywołane wyrazy:

— Proszę do stołu!

— Proszę — rzekł hrabia, z fotelu się dźwigając i na drzwi ręką wskazując.

Przejście do sali jadalnej dokonało się bez żadnego ceremoniału; przy stole zaś miejsce swoje znalazł od razu każdy ze spółbiesiadników, albowiem panna Teresa, fartuchem płóciennym osłonięta, stała przy nakryciu ze stosem talerzy głębokich, a Frania i Mania przy dwóch obok, więc jeden z gości ulokował się obok Frani, drugi obok Mani, hrabia usiadł naprzeciw panny Teresy—i ta, zdjęwszy z wazy nakrywę, zupę rozdawać poczęła. Domownicy i goście, każdy porcyę swoją dostał. Spożywanie darów bożych odbywało się bez przymówek, znanych pod nazwą „przynuki.“ Młoda gospodyni nie prosiła o wybaczenie za „skromność obiadku,“ nie przepraszała za „niesmaczność“ potraw, nie zachęcała nawet, zapytywała jeno, gdy który z uczestników talerz wypróżnił, czy nie chce więcej, i usługiwała. Sama talerze zmieniała, sama wazę odniosła, półmiski wносиła i odnosiła; krzątała się bez afektacyi, naturalnie, swobodnie pełniąc funkcję karmicielki, pamiętającej o wszystkich

i o wszystkim, co do niej należy. Robiła to z takim wdziękiem, że wdzięk ów przechodził na potrawy i nadawał im smak szczególny, stanowił przyprawę lepszą od wszystkich, przepisywanych czy to przez Brillat-Savarina, czy nawet przez panią Lucynę Cwierczakiewiczową. Zupa, wywar zwyczajny z wołowego mięsa i jarzyn, zasypana kaszką drobną, wydała się zupą nad zupy; sztuka mięsa z chrzanem i opiekane łazanki z serem zakasowały wszelkie frykasy, sosy i wydmuchy. Pan Jan nic smaczniejszego nie jadł nigdy, ani u Vefoura, ani u Frères-Provenceaux, i nie zauważył nawet braku wina, bez którego jadła nie rozumiał. Na stole stała butelka piwa, specjalnie dla hrabiego. Hrabia, nim nalał sobie, zapytał pana Pawła:

— Pozwoli pan?

Pan Paweł szklanekę swoją podstawił.

To samo powtórzyło się względem pana Jana i wydało się rzeczą zupełnie na swoim miejscu. Piwo zmieniło się dla niego na wino, niby woda w Kanie Galilejskiej, a cud ten sprawiła gospodyni w błękitnym w paski fartuchu, krzątająca się około stołu, okrytego czystym białym obrusem i zastawionego czystym naczyniem. Bił od niej blask dziwny, wydzielala się z niej woń osobliwa, a każdy

wymówiony przez nią wyraz do duszy, do serca wnikał. I jakież to ona wymawiała wyrazy?

— Proszę pana... Pozwoli pan jeszcze?... Jasiu, wolisz chrzan czy musztardę do sztuki mięsa?...

Niekiedy do sióstr przemawiała; parę razy ojca upominała. W tem wszystkim nie było nic zasługującego na uwagę, tylko dźwięk głosu, w którym czuć się dawała troskliwość, troskliwość atoli nie zwyczajna, szczebiotliwa, reklamowa, ale jakaś imponująca, macierzyńska.

— Nie głodniście?—zapytał hrabia, gdy się skromny obiad skończył.

— O! wuju... — odpowiedział pan Jan.

— Należy się nam teraz kawa czarna... Na kawę, przy której zapewne kurzycie, zaprowadzę was do mego pokoju. Będziem kurzyli, pogawędzimy trochę... panny nam zagrają.

Nastąpiło rozejście się. Córki ojca w rękę całowały, gościom dygały; goście im ukłonem odpowiedzieli i udali się wraz z hrabią do jego pracowni, gdzie pozajmowali miejsca obok zawalonego papierami stolika.

— Wuj kochany, jak widzę, zajmuje się... — odezwał się pan Jan, powodząc okiem

po książkach, drukach i rękopisach, rozrzuconych w nieładzie.

— Stawiam kropki nad i. Trzebaż być do czegoś...

— Hrabia... — zaczął pan Paweł, któremu oczy zabłyszczały—hrabia... — powtórzył, patrząc na leżący obok na stoliku rękopis.

Hrabia pytające na niego zwrócił wejście.

— To... — dodał pan Paweł głosem niepewnym, jakby pod wpływem zmieszania — to... ten... rękopis...

— Obok rękopisu musi być odbitka, do korekty mi przysłana—odrzekł hrabia.

— Odbitka...

— Musi być obok. Odbitkę możesz pan przejrzeć, bodaj na to, ażeby wiedzieć, jak druki wychodzą z pod ręki zecerskiej, ale do rękopisu zaglądać nie wolno... To tajemnica fachowa na tak długo, póki praca na widok publiczny nie wyjdzie, a nawet i później, jeżeli autor bądź się pseudonimem zasłonił, bądź też nieznanym pozostać chce. Co do tej pracy ten właśnie ostatni zachodzi wypadek, i dlatego na ten rękopis z daleka jeno popatrzeć wolno.

— Autorowi nawet?... — zapytał pan Paweł półgłosem.

— Autorowi przysługują prawa autorskie.

— Zdradziłeś się... co?...—wtrącił pan Jan.

— Nie koniecznie. Nie podpisałem mego nazwiska na intencję paru osób, które znam osobiście i które również kwestyę nawozów sztucznych studyują. Chcę wyciągnąć je na ocenę tej pracy bezwzględną. Że zaś hrabia nawozów nie studyuje, ani ty nie studyujesz, więc z tej strony nie mam się czego wystrzegać... Przynajmniej — dodał — tak mi się zdaje.

— O... — odparł hrabia ze stosownym gestem.

W tym momencie panna Teresa wniosła kawę w imbryczku, filiżanki, kieliszki i koniak. Przed ojcem kawę postawiła, sama z boku usiadła.

Panowie Jan i Paweł papierosy odłożyli.

— Niech panowie palą... mnie to przykrości nie sprawia.

— Przyzwyczaiałem moje córki do odoru ziela szatańskiego...—odezwał się hrabia.

W chwili tej słyszeć się dały akordy na fortepianie, znamionujące tę delikatność dotyku, która słuchaczów zadowoleniem napawa. Po akordach połała się z pod palców melodia rzewnego poloneza Ogińskiego, grana z uczuciem, luboć bez szczególnej biegłości.

Rozmowa się urwała. Rozmawiający zmienili się w słuchaczy, z których jeden, słuchając, zwracał co moment uwagę na siedzącą pod kantorkiem pannę Teresę wejrzeniem.

IX.

Po pogrzebie hrabiny w zajmowanym przez jej rodzinę mieszkaniu zapanowała pustka. Brak jej dał się uczuć dotkliwie. Nie stało istoty, którą wszyscy kochali i która wszystkim zajmowała. Starania około niej w chorobie stanowiły punkt ogniskowy rodzinnego życia, domowego ruchu. Wydawało się, że tak być powinno. Każdy z członków rodziny, nie wyjmując kucharki, zapomniał o sobie i tego był przekonania, że najważniejsze jego zadanie polega na niesieniu chorej w jej cierpieniach ulgi.

— I co my teraz będziemy robili?—powtarzała Olesia, krzając się po kuchni.

Zapytanie to zadała nazajutrz rano, po wyprawieniu pańienek do szkoły.

— Moja Olesiu — odpowiedziała panna Teresa, — będziemy się starali tak robić, ażeby pani była z nas kontenta.

— A prawda... ona na nas patrzy z wysokiego nieba.

— Patrzy... jest i będzie ustawicznie wśród nas obecną.

— Tak, tylko że my jej ani widzieć, ani jej głosu słyszeć nigdy nie będziemy... Oj, główko moja!

Uderzyła w płacz. Panna Teresa ją pocieszać i perswadować jej musiała.

— Zważaj, Olesiu, na pana — upomniała ją. — Nasz pan chory.

— Niewiele mu się należy.

— Więc chcesz mu chorobę powiększyć?

— A! niech mnie od tego Pan Bóg broni. Ale, jak sobie pomyślę, że nasza pani, nasza jasna, jasneńka pani, w zimnej ziemi leży... jak sobie to pomyślę... aaa!... — załkała w głos.

— Cicho bądź! — zawołała hrabianka gniewnie.

— Już będę cicho, ino niech się panuńcia nie gniewa — odparła kucharka, oczy sobie fartuchem zasłaniając.

Hrabia stoicznie znosił stratę żony. Trapiła go ta strata wewnątrz, lecz starał się nad zalem zapanować siłą woli — i udawało się mu o tyle, że zachowywał oblicze spokojem nacechowane. Z wieczora długo zasnąć nie mógł, a gdy zasnął, nawiedził go sen rozkoszny. Wskrzesała jego młodość jasna, promienna, młodość w Szarkach, w pierwszych miesiącach

małżeńskiego pożycia, zapachniały mu żony-kochanki warkocze, wróciło szczęście, to szczęście zupełne a bezmierne, w którym człowiek o wszystkim zapomina i w zapomnieniu powiada sobie: „czyż czegoś jeszcze pragnąć można!“ Gdy się obudził, śnił dalej na jawie i nie odrzucał tej myśli, że szczęście owo odżyje „tam... w eterach...“

„Zejdę się z nią niezadługo i na zawsze... na wieki...“

Nadzieja ta zadowolenie mu sprawiała, uspokajała i tak się z punktu realistycznego tłumaczyła: „przecierpiało się tyle, jeszcze więc rok, dwa, może miesiące kilka, może kilka tygodni cierpienie—i wszystko się skończy.“ Koniec ów przedstawiał się mu w taki mniej więcej sposób, jak Krasińskiemu—w poetycznych obłonach woni, wydzielającej się z kwiatów, rosnących na grobie, a stanowiącej istotę duszy i płynącej wyżej, coraz wyżej, ku zlaniu się w jedno z tą wonią, którą wyronią bzy, narcyzy, konwalie, zasadzone na grobie jego żony.

„Nic mi przeto nie pozostaje innego, jak tylko końca wyglądać i pragnąć, ażeby przyszedł jak najprędzej. Bo i cóż?... Czego mam żałować?... Na co się oglądać?...“

— „Egoisto!... samolubie!... — odezwał się mu nagle głos w duszy. — Nie masz się na co oglądać?... A dzieci!... a córki!... Pragniesz uspokojenia dla siebie, dla siebie samego, a zapominasz o istotach, którym się coś od ciebie należy... chociażby to, co ludzie technicznie nazywają zapewnieniem losu... Terenia...“

Pomyślał o Tereni i w tem oka mgnieniu przyszedł mu na myśl pan Paweł. Imiona Terenia i Paweł zlały się w jedno, „w harmonijnem ożenione brzmieniu.“ Tereniaby następnie zapewniła los Mani i Frani. O! jakżeby on umierał spokojnie, gdyby...

— Ale — rzekł do siebie — tymczasemjechać potrzeba życiową swoją taczka.

Godzina wybiła piąta.

Wydźwignął się z pościeli, przyodział się, lekarstwo zażył i zasiadł do korygowania odbitki pracy: „O nawozach sztucznych.“ Było tego arkuszy kilka. Korekta nie szła raźnie, przeszkadzało mu bowiem raz po raz nasuwające się na myśl zapytanie, tyczące się pochodzenia majątku Skowrona, a zatem i jego samego. Czy to nie *male parta*? Przebijał się w tem przesąd rodowy, usprawiedliwiony jednak do pewnego stopnia. Pracując pamięcią, wydobyłz niej hrabia wspomnienia opowiadań,

jakie się o jego uszy obijały, o wstawionym graczu w karty, noszącym wprawdzie nazwisko Skowrońskiego, lecz przezywanym powszechnie Skowronem. Przewisko to zakrawało na złośliwość szlachecką, zwróconą ku człowiekowi, co szlachciców do nitki w Kijowie i Dubnie, jako też na jarmarkach w Berdyczowie, Bałcie, Jarmolińcach, ogrywał. Hrabia w tych zapasach udziału nie brał; słyszał jednak o nich. Cuda rozpowiadano o trzech mianowicie postaciach: o skrzypku Lipińskim, o kuglarzu Pinettim i szulerze Skowrońskim *vulgo* Skowronie, z którym próbowanie się przy zielonym stoliku stało się było rodzajem sportu, wzbudzającego zapal niepowsięgniiony. Gdyby przeto autor pracy o nawozach sztucznych był synem owego Skowrona, hrabiaby go sobie na zięcia nie życzył. Nie wiedział jednak o osobistych szulera stosunkach: czy był żonaty?—czy miał syna?

— Jaś mi o tem powie — zaznaczył sobie w myśli.

I korygował dalej odbitkę. Pośpieszał była to bowiem zaległość. Drukarz przed śmiercią hrabiny przysłał robotę, trzeba więc ją było skończyć jak najrychlej i dostać następną, o którą hrabiemu chodziło. Zarobkiem, jaki tą drogą osiągał, opłacał wydatki na

lekarstwa i nie nadweręzał szczupłych dochodów z Lipowiec, obracanych na utrzymanie rodziny i edukację młodszych dziewcząt. Pokaszliwał, od czasu do czasu ciężko, długo oddychał—i korygował. Przy pracy, o siódmej, zeszła go panna Teresa.

— A?... tatko przy biurku już? — rzekła po oddaniu dzieńdobry.

— Odrabiam zaległość.

— Trzeba było trochę jeszcze poleżeć.

— Nie mogłem, tem bardziej, że dzień dzisiejszy będziemy mieli zajęty.

— Czem?

— Światową pańszczyzną. Musimy poskładać dziękczynne wizyty osobistościom, które na nabożeństwie żałobnem były obecne.

— Ach! tatku! — odezwała się panna Teresa z akcentem trwogi prawie.

— Ha!... cóż!... takie prawo. Prawo to jednak dopuszcza ulgę znaczną... Weźmiemy fiakra, zaopatrzymy się w karty wizytowe, objedziemy miasto i wedle wypisanych mi przez Jasia adresów wszędzie, gdzie należy kartę zostawimy. Do jednej tylko Zbędowskiej zajść musimy. Trzeba się nam z tem wszystkim uwinąć przed obiadem.

— Ciocia się Frani i Mani domaga.

— Musielibyśmy przeto do niej osobno po południu się wybrać.

Panna Teresa pomyślała i po namyśle odpowiedziała:

— Nie... Odbądźmy tę wizytę bez nich.

— Im się u ciotki podoba.

— Tak — odrzekła i dodała: — Czy tatko do nas na śniadanie wyjdzie?

— A dobrze... Czy gotowe?

— Za chwilę Olesia poda. Proszę jeno dzieciom o wizytach nie wspominać. Idą do szkoły.

Hrabia aprobacyjnem skinieniem na słowa powyższe odpowiedział.

Przy śniadaniu, składającym się z mleka z chlebem dla panien, z herbaty czystej dla hrabiego, rozmowa toczyła się o lekcyach, przez panienki opuszczonych. Chodziło szczególnie o zadania nieodrobione. Panienki wielką z tej racyi wyrażały obawę. Hrabia je uspokajał.

Wreszcie Frania i Mania z teczkami odeszły. Przy stole pozostał hrabia, dopijający drugą szklankę herbaty; pozostała panna Teresa, oparta łokciem o stół i oczekująca, ażali ojciec nie zażąda szklanki trzeciej.

Czas jakiś ojciec i córka zachowywali milczenie.

Przerwał je hrabia.

— Wróciłyście wczoraj późno z przechadzki.

— Jaś pociągnął nas na Wysoki Zamek, a z powrotem przez Planty prowadził.

— Koło spore. I wszędzie wam Skowron towarzyszył?

— Wszędzie, tatusiu.

— Cóż mówisz o nim?

— Człowiek, zdaje się, przyzwoity.

— I wykształcony.

— Co ja o tem powiedzieć mogę?...

Hrabia popatrzył na córkę, na razie nic nie rzekł i po chwili dopiero odezwał się:

— Wykształcenie bywa dwojakie: rzetelne, gruntowne i powierzchowne, błyskotliwe. Jakiem jest wykształcenie Skowrona, to się pokaże, jeżeli się da poznać bliżej... Mówił z wami?

— Najwięcej z Franią i Manią... Zajął je opowiadaniem o drzewach.

— W tej materii musi być mocny.

— Albo co?

— To jego specyalność.

— Dziewczętom naszym bardzo się podobał—rzekła panna Teresa, wstając po szklankę ojcowską, celem napelnienia jej po raz trzeci.

— Nie — wyciągnął hrabia rękę. — Dosyć dwóch szklanek.

Wstał i dodał:

— Mam jeszcze robotę. Skończę ją i o toalecie pomyśleć muszę. Zapewne u Zbędowskiej spotkamy kogo. Ogarnij się i ty, moje dziecko.

Dla panny Teresy ogarnięcie się było kwestyą, do rozwiązania nie koniecznie łatwą. Garderoba jej nie obfitowała w suknie o przeznaczeniu rozlicznem. Codzienne służyły do użytku domowego; strojnieszce były do wszystkiego, zarówno do kościoła, jak na wizyty, do teatru, z wykluczeniem balów, o których mowy nie było. Dla niej bal stanowił owoc zakazany i zgoła niepożądany, jak w dawniejszych wiekach wiary gorącej uciechy światowe dla dziewczyc, przeznaczających się na oblubienice Chrystusa. Z innych to w niej jednak, mniej podniosłych, nie mniej jednak silnych pochodziło pobudek. Wzrosła i wychowała się w walce z losem i walka ta wyrobiła w niej dumę odporną w odniesieniu do możliwego politowania, jakieby wzbudzić mogło jej ukazanie się w szrankach balowych. Dlatego w imaginacyi nawet nigdy siebie nie przystrajała w znane jej z opisów, wizerunków, opowiadań i widzenia szaty balowe. Garderobę swoją zaopatrywała w suknie codzienne

i suknie odświętne — i gdy o ogarnięciu się ojciec wspomniał, chwilka myślenia starczyła jej na ułożenie dla siebie toalety. Posiadała suknię czarną, tę samą, którą miała na sobie na pogrzebie matki. Opatrzyła ją, odczyściła, parę haftek przyszyła, parę kokardek poprawiła, pasek przymocowała, narzutkę odświeżyła i około jedenastej była gotową.

Objazd wizytowy odbył się wedle programu. Hrabia stangreta nauczył składania kart i ten je składał. Zabrało to mniej więcej godzinę czasu. Trochę po dwunastej doróżka zatrzymała się przed kamienicą, zamieszkałą przez panią Zbędowską. Stangret z kozła zeskoczył i, ku zdziwieniu swemu, ujrzał wysiadającego hrabiego.

— Czemuż to wielmożny pan karteczki mi nie daje?

— Tu sam ją odniosę.

— Czy nie mógłbym to odnieść!

W podziemiu trzeba było stróża zapytać:

— Pani Zbędowska?

— Tu mieszka?

— Którędy się do niej wchodzi?

Stróż okiem hrabiego i hrabiankę zmierzył, i idąc ku podwórzowi przodem, wskazał na drzwi:

— Ot. . tamtędy...

Hrabia się uśmiechnął, nic nie powiedział, poszedł we wskazanym kierunku.

Schody strome, drewniane, nie koniecznie czyste, zdziwiły pannę Teresę, której siostry opowiadały o wnijsciu wspaniałem.

— To chyba nie tu — odezwała się.

— Ale tu — odpowiedział hrabia, wznosząc się ze stopnia na stopień powoli.

Schody zaprowadziły ich do sieni, w której stały: cebrzyk, drabinka i szczotek parę na długich rękojeściach; z sieni weszli wprost do kuchni.

W kuchni kucharz i kuchta krzatali się przy blacie angielskim, zastawionym rądlami i patelniami; na ławce z boku siedziała jakaś panna z pudelkiem w ręku.

— A to? — odezwał się kucharz, gdy się hrabia i hrabianki zjawili. — Do jaśnie pani?... czy do jaśnie panny?

— Do pani Zbędowskiej — odpowiedział hrabia.

— Pani ma gości.. Posiedźcie sobie państwo — rzutem głowy ławkę im wskazał.

Fartuch na sobie pociągnął, białą kucharską czapkę na głowie poprawił i pannę Teresę okiem od stóp do głowy zmierzył. Widać po nim było, że miał ochotę z komplementem do niej wystąpić, ale mu zawadzała obecność

starego, poważnie wyglądającego człowieka. To go w zły wprowadziło humor. Zwrócił się do kuchty, który pianę ubijał i w pannę Teresę się wpatrzył:

— Nie gap się, berbeciu!... Nie dla psa kielbasa. Rozumiesz?... A tłucz z przyciskiem i gęby nie otwieraj!... Słyszysz?...

Zajrzał do rądla, wstrząsnął nim i rzekł:

— Ii... rumieni się kurcze, jak panienka... Ta czemu państwo stoicie?... Za stanie nikt wam nie zapłaci, za siedzenie nikomu płacić nie będziecie... Ot, ta panna—wskazał na pannę z pudełkiem—siedzi, czeka i doczeka się...

Hrabia wyjął z zanadrza pugilares i pokazał kucharzowi dwie karty wizytowe.

— Proszę te karty pani Zbędowskiej posłać.

Kucharz nos sobie kułakiem podtarł, karty w palce wziął, na napisy popatrzył.

— Przez kogóż poszłę?... Poczekajcie państwo... Do mnie tu zaglądną i z kredensu i z garderoby.

Hrabia ramionami zlekka wzruszył, obejrzał się i panny Teresy zapytał:

— Co mówisz?...

Panna Teresa miała ochotę odejść, poprzestając na zostawieniu kart u kuchacza. Schody ją od wykonania tego zamiaru

powstrzymały, przez wzgląd na ojca. Odpowiedziała więc:

— Poczekajmy chwilkę...

Usiadła obok panny z pudełkiem; obok niej zajął miejsce hrabia.

— Ot, tak... to git... — odezwał się kucharz, nastrajając się na ton dowcipny. — I git... i gut... i *très bien*... Ja, jak na piękne panny patrzę, to mi się lepiej pieczywo piecze... Czemu to tak, panno Zuzanno?...

Zapytanie zwrócone było do panny z pudełkiem.

— Ja nie Zuzanna, proszę pana.

— No... byłbym przysiągł, że Zuzanna... Panna na Zuzannę patrzy.

— O?... nie wiem dlaczego...

— Dlaczego?... Zaraz wytłómaczę... Znałem jedną pannę Zuzannę, ić... — cmoknął — jak cukierek... Otóż, ile razy zobaczę ładną, bardzo ładną pannę, nie może mi się za nic w głowie pomieścić, aby się nie nazywała Zuzanną... Co?... Co panna na to?...

— Ja na to... że pan się mylisz.

— Oj, nie... nie mylę się ja... Od czegoż ja kucharz?... Wiem, na przykład, co panna masz, a czego nie masz...

— Gdzie?

— Ano... tam... w pudełku...

Interesującą rozmowę przerwało zakaszlanie się hrabiego. Panna Teresa do kucharza się zwróciła z prośbą o szklankę wody.

— Zaraz... zaraz... My tu wodę mamy i płacić sobie za nią nie każemy... Tylko mi panna podziękuje pięknie.

— Dziękuję.

— Ot, tak... na pierwszy raz... Za drugim razem upomnę się o coś więcej... — mówił, szklankę podając.

Gdy hrabia haustów parę przełknął, kucharz zapytał:

— Ojczulko?...

— Mój ojciec.

— Skrzypi biedak .. I z nami tak będzie, jak się postarzejemy... Życia używaj, pókiś młody... Prawda, panno?...

Od odpowiedzi na to pytanie zwolniło pannę Teresę wejście panny służącej, szykownej i z pozoru drożącej się ze sobą dziewczyny.

— Panna Karolina... a!... zajrzeć do mnie raczyła.

— Nie do was — ostro odcięła.

— Ja tu pan. Kto do kuchni wchodzi, tego ja...

— Od Tabulskiej?... — zapytała panny z pudełkiem, nie zwracając uwagi na gadanie kucharza.

— Przyniosłam spódnicę... — odpowiedziała zapytana, wstając z ławki.

— Obszytą?...

— A jakże.

Zabierała się do otworzenia pudełka, gdy hrabia pannie służącej, która z pod oka na hrabiankę spoglądała, karty wizytowe podał.

Panna Karolina nazwisko przeczytała. Oczy jej zamigotały.

— Proszę je odnieść pani.

— W ten moment — odrzekła i pędem z kuchni wybiegła.

Zastanowiło to kucharza. Kuchta podbijanie piany zawiesił i gębę otworzył. Chwil kilka, nie dłużej jak minuta, upłynęło w milczeniu. Panna z pudełkiem usiadła. Nagle drzwi się otworzyły, wpadła panna Halina.

Nadzwyczajny ten wypadek w osłupienie kucharza i kuchtę wprawił.

Pani Zbędowska do kuchni zaglądała niekiedy, panna Halina nigdy.

Wpadła strojna, w sukni *demi-deuil*, w koronkach, pół wygorsowana, perły na szyi, fryzura *à la diable m'emporte*; niby zjawisko nadziemskie ukazała się wśród rądlów, patelni, różów, jaśniejąca, pachnąca, i z wyciągniętymi ramionami przypadła do panny Teresy, która

powstała, i do hrabiego, który się z siedzenia dźwigał.

— Wuju drogi!... Tereniu!... co to się stało?

— Przyszliśmy.

— Jakże to?... jak?... Mój Boże!... Czy to być może?... Tereniu droga!... wuju!... Ale proszę... proszę ze mną... tedy... Och!...

Drzwi wskazała, wyprowadziła.

Kucharz, gdy za drzwiami znikli, ręką machnął.

— Masz!... — zawołał. — Komedya się trafiła. I co to mi narobili?... — zapytał wracającej po spódnicę panny Karoliny.

— To się narobiło — odpowiedziała, — że jeżeli pan Michał języka za zębami nie trzymał, to będzie się miał...

— Owa!... Czy to mi język uschnie, czy co?

— Może i uschnie — odparła i z panną z pudełkiem w rozmowę o spódnicy się wdała.

Pan Michał tymczasem, na patelnię masło wkładając, prawil sam do siebie:

— Bo kto to widział kuchnię na przechodzie stawiać. Czy to ja potrzebuję, ażeby mnie nachodziły panny i nie panny! Ja na te panny nie łakomy. Już mi się te przysmaki przejadły.

— Niech ino pan Michał... — zaczęła panna Karolina tonem upominającym.

— Co? — zapytał wyzywająco.

— Nie gada za dużo.

— Kto mi zabroni? Panna może? Cha, cha! Nie urodził się jeszcze taki, coby mi gębę zamknąć mógł.

— Pan hrabia i panna hrabianka opowiadają teraz pani, co im pan Michał nagadał.

Kucharz był skonfundowany, miną nadrabiał, zawadzało mu to jednak, że jego koncepty do wiadomości pani Zbędowskiej doszły lub dojdą.

Na próżno się atoli niepokoił. Panna Halina hrabiego i pannę Teresę do swego wprowadziła saloniku, posadziła ich, przeproszała i powtarzała, że nie rozumie, co to się stało.

— To wina stróża—domyślała się.—Mama się na niego rządcy poskarży.

— Niema za co—odrzekł hrabia.—Znać pana po cholewach. Stróż się tej reguły trzymał i nam schody służbowe wskazał. Nie zawinił więc zgoła.

— Ale... wujaszek kochany... Terenia kochana... w kuchni? Nie! To dla mnie rzecz niepojęta!

— Taka mała rzecz! — odezwała się panna Teresa.

— Bywałem w gorszych, aniżeli kuchnia, miejscach — dodał hrabia.

— Wybaczcie!

— Wybacząć niema co. Nie mówmy lepiej o tem. Jakże mama?

— Mama za chwilkę będzie służyła, ma jakąś rozprawę o interesach.

— Przed wyjazdem?

— A tak... Mama się wszystkim zajmuje sama.

Słowa te nie zgadzały się z istotą rzeczy, polegającą na tem, że w salonie znajdowało się osób parę z wizytą, wobec których szwagier w przetartym surducie i siostrzenica w odzieży do mody nie dopasowanej kompromitowałiby panią Zbédowską cokolwiek. Gdyby byli weszli przez schody paradne, byłoby potrzeba do tego się zastosować. Wypadek ten pani Zbédowska przewidziała i miała na pogotowiu parę frazesów, którymiby przygotowała możliwych gości przed wkroczeniem zubożałych krewnych. Tak się atoli zdarzyło, że ci krewni przez schody służbowe weszli. Można ich było schować. Pani Zbédowska, otrzymawszy za pośrednictwem panny służącej karty wizytowe, zapytała:

— Gdzie ci państwo?

— W kuchni.

— Halinko! — wezwwała córkę, karty jej pokazała i słów parę do ucha jej wsunęła, przeprasząc gości, że córka opuścić ich musi dla „interesującej pary.“

— Pani Zbęowska zawsze ma kogoś, kim się interesuje — jeden z gości się odezwał.

— Nie robię więcej, niż inni.

— Gdyby inni tyle, co pani, robili...

Dla tego to interesu pani Zbęowska z wyjściem do szwagra i siostrzenicy zwlekała.

Panna Halina bawiła ich uprzejmie, wkładając w uprzejmość całą duszę i serce całe.

— A Frania? Mania? — zapytała.

— W szkole.

— O, jaka szkoda! Ale one nas odwiedzą?

— W niedzielę chyba — odpowiedział hrabia.

— W niedzielę, niestety, nas już nie będzie. Co za szkoda! Takie miłe dziewczynki! Tak się nam podobały! Mama i Julcia zachwycone niemi. O sobie nie mówię. Malutka Różia od razu się do nich przywiązała, wciąż o nie pyta: „tiotia Fania, tiotia Mania.“

— Ile ma? — zapytała panna Teresa.

— Dwa niespełna latka. Luba dziecinka. Lubisz dzieci, Tereniu?

— Bardzo.

— Wiejskie zwłaszcza — dodał hrabia.

— Wiejskie i inne... wszystkie.

— Zachwyci cię, gdy ją poznasz.

— Przyjemność poznania jedynej mojej wnuczki musiałem odłożyć na później — odezwał się hrabia.

— Nie rozumiem, czemu jej dziś Julcia nie przysłała. Słodka dziecina, a jaka z niej śpiewaczka! Gdy gram, ona mi śpiewem wtóruje.

— Grywasz dużo? — zapytała panna Teresa.

— Nie dużo... ile mi czas pozwoli. Muzykę bardzo lubię. A ty grywasz?

— Trochę.

— A Frania? Mania?

— Uczą się. Frania zdradza talent i zamiłowanie.

— Będzie z niej artystka. Ona na to wygląda. Mania wydaje się bardziej stateczna...
plus posée.

— Roztrzepane obie—wtrącił hrabia.

— A takie ładne, takie ładne! Co to będzie, gdy na słuszne wyrosną panny.

Hrabia głową pokiwał.

Rozmowa w tym guście snuła się dalej, do chwili wejścia pani Zbędownskiej, która, gości pożegnawszy i służbie zaleciwszy, ażeby

nowoprzybywającym powiadała, że jej w domu niema, udała się do apartamentu córki.

— Bracie kochany! Tereniu! dziecko moje... jakżem szczęśliwa, że was mam u siebie! Może przejdziemy do salonu?

— Czy tu nam nie dobrze? — odparł hrabia.

— Przepraszam, żeście na mnie tak długo czekali.

— Interesy, rachunki zapewne?..

— Ach! tak. Ale, jakążescie się tu dostali drogą?

Niektórzy ludzie, z prawdą się rozmijając, zajmują się. Pani Zbędowska, mimo że doskonale wiedziała, zadała zapytanie powyższe z akcentem tak poprawnym, jakby w rzeczy samej czystą mówiła prawdę. W akcent ten wpadła panna Halina, odpowiadając matce:

— Niech sobie mama wyobrazi, przez kuchnię.

— Być nie może!

— Przez kuchnię! — powtórzyła panna Halina głosem tragicznym.

W materji tej z panią Zbędowską powtórzyła się ta sama wymiana frazesów, co poprzednio z panną Haliną. Zbędowska się na stróża srodze odgrażała; hrabia wstawiał się za nim. Nastąpiły pytania o Franję i Manię

i zachwycanie się niemi, połączone z żalem, że ich hrabia nie przyprowadził ze sobą.

— Jaka szkoda, że wyjeżdżać musimy! Na przyszłość zamawiam sobie panienki na niedzielę, jeżeli nie można częściej. I Terenia — zwróciła się do panny Teresy — i brat kochany...

— Nie przyrzekam, nie zobowiązuję się, bo to nie od mojej woli, ale od fantazyi moich soków żywotnych zależy. Nie ten ja, com był dawniej, kiedy z Szarek do Zagórza, mil sześć, konno kłusem jeździł.

Pani Zbędowska popatrzyła na niego, a w oczach jej wilgoć się pojawiła.

— Ale — dodał, — co tam!

Westchnął.

— Lubieś dawniej, bracie kochany, towarzystwo.

— Lubiałbym i teraz, gdybym nie czuł, że moje towarzystwo ludziom nie sprawia zadowolenia. Wczoraj kilka godzin upłynęło mi jak jedna chwilka z Jasiem i z panem Skowronem.

Przy słowach ostatnich pani Zbędowska i panna Halina zamieniły ze sobą wejrzenie znaczące.

Pani Zbędowska zaczęła:

— Jakże Jaś?... Znalazłeś go zmienionym?

— Jak się zmienia człowiek, gdy z młodzieńca na męża dojrzeje. Nie widziałem go lat tyle.

— Nie mówił, czy wyjeżdża?

— Nie mówił. Zdaje się, że nie wyjeżdża, obiecał mi bowiem, że mnie często odwiedzać będzie. Znudzi się mu jednak ze mną.

— O! bracie kochany, nie krzywdź go przypuszczeniem podobnem. Wiem, że Jaś ciebie kocha i szanuje.

— Tem lepiej dla mnie—odparł hrabia, z fotelu się dźwigając.—Ale na nas już pora, Tereniu.

— Tak prędko?—unisono zapytały pani Zbędowska i panna Halina.

— Dziewczęta ze szkoły nadejdą.

Nastąpiło żegnanie się, zaprawione wynurzeniami serdecznemi ze strony pani Zbędowskiej i panny Haliny, które gości aż do przedpokoju odprowadziły i, wracając, takie ze sobą zamieniły słowa:

— Jakże to dobrze się stało, że stróż hrabiemu wejście tylne wskazał—odezwała się pani Zbędowska.

— Ach! dobrze — odrzekła panna Halina. — Tereni stanowczo takiej, jaką jest, ludziom pokazywać nie można. Ciekawam wrażenia, jakie ona na Skowronie sprawiła.

X.

Panna Teresa pod względem wykształcenia umysłowego stała na poziomie wcale nie wysokim. Systematycznie nie uczyła się—nie było na to czasu, ani sposobności, ani zresztą możliwości. Wychowała się w domu, na wsi, pod okiem matki smutkiem przygnębionej, w towarzystwie sióstr młodszych, przy których od czasu, jak jej pamięć sięgała, matkę zastępowała i wyręczała. Matka, w czem mogła i jak mogła, jej się udzielała. W oficynie mieszkał stary oficyalista, były rachmistrz, który do piątej klasy w szkołach doszedł; ten ją nauczył pisać, czytać, uczył geögrafii, historii, katechizmu, gramatyki; od matki brała lekcye muzyki i języka francuskiego; biblioteka ojcowska uzupełniała, czego w zakresie elementarnym brakło; literatura nadobna wyobraźnię kształtowała;—złożył się z tego zapasik wiedzy, nieustępujący pod względem rozległości ani trochę temu, jaki zdobywały panny na drodze edukacyi, zwanej „staranną,” udzielanej przez bony, guwernantki i metrów. Uakcentowało ją wychowanie, przeprowadzone całkowicie pod hasłem ofiarności dla obowiązku, względem którego osobistość jest narzędziem, nie zaś celem. Cechowało to tak'zwaną roman-

tyczność, wymawianą hrabiemu Aleksemu przez Gudulskich; romantyczność owa stanowiła zaczyn, dzięki któremu w duszy i sercu dziewczyny fermentowały z razu, następnie się krystalizowały uczucia i pojęcia. Ona sama była dla siebie samej narzędziem, instrumentem, przeznaczonym na pełnienie funkcji odpowiedniej i wymagającym takiej staranności i pieczołowitości, jaką otacza grajek skrzypkę lub flet, żołnierz oręż, rzemieślnik warsztat. Narzędzie powinno być jak najczystsze, jak najpodatniejsze, jak najdoskonalsze, ażeby jak najlepiej celowi służyło.

W takim kierunku, pod takimi wpływami panna Teresa rosła i wyrosła. Kierunek szedł z ojca nieobecnego, z matki nad nią czuwającej, z otoczenia, z okoliczności wreszcie, i ześrodkowywał się na niej, na jej osobistości. Gdyby ta osobistość była gruntem nieodpowiednim, na nicby się to wszystko nie zdało, a nawet, kto wie, ażaliby na nim nie wybujały chwasty. Miała atoli przeciwko temu obronę w sobie. Skutkiem wpływów, działających na skłonności osobiste, urobiło się w niej poczucie ekspensywności, zwracające się w pierwszym rzędzie na otoczenie jej najbliższe, na rodziców, rodzeństwo i domowników, dalej na włościan w Lipowcach, jeszcze dalej na koło

szersze, tak, że rodzina, co ją bezpośrednio otaczała, przedstawiała się jej jako pierwszy stopień obowiązującej ją służby, potęgującej się obowiązkowo, w miarę, jak się zakres rozszerza. W odniesieniu do służby tej uważała osobistość własną za narzędzie, wymagające doskonalenia. Z tego wychodząc punktu, rozumiała potrzebę kształcenia umysłu, — kształciła go też, o ile mogła, rozumiała doniosłość harmonii pomiędzy uczuciem a rozumem i utrzymywała ją bez wysiłku. Serce jej nie domagało się praw i przywilejów specjalnych żadnych. Kochało tak i tyle, że nie uczuwało potrzeby miłości na swój wyłącznie użytek. Zresztą sprawy sobie z tego nie zdawała; marzyła, roiła, sny złote snuła, ale nie o kochanku. I dlatego była „dla zalotników zwyczajnych jak skała.“ Może miłość rozleglejsza, podnioślejsza, poważniejsza, tłumiała w niej kochanie, „tchnieniem młodzieńczem wzbite pod niebiosą,“ upoetyzowane, ubrylantowane, ale pospolite.

Znalazszy się z ojcem i matką, złączonymi po długim rozłączeniu, panna Teresa stała się dla nich obojga aniołem opiekuńczym. Osłaniała ich, oboje chorych, skrzydłem swoim, matkowała przytem sioström młodszym, którym w naukach dopomagając, uzupełniała

edukację własną. W ten sposób wiadomości dorywczo nabyte systematyzowały się w jej umyśle, braki znikaly, poglądy na świat, na obowiązki i zadania własne racjonalizowały się, twardniał grunt pod niemi.

Śmierć matki dotknęła ją mocno, lecz w głębi serca, w którym zamknęła ból, opanowawszy go bez pomocy niczyjej. A wielkim był jej ból—matkę całą potęgą uczucia kochała. Gdy śmierć ją od niej oderwała, uczuła się przygnębioną, znicestwioną, rozpaczy blizką; wnet jednak odezwało się w duszy jej wołanie: *vivos voco!* i wyprostowała się, niby topola, którą wichur do ziemi nagiął, lecz złamać nie zdołał. Na apel obowiązków, jakie na nią losy włożyły, a które z dobrej, własnej a nieprzymuszonej woli na siebie wzięła, odpowiedziała: „jestem!“ Ani na jedno oka mgnienie nie zapomniała o ojcu, o siostrach i o tych drobnych, powszednich zatrudnieniach domowych w gospodarstwie, zamkniętem w murach apartamenciku miejskiego, o których chwilowego zapomnienia niktby jej za złe nie wziął. Krzątała się i uspokajała. Uspokajać musiała szczególnie siostry, które ciosu nie umiały znosić, jak go ona znosiła.

— Mama od nas odeszła, ale ciałem tylko — perswadowała panią kom.— Dusza jej

z nami pozostaje nieodstępnie i nie wymaga od nas ostentacyjnych okazów żalu, chociażby przez wzgląd na tatkę. Wiecie, czego ona po nas wymaga.

Tak perswadowała i tuliła siostry do siebie, łzy im ocierała i głaskała je, całowała. Nie tyle słowa, co jej przykład wpływ na dziewczęta wywierał. Przekonane były o jej dla matki miłości; ponieważ przeto ona żalu głośno nie manifestowała, uwierzyły w obecność duszy matczynej i żal swój objawiały po cichu. Płakały, płakały rzewnie—i na tem poprzestały; gdy zaś panowie Jan i Paweł hrabiego z pogrzebu odprowadzili i na obiedzie i po obiedzie zostali, tyle w sobie mocy znalazły, że, czyniąc zadość życzeniu ojca, naprzód Frania, potem Mania, sztuk kilka poprawnie odegrały.

Było to dla matki.

— Mamaby od was tego wymagała.

Tych słów parę starczyło na zdecydowanie dziewczynek. Przymusiły się, grały, następnie przymusiły się powtórnie, na przechadzkę się wybrały w towarzystwie obcych.

Przymus ów był ze strony hrabiego intencjonalnym. I panna Teresa zrozumiała, o co chodzi.

Na przechadzce nastąpiło zbliżenie się, albo raczej zapoznanie się bliższe pomiędzy panną Teresą a panem Janem.

Pan Jan wziął ją pod ramię i rzucił panu Pawłowi wyrazy:

— Pawelku, powierzam ci moje młodsze siostrzyczki.

Z panną Teresą rozmowę od następujących rozpoczął słów:

— Chcę się z tobą otwarcie rozmówić, poradzić. Zaczynam rozmowę od zapytania: czy ja się mogę przydać na co?

— Co za pytanie! — odparła. — Czyż jest kto, coby się na co nie przydał?

— Zapewne.

— Byle chciał — dodała.

— Byle chciał? W tem sztuka cała. Nie znasz świata, w którym się obracam.

— Nie znam.

— Chcesz, żebym ci dał o nim krótkie, ale dosadne wyobrażenie?

— Proszę ciebie.

— Składa się on z ludzi rodzaju dwojakiiego: jedni majątki robią, drudzy majątki tracą; jedni i drudzy schodzą się na gruncie spólnym i komedye grają.

— Ciekawy świat! — wtrąciła.

— Prawda, że ciekawy. Owóż ciekawość ta, w połączeniu z intrygą, która, jak wiadomo, każdej komedyi życie i ruch daje, taką stanowi potęgę, że obezwładnia wolę osobnika, co się raz w kręgi tego świata dostał.

— Takiego nawet, który rozumie?

— Nawet... Wpada się bowiem w koło zaczarowane, z którego wydobyć się, jeżeli nie niesposób, to bardzo, bardzo trudno. Historia muchy w sieci pajęczej. Mucha przecie wie, co jej grozi, gdy w sieć wpadnie... szarpie się więc, brzęczy i wydobywa się niekiedy, ale bardzo rzadko. Z muchami wielkoświatowemi dzieje się jeszcze to, że, zaplątawszy się w sieć, wydaje się im, że są pająkami. Stąd też w tej sferze pełno fałszywych pajaków i fałszywych pajęczyc... pełno.

— Domyślałam się tego.

— Skąd? — zapytał.

— Patrzyłam w zwierciadło, które ten świat w sobie odbija.

— I cóż?

— Zdaje mi się, że jednak.. możnaby uniknąć losu muchy.

— Trudno, moja Tereniu, trudno.

— Nie udając pająka.

— To krew z ciebie wyssą.

— Nie mów do mnie, ani o mnie — podchwyciła, — ja bowiem, jak dotychczas przynajmniej, nie czuję w sobie ochoty ukazania się w zwierciadle, w które niekiedy patrzę przez pryzmat książkowy.

Pan Jan spojrział na nią z ukosa, z tym w oczach wyrazem, który można nazwać śledczym. Wierzyć mu się nie chciało, ażeby młoda kobieta, panna, świetnie nosząca nazwisko, piękna i o piękności swojej nic wiedzieć nie mogąca, uboga przytem, nie pragnęła uciech światowych. Piękność, nazwisko, ubóstwo, kombinacye, jakie z tych warunków literatura wyprowadza i na pastwę wyobraźni czytelników oddaje, wydawały się mu ponętami tak potężnymi, że nie przypuszczał, ażeby na kuzynkę jego nie działały.

Przypuszczał, że przycichły czy przygluchły pod wpływem ciosu tak dotkliwego, a tak świeżego, jak śmierć matki. Wierzył w potęgę ponęt, których wpływu na siebie doznał, i dlatego słowa panny Teresy wziął w tem znaczeniu, w jakim się biorą frazesy w rozmowach, gdy chodzi o snucie wątku. Dla podtrzymania przeto wątku, zapytał:

— Ani ochoty, ani ciekawości?

— Ciekawości? — odparła i po chwili myślenia dodała: — Nie powiem, żem nieciekawa, przeciwnie... ale...

— Ale... co?...

— Zaspokojenie jej wymagałoby z naszej strony ofiar tak dużych i tak różnorodnych, że samo myślenie o tem jest zbytkiem, na który rzadko sobie pozwalam.

„Praktyczna... moja piękna kuzynka...“ — pomyślał pan Jan, biorąc praktyczność z tego punktu, z którego wytworzyła się reguła przysłowiowa: „Pamiętaj, przychodzie, żyć z rozchodem w zgodzie,“ reguła na wylot mieszczkańska i na wskrós pozioma, tak dalece pozioma, że jej nawet reformatorowie socyalni na uwagę nie biorą. Pod wyrazem „ofiary“ zrozumiał „oszczędność,“ zabraniającą szczuplutkie dochody obracać na wystawne życie, odpowiednie tej sferze towarzyskiej, do której hrabiemu urodzenie należeć prawo dawało. Przedewszystkiem przeto zafrapowała go poziomość. Aczkolwiek bowiem należał do generacyi bez uprzedzeń, atoli tych szczególnie, które się tyczyły pochodzenia rodowego i to nie w całej rozciągłości. Zależało to od majątku. Majątek uprzedzenia konserwował, pełniąc funkcję tego octu z estragonem i rozmaitymi korzeniami, który służy do konserwowania śliwek, wisien, piklów i korniszonów. Bez niego znikwały one, ustępując miejsca rezygnacyi, gotowej na poświęcenie, polegające na sprzedawaniu się.

Uprzedzenia przyswoiła sobie warstwa kupująca, w której rozkwitały one wspaniale, oblewane rosą złotą, spuszczaną przez obłoki, osłaniające rozmaitego rodzaju szwindle. Robiło się z tego zakłęte koło. Kto w nie wszedł, wyjść nie umiał, chociażby wyjść chciał. Z okręgu koła wysuwały się ku środkowi ramiona polipa, zaopatrzone w niezliczoną ilość gałęzi, gałązek i gałązeczek, giętkich i lepkich, ochwytyjących, oplątujących i trzymających wpadłą wśród nich istotę za pomocą niepodobnych do oderwania smoczków. Smoczki mają własność lechtania rozkosznie. Pan Jan doznał tego na sobie. Był on przestrzeżony i uprzedzony; że jednak miał do poziomuści wstręt, a przytem dał się ciekawości pociągnąć, wpadł.

„Byłbym nie wpadł, gdyby...” — pomyślał.

W myśli, a raczej w wyobraźni stworzył mu się sam przez się obraz ducha opiekuńczego, który przybrał kształty panny Teresy. Gdyby duch podobny czuwał nad nim, pan Jan byłby nie marnował czasu na wędrówki bezcelowe, nie trwonił majątku na niedorzeczności błyskotliwe, nie wysilał imaginacyi i rozumu na hazardy wybrykowe.

„Miałoby to następstwa dobre, ale jakież poziome! jakież poziome!”

Wyobraził sobie samego, pędzącego życie regularne, jednostajne, monotonne, mieszczańskie, bez wstrząśnięć, bez wrażeń, życie w postaci girlandy, uwitej z kwiatów takich, jak spanie, wstawanie z łóżka, śniadanie, obiadowanie, podwieczorek, wieczerza, łóżko dobrze posłane—i następnie znów to samo, i dalej toż samo, i dalej toż samo, i jeszcze to samo, bez końca; a wiązaniem tego co?—goście, dzieci; a urozmaicenie w czym?—teatr, koncerty, rauty, bale, spacer; a sens jaki?—bawienie się w widza komedyi światowej. Do tego by doprowadziła praktyczność pięknej kuzynki, mówiącej o ofiarach.

O ofiarach „różnorodnych.“ Tak się panna Teresa wyraziła. A zatem pod wyrazem „ofiary“ rozumiała nie same tylko wydatki pieniężne, na zaspokojenie ciekawości potrzebne. „Cóż rozumiała?“ Zastanowiło to pana Jana i, luboć sobie odpowiedzi na zapytanie to nie dał, natchnęło czcią dla kuzynki. Przeczuwał w niej istotę, wznoszącą się nad poziom, wyższą, i od opolerowanych na damy mieszczynek i od zdobnych w pawie ogony gwiazd pstrego *high-life*'u. Przeczuta owa wyższość uderzyła go, zainteresowała i wydała mu się rzeczą tem bardziej cenną, że panna Teresa nie wdawała się bynajmniej w definiowanie ofiar. Niewątpliwie odnosiły się one do sfery ma-

teryjalnej i do sfery moralnej. Jakże atoli i w jakiej mierze do tej ostatniej? Czyż mógłby ją o to zapytać!...

Piękna kuzynka zaimponowała mu.

— Cóż mówisz o niej?... — zapytał pana Pawła, gdy, odprowadziwszy hrabianki do drzwi ich mieszkania, szedł z nim trotuarem.

Pan Paweł nic mu na to nie odpowiedział.

— Co robisz z sobą dziś wieczorem?

— Czy wiem, co!

— Nie masz nic w laboratorium na warsztacie?...

— Mam... ale... — odrzekł pan Paweł.

— Co?...

Pan Paweł ramionami wzruszył.

— Domyślam się, co ci przeszkadza.

— No?... — zapytał zaciekawiony.

— Chodź do mnie, to ci powiem. Dobrze?

— Dobrze.

Dwaj przyjaciele minęli ulic kilka i wkroczyli w dzielnicę, w której miasto przypominało wieś. Domy nie opierały się jeden o drugi, poprzedzały je mniejsze lub większe podwórza, otaczały ogrody, oskrzydlały pawilony, i niektóre miały pozór willi i pałacyków, wyglądających wcale szykownie. Do jednego z domów takich weszli panowie Jan i Paweł, mijając lożę odźwiernego, przy której otwierała się furtka, przylegająca do bramy. Otwar-

cie jej potrafiło dzwonek, na którego odgłos we drzwiach łoży zjawił się odźwierny. Odźwierny, ujrawszy pana Jana, przybrał wnet postawę służbową. Pan Jan mijał go — nagle jednak, jakby przypomniawszy coś sobie, zatrzymał się i zapytał:

— Cóż?... Przyjechał?...

— Przyjechał, jasny panie.

— Konie... zdrowe?...

— Zdaje się.

— Chcesz zajść do stajni? — zwrócił się do pana Pawła.

— Z ochotą.

Zwrócili na lewo, do jednego z pawilonów, którego drzwi szerokie stały otworem i ronily woń stajenną. Przed progiem powitał ich człek chudy, w wysokich butach, w obcisłych spodniach, w kurtce na grzbiecie i w melonku z daszkiem na głowie.

— *How d'you?* — odezwał się do niego pan Jan.

— *Very well!*... — odpowiedział zagabnięty.

— *The horse's... whole?*...

— *All right, sir!*...

W stajni, czysto utrzymanej i elegancko wyglądającej, w klatkach, zaopatrzonych w żłoby kamienne i drabinki z lanego żelaza,

stało koni kilka, okrytych derami niejednakimi. Jednym dery szare w duże ciemne kraty osłaniały grzbiety i uda, drugim dery również w kraty, lecz koloru żółtawego, osłaniały nie tylko grzbiety, ale karki i uszy, maskując przytem łby. Tych ostatnich było dwa. Z pod der rozpoznać się dawała maść—na jednym gniada, na drugim kasztanowata. Ku nim zwrócił pan Jan kroki swoje, zatrzymał się i patrzył na nie, gdy człek w kurtce, który obok stanął, opowiadał mu po angielsku, jak one odbyły podróż koleją żelazną. Wyrzekał na zaduch w wagonach.

— Wagony na bydło... — zauważył pan Jan.

— Na bydło!—odparł.—*God dam!*... Co za różnica między bydłem a ludźmi?

— Przecie.

— Koń, jak człowiek, powietrza do oddychania potrzebuje.

— To prawda... — rzekł pan Jan do pana Pawła. — Jest to kwestya, o którą należy posturmować do zarządów kolejowych, a może i w gazetach ją poruszyć. Co?...

— Zapewne—odpowiedział pan Paweł.— Bydło dusić się nie powinno.

— Takie zwłaszcza bydelko, jak moja Najada i mój Elf.

Konie zwracały łby i, patrząc na ludzi przez otwory w maskach, kiwały ku nim głowami.

Pan Jan wszedł do klatki kasztanowatej klaczy, pogłaskał ją, po grzbiecie poklepał i odezwał się:

— Wielkie na niej pokładam nadzieje.

— Byle się ziściły...— odrzekł pan Paweł.

— Ha!... zależy to trochę od niej, trochę od Dicka, a najwięcej od losu... jak w grze w karty — odpowiedział, z klatki wychodząc.

Zamienił słów kilka z dzokiejem i, ku gankowi powoli idąc, prawił:

— Każdy z koni wyścigowych jest wytresowany i z chronometrem w rękę wypróbowany. Każdy dzokiej jest mistrzem w swoim fachu. Na torze panowanie obejmuje los, los, ten pan, ten władca, co ścięgną w nogach końskich reguluje, karty tasuje, galki na rulecie popędza, ludźmi, narodami, a kto wie, czy i nie światami rządzi.

Mówiąc to, rękawiczki zdejmował w saloniku-fumoarze. Ciężki wieczorny zalegał już wewnątrz. Przez otwarte okna wpływała woń bzów z rozlegającego się za domem ogrodu, niewielkiego, ale cienistego i starannie utrzymanego.

Pan Jan przywołał lokaja i dał mu rozkaz, tyczący się herbaty i wieczerzy.

Co do wieczerzy, odwołał się do pana Pawła:

— Cobyś zjadł?

— Co mi dasz...

— Nawet polewkę spartańską?

— Nawet... przez ciekawość.

— Wolałbyś jednak bifszyk.

— I bifszyk mnie zadowolni.

Gospodarz domu krótką we względzie wieczerzy dał dyspozycję i, na kanapie miejsce zajmując, tak zaczął:

— O, tak!... los wszędzie i we wszystkim.

— I zgoda z nim... co?... — zapytał pan Paweł tonem, w którym się ironia przebijała.

— A no?...

— Nie koniecznie. Można go nie wyzywać, na przykład: w wyścigach udziału nie biorąc, do kart nie siadając, na ruletę nie stawiając, można z nim walczyć i z walki wyjść jeżeli nie z tryumfem, to z honorem.

— Nie sąż walką wyścigi i hazardy wszelakie?

— Z jakim celem! Cele mają znaczenie nijakie.

— To kwestya inna. Grunt walka.

— A tak — podchwycił pan Paweł. — Walką wyraża się życie, które człowieka.

ludzkość powołuje do zapasów z naturą, tak tą, co ją otacza, jak tą, co w niej tkwi. Ludzkość zwalczyła w sobie ludożerstwo, obecnie walczy przeciwko człowiekobójstwu. To jej cel, jej zadanie, w którego rozwiązywaniu bierze udział każdy człowiek pojedynczy w miarę sił, środków i uzdolnień swoich, walcząc na zewnątrz o byt, na...

— Ależ — przerwał pan Jan, — wyścigi, gra... to jedna z form walki o byt.

— Forma, za pomocą której wyraża się w naturze ludzkiej pozostałość ludożerstwa. Przeciwno tej to właśnie pozostałości, przyprowadzanej sosami wykwintu cywilizacyjnego, walczyć należy. Jaskinni przodkowie nasi z pałką lub kamieniem rzucali się na bliźniego i hazardowali życie własne dla spożycia z niego kotletów, polędwicy, udźców i smakowitego szpiku. My inaczej rzecz tę samą urządzamy: hazardujemy się za pomocą gier rozmaitych, rozmaicie trenowanych i próbowanych, nie dla polędwic i kotletów z naszych bliźnich (do kuchni mamy inne mięsa), ale dla ich kiepszeni, które każdy z grających pragnie na własną wypróżnić korzyść, i w tym celu los do walki wyzywa, zgadzając się z góry z wyrokami jego, gdy mu się sztuka nie uda.

— Czy i hrabiego Homirskiego do kategorii tych graczy zaliczasz?

— Czy on majątek w karty stracił?

— Nie... nie — odpowiedział powoli, jakby z namysłem, pan Jan.

— Zdarzają się plagi elementarne, pochodzące od natury lub sprowadzane zbiegiem okoliczności, i one to występują jako ów przeciwnik zewnętrzny, z którym walka bez wytchnienia, walka nieublagana, jest naszym prawem i obowiązkiem. Mnie się widzi, że walkę podobną hrabia toczy.

— Przy pomocy córki — wtrącił pan Jan.

— Może.

— A może ją toczy córka przy pomocy ojca.

Pan Paweł nic na to nie odrzekł.

Pan Jan do wyrazów ostatnich nic nie dodał.

Wyrazy te, jako wynik rozmowy, która je poprzedziła, dały jednemu i drugiemu do myślenia. Świadczyło to, naprzód, że należeli oni do rodzaju ludzi „myślących,” następnie, że przedmiot wzbudzał interes. W rzeczy bo samej był on interesującym. Chodziło tu o pojęcie anioła, upostaciowującego dobro i piękno, wprawionego w położenie trudne wewnętrznej i zewnętrznej walki z losem i naturą. Anioł z nieba strącony strąconym został

za pychę i zmienił się w szatana. Podanie to przypominało się w odniesieniu do panny Teresy, która się panom tym ukazała w postaci zjawiska problematycznego.

„Co zacz ta dziewczyna?”

Zapytanie to jednemu i drugiemu w głowie utkwilo i stało się punktem wychodnim rozważań, przypuszczeń, domysłów, snujących się pod wrażeniem, jakie jej osobistość wywarła. Czynność ta umysłowa odbywała się w milczeniu, przy gasnącem świetle dziennem, ustępującem zwolna zmrokowi, dostającemu się do salonu przez otwarte okna. Bzy pachniały, listki na drzewach szemrały, z sąsiedniej willi dochodziły odgłosy fortepianu, męczonego przez jakąś aspirantkę, może aspiranta, do fachu artystycznego. Biedny instrument jęczał, zgrzytał, piszczał, rzucając skargi na echa, które, luboć się do salonu przez otwarte okna wdzierały, ale jakby się nie wdzierały. Pan Jan i pan Paweł głuchymi na nie byli. Wgłębieni, jeden w kanapę, drugi w fotel, siedzieli, a nieruchomość ich przy zgęszczającym się zmroku przypuszczać kazała, że się pospali. Że się znajdują w stanie czuwania, nie zdradzało nic, bo nawet żaden z nich papierosa nie tylko nie palił, ale o paleniu ani pomyślał.

Oni jednak czuwali.

Pan Jan analizował powiedzenie kuzynki, tyczące się „ofiar dużych a różnorodnych.“

Pan Paweł do obrazu, na którymby postać panny Teresy na pierwszym figurowała planie, dobierał tła odpowiedniego. Brał ją przedewszystkiem tak, jak mu się przedstawiła: w kościele w opromienieniu modlitewnym, i w domu wśród dotkniętej ciosem bolesnym rodziny. Pod dwiema temi postaciami najmniejsza się na niej nie pokazała skaza. Rysunek zalecała niepokalana czystość linii, przy kolorycie, który się mienił stosownie do atmosfery, jaka go otaczała. Mienienie się odbywało łagodnie, mimo rażącej różnicy pomiędzy atmosferą kościelną a domową. Patrząc na hrabiankę w tej ostatniej, zdawało mu się, że widzi przeniesioną na grunt inny i zmodyfikowaną stosownie do zaszłych wypadków jedną ze scen epopei mieszczańskiej, wyśpiewanej przez Goethego w „Hermanie i Dorotei.“ Hrabianka Teresa wyobrażała Doroteję, krzątającą się przy stole i dzieciach, porządną, cichą, łagodną, czyniącą łagodność prawem, któremu ulegali wszyscy, a którego powaga i siła poznać się dały panu Pawłowi w tem mianowicie, że młodsze panny Teresy siostry zabawiły gościa grą. Nie ulegało wątpliwości, że do fortepianu zaprowadził je nie rozkaz, grozą kary

<http://rcin.org.pl>

nabrzmiały. W podobnych razach rozkaz najsurowszy, poparty siłą wykonawczą najpotężniejszą, bywa bezskutecznym. Niesposób usunąć z dziewczęcych paluszków drzenia, gdy drzenie duszą wstrząsa. Coś przeto potężniejszego nad rozkaz na uspokojenie siostr i usposobienie ich do popisów muzycznych wydała z siebie panna Teresa.

Owo „coś“ stanęło mu w myśli na kształt zagadnienia:

„Co mianowicie?...“

„Czar jakiś...“

Czar wywierała na najbliższych swoich, na tych, co przy niej wzrosli, oswoili się z nią, co jej słabe strony i ułomności znali, na siostry rodzone młodsze, istoty najbardziej zwykle odporne w odniesieniu do siostry starszej. Musiał więc ów czar być silnym bardzo, albo raczej słabe strony i ułomności były w niej albo bardzo małe, albo żadne.

„Chyba żadne...“ — mówił sobie pan Paweł.

Twierdzenie to stawiał logicznie, stosując je do tej uznanej powszechnie prawdy, że dobro jest pięknem. Dlaczegożby piękno nie miało być dobrem? Przemawiało za tem wszystko, co do jego doszło wiadomości; a luboć była tego wiązanka bardzo szczupła, ale wią-

zance tej za wiązanie służyła doskonała piękność, rzucająca urok, który się z niej wydziełał i olśniewał. Dzięki olśnieniu, pan Paweł, gdyby nawet, przypuszczamy, dostrzegł był coś, coby o ułomności świadczyło, — albowy nie umiał ocenić tego wedle wartości, albo też znalazłby od razu tyle i takich okoliczności łagodzących, iż z po za nich ułomność wyglądałaby w postaci ofiary, wystawionej na prześladowania. Odczucie piękności, wrażenie, jakie ona na niego wywarła, pozbawiło go od razu bezstronności w sądzeniu. Widział i uznał pannę Teresę doskonałością skończoną, doskonałością wśród tego otoczenia, w jakim ją poznał, jako też wśród każdego innego, w jakimby się znaleźć mogła. Puścił imaginacyi wodze i wyprowadzał ją na rozmaite sceny, na których się odgrywają dramaty życiowe. Wyobraził ją sobie na salonach wielkoświatowych i porównywał ze wszystkimi, jakie poznał, pięknymi i najpiękniejszymi, dowcipnemi i najdowcipniejszymi paniami, uprawiającemi po mistrzowsku sztukę zawracania głów. W jego przekonaniu wszystkieby zgasły przy niej, jak gasną wobec słońca błędne na trzęsawiskach ogniki, świecące tylko w nocy złudnym blaskiem, wabiącym wędrowców na topieliska. Zgasłyby i na nicby się im nie przydały

wszystkie najsubtelniejsze sposoby tego do najwyższego stopnia doskonałości doprowadzonego kunsztu, którego zadaniem jest rozbudzenie pożądliwości w osobnikach płci odmiennej. Jej posągowy spokój zastąpiłby to wszystko i zwołałby dokoła niej tłumy wielbicieli, wśród których wybraćby mogła jednego, najgodniejszego jej serca i ręki.

„Wybraćby mogła... i wybrałaby... i wybierze... kogo?...“

Myśl ta w mózgu panu Pawłowi utkwiała i zaniepokoiła go.

„Ach! byle nie wybrała kogoś, niegodnego jej.“

Zaniepokoiło go to mocno, a tem mocniej, że w wyobraźni stworzył sobie obraz pożycia domowego, na tle którego panna Teresa zajmowała stanowisko żony, gospodyni, pani.

„Cóżby to było za pożycie, co za wzór, co za szkoła, co za ognisko, wypromieniające dokoła ożywcze, zgodliwe, zbawienne wpływy, gdyby na odpowiedniego sobie towarzysza życia trafiła!“

„Ale... gdyby źle trafiła?“

Przejął go lęk; nie wiedział, jak zaradzić temu; zaniepokoił się srodze; przestał myśleć; obejrzał się i zdziwił, że się znajdował w ciemności. Zdziwiło go to, a zaniepokojenie nie

znikło. Pod tem wrażeniem przyponniał sobie, że jest u pana Jana, dostrzegł pana Jana sylwetę na kanapie i zapytał:

— Od dawna się znacie?

— Od dzieciństwa — slyszeć się dała odpowiedź.— Alem ją z oczu był stracił na długo.

Odpowiedź ta wykazała, że, luboć przez godzinę blisko nic ze sobą nie mówili, myśli ich jednak w jednym szły kierunku i około jednego i tegoż samego snuły się przedmioty.

W chwili tej pokój nagle w świetle stanął— wszedł lokaj z lampą w ręku i z oznajmieniem, że:

— Herbata na stole.

XI.

Stosując się do programu, do spółki z adwokatem ułożonego, pani Zbędownska, będąc u hrabiego z wizytą pożegnalną, nie mówiła z nim o posagowych sióstr do pana Jana pretensjach. Mówiła o czem innem. Gdy ją hrabia zapytał:

— Więc siostra dobrodziejka wyjeżdżasz?

— Ach!... — odrzekła. — Muszę. Prawdziwa to pańszczyzna, bracie kochany. W mieście przecie latem dusić się niesposób.

— Wieś... — wtrącił hrabia.

— O! z jakąż ochotą pojechałabym do Zagórza i spędziła tam miesiący kilka. Brat kochany nie wyobraża sobie, jak ja lubię Zagórze nasze... Niestety! lekarze nami rządzą. I ja i Halinka pod ich zostajemy rozkazami... Sprzeciwiać się im trudno...

— A... tak... — potwierdził hrabia, który mógłby powiedzieć, że trudność sprzeciwiania się lekarzom pozostaje w odwrotnym stosunku do zamożności majątkowej.

Najłatwiej sprzeciwiają się im ludzie ubodzy.

Hrabiemu znakomitość lekarska, po opatrzeniu go i wyegzaminowaniu, radziła pobyt na wyspach Kanaryjskich, a przynajmniej w Palermo, w ostatecznym zaś razie w Montreux. Nie poszedł jednak za tą radą, mającą znaczenie i doniosłość rozkazu. Nie powiedział o tem pani Zbędownskiej, która, spostrzegłszy się snać, że dotknęła materji za delikatnej, zmieniła treść rozmowy.

— Ale, jakże mnie to cieszy — zaczęła, — że Jaś zbliżył się do ciebie, bracie kochany! Mocno mnie to cieszy!... Liczę na twój na niego wpływ.

— Mój wpływ?

— Tak... — podchwyciła. — Z kim przestajemy, takimi się stajemy.

— Jaś przestaje z człowiekiem, który na mnie jak najlepsze zrobił wrażenie.

— O kim mówisz? — zapytała, mimo że wiedziała.

— O panu Pawle Skowronie...

— No... tak... pan Skowron... zapewne... Między nami jednak mówiąc, ten pan Skowron... Czy wiesz, czem się trudnił ojciec jego?

— Szulerką.

— Gorzej.

— No?

— Tuczeniem wieprzów, które w Wiedniu sprzedawał.

— A... to co innego — rzekł hrabia. — To co innego.

— Majątek na wieprzach zrobił.

— A mnie się zdawało, że majątek pana Pawła pochodzi od tego Skowrońskiego, którego Skowronem zwano i który na kontraktach w Kijowie, w Dubnie, na jarmarkach w Berdyczowie, w Bałcie, w Jarmolińcach...

— Gdzież tam!... — przerwała pani Zbędowska. — Tamtego Skowrona znalazłam przecie. Człowiek bardzo miły, towarzyski, prawdziwy, gentleman. Pan Paweł nic z nim nie ma wspólnego, jest Skowronem *tout court*

i... ale niech to między nami zostanie... do mojej Halinki ma się...

— Winszuję Halince.

— Ja nie. Ale... presyi na nią wywierać nie chcę. Nie pozwala mi na to duch czasu. Oh! ten duch czasu! — westchnęła. — No... będzie, co będzie; tymczasem zaś cieszy mnie zbliżenie się Jasia do ciebie, bracie kochany... Jaś wielkie posiada zalety; obok zalet jednak posiada i wady... wady w temperamencie, które jemu samemu dużo wyrządziły złego, z żoną go poróżniły i zrobiły... szorstkim dla sióstr.

Równoległe do tej rozmowy rozmowę *a parte* toczyła panna Halina z panną Teresą prawie tej samej osnowy: o przymusie wyjazdowym i o zbliżeniu się pana Jana do hrabiego. Różnica zachodziła w tem tylko, że, co pani Zbędowskiej sprawiało uciechę, to w panie Halinie wzbudzało zazdrość.

— Jakże Jasiowi towarzystwa waszego zazdroszczę!...

— Znudzi się chyba mu z nami — zauważyła panna Teresa.

— Co tobie, Tereniu?

— Smutek i monotonnaść u nas znajdzie.

— Był u was z panem Skowronem?

— Byli obywdą.

— Jakież Skowron na ciebie wrażenie zrobił?

— Dobrze... o ile o tem od pierwszego poznania mówić można.

— Bo... ale niech to między nami zostanie... o moją rękę zabiegi czyni.

— Winszuję ci.

— Gdyby nie jakieś doświadczenia, które go zatrzymują, byłby nam w podróży towarzyszył... Co mówisz o człowieku, zajęтым jakimiś tam doświadczeniami?

— Jeżeli to są doświadczenia, mające pożytek na celu, to o człowieku takim dobrze tylko mówić można...

— Byle dla doświadczeń, jak Jaś dla sportu, nie zaniedbywał żony. Każdy z tych panów, biorąc żonę, posiada specjalność jakąś, która żonę na stronę usuwa.

— Jeżeli żona swojej nie pilnuje specjalności.

Panna Halina zdziwione na kuzynkę zwróciła wejrzenie i zapytała:

— Jakiej?

— Macierzyńskiej.

— O!... specjalność taka! Myślałam, że powiesz o muzyce, o śpiewie, o malarstwie, o literaturze, na co chciałam ci odpowiedzieć, że nie każdej dano być panią Holmes, Różą

Bonheur, Adelina Patti, panią Gyp, ażeby uprawianie jakiejś z tych specjalności starczyć jej mogło. Coś jest zresztą po nad to, co kobietę zajmuje i co się jej należy.

Panna Teresa uśmiechnęła się.

— Co?—zapytała panna Halina.

— Zdaje mi się, że naciągasz strunę za mocno.

— Może. Bronię jednak swojej... naszej sprawy i mam postanowienie, w razie gdyby mi się pan Skowron oświadczył, postawić mu warunek.

— A?...

— Żeby doświadczenia na stronę usunął.

— Czy się zgodzi na to?

— Tem gorzej dla niego; co do mnie bowiem, namyślałabym się, zanimbym oświadczyły jego przyjęła.

— Gdybyś go pokochała...

— Moja Tereniu! żyjesz jeszcze, jak widzę, w wieku romantyzmu, dawno z mody wyszłego. Któż dziś kogo albo co kocha!...

Wyznanie to przyjęła panna Teresa ze zdziwieniem. Posiadała jednak tyle nad sobą mocy, że zdziwienia nie okazała. Odpowiedziała:

— Wierzyć, a przynajmniej przypuszczać należy, że jeżeli pan Skowron o twoją ubiega się rękę, to dlatego, że ciebie kocha.

— Posądzają go wprawdzie o romantyzm, ale bodaj czy słusznie; jasnym jest bowiem, że pojąć mnie za dozgonną swoją towarzyszkę pragnie, ażeby przeze mnie uzyskać prawo obywatelstwa w *high life*'ie, w którym jego skowronstwo, podlane tłuszczem wieprzowym, brzmi i wygląda nie koniecznie harmonijnie. *Quelque chose y choque...* nie ręczyłabym, że się ode mnie przerwuci do ciebie, dla podszycia się pod twoją hrabiowską koronę.

— Ach! Halinko...

— *C'est ainsi, que va le monde*, moja Tereniu.

— Wiedząc o tem, rękębyś mu swoją oddała?

— *Pourquoi pas?*... gdyby przyjął warunek, o którym ci mówiłam, i jeszcze kilka innych...

— Bez miłości?

— Miłość wykreślona z programów.

— Przecie — tonem reklamy odezwala się panna Teresa.

— Zdarzają się psychopatyczne napady, psychologiczne przypadłości, suggestye, histerye, chroniczne słabości...

„Oczytałaś się, moja miła...” — pomyślała sobie hrabianka, której obcą nie była literatura francuska bieżąca.

Na tem się poznała, ale nie poznała się na wcale zręcznie rzuconej trutce, przeznaczonej na zatrucie w niej z góry skłonności sympatycznej dla pana Pawła, gdyby się ta skłonność w jej serce zaronić miała.

Panie z wizytą pozostawały długo—z pół godziny. Żałowały mocno, że nie zastały Frani i Mani, które ze szkoły były jeszcze nie wróciły. Utyskiwała na to pani Zbędowska, utyskiwała i panna Halina. Chodziło o dziesięć minut, najwyżej kwadrans, a byłyby się ich powrotu doczekały. Niestety, czekać nie mogły. Tyle miały do załatwienia interesów i interesików.

— Wynagrodzimy to sobie później.

— Długo panie za granicą zabawicie?

— Jak zwykle. Musimy się ściśle trzymać przepisów lekarskich: sezon u wód, sezon na stacyi klimatycznej, sezon nad morzem.

— W Ostendzie?

— Zapewne w Trouville.

— Julcia jedzie z wami?

— Nie... Gudulscy wyjadą kilka dni później... a nie wyjadą bez złożenia ci, bracie kochany, wizyty pożegnalnej.

— Ja bo... — zaczął hrabia—żegnając się z kim, nie liczę na to, że się witać będę.

— Cóż znów! — wykrzyknęła pani Zbę-
dowska.

— Godziż się tak myśleć!... — odezwała
się panna Halina.

— Wyglądasz wcale zdrowo.

— Czuję się lepiej w rzeczy samej.

— Do widzenia więc... Manię, i Franię uści-
skajcie ode mnie.

— I ode mnie — dodała panna Halina.
Pożegnano się i rozstano.

Po odejściu pani Zbędowskiej hrabia ode-
zwał się do córki:

— No... spadł mi z serca ciężar jeden.

— Jaki?... — zapytała.

— Mam uprzedzenie do posiadaczy ma-
jątków źle nabytych. Zdawało mi się, że ta-
kim posiadaczem jest Skowron. Pokazało się,
że nie... Bardzo mnie to ucieszyło.

Panna Teresa uczuła gorąco, twarz jej
obejmujące. Domyślając się rumieńca, który
rzeczywiście na oblicze jej wystąpił, dla nie-
pokazania go ojcu, głowę odwróciła, szukając
czegoś po za sobą.

— Bardzo mnie to ucieszyło — powtórzył
hrabia, do swego odchodząc pokoju.

Wkrótce później nadeszły młodsze hra-
bianki, niebawem podano obiad; tryb życia
zwykłym poszedł dalej torem.

I szedłby tak z dnia na dzień, gdyby hrabia nie naruszył porządku, wybrawszy się w odwiedzinę do gości swoich z dnia pogrzebu.

— Tatko fiakra weźmie—upomniała panna Teresa, gdy wychodził.

— Wezmę... wezmę — odpowiedział.

Nim do doróżki usiadł, chwilę zastanawiał się, kogo ma odwiedzić pierwej: pana Jana, czy pana Pawła? Zdecydował się na tego ostatniego, a to nie bez racji. Racja tkwiła w tem, że zrobił on na hrabi bardzo dobre wrażenie, wrażenie tak daleko idące, że hrabia na nie zagiął parol. Co za parol?—tego nawet sobie samemu nie wyznawał. Dość, że mu się ten człowiek podobał z tego przedewszystkiem, iż mu się przedstawił jako pracownik, mający nie własną jeno korzyść na widoku.

„Pani Zbędowska mnie do niego zrazić, zdaje się, chciała, podając do mojej wiadomości majątku jego pochodzenie — myślał sobie.—Jam się tego pochodzenia bardzo lękał. Gdyby ono wyszło od zielonego stolika... o!... Dzieci wprowadzie za rodziców nie odpowiadają; ale syn, używający majątku, nabytego przez ojca w karty, oszustwem, drogą kradzieży, rabunku... majątku, na którym ciąży krzywda ludzka, jak skoro wie o tem: czy nie jest ojca

spólnikiem?... czy, co najmniej, nie spada na niego odpowiedzialność za przechowywanie rzeczy źle nabytej?... Dzięki Bogu, Skowron nie z tej kategorii. Handel wieprzami jego ojcu ani jemu nie ubliża, tem bardziej, że zrobioną przez starego Skowrona fortunę młody Skowron na dobre obraca. Oby takich Skowronów było jak najwięcej!“

Tak rozmyślając, zajechał na Łabędią i zadzwonił do mieszkania pana Pawła.

— Pan Skowron w domu?... — zapytał człowieka w fartuchu, co mu otworzył.

— W domu, ale zajęty... Proszę chwilę w salonie poczekać.

— Czy zajęty pisaniem?

— Nie... w laboratorium.

— Proszę go zapytać, czy mnie w laboratorium przyjmie — rzekł hrabia, wręczając kartę swoją człowiekowi w fartuchu.

Za chwilę ten sam człowiek wezwał go:

— Proszę pana dobrodzieja.

Hrabia zastał pana Pawła regulującego przy lampie spirytusowej wrzenie płynu jakiegoś w kolbie, w której zbierająca się para, uchodząc rurką szklaną, nasycala inny płyn w naczyniu nakrytem.

— Wybaczyć mi raczysz laskawie, panie hrabio, że się oderwać nie mogę... Karolu,

przysuń tu krzesło... Za kwadrans, za minut dwadzieścia, będę gotów. Tymczasem proszę usiąść.

— I cicho się zachowywać—dodał hrabia.

— O, nie. Byłoby to zbyt cicho. Zmysł widzenia mam jeno zajęty. Inne zmysły swobodne.

Hrabia obejrzał się dokoła, powiódł okiem po butlach, słojach, słoikach, rozlicznych naczyniach i narzędziach, po piecach i okapach, i rzekł:

— Ma to pozór kuchni łacińskiej.

— Która łacińską obecnie nie jest, ale była w czasach, kiedy alchemicy brali się do wysmażania złota bezpośrednio w tyglu. Potrzebną im była łacina do zaklęć. Myśmy zaklęcia wraz z łaciną odrzucili i smażymy złoto pośrednio.

— Hm... — mruknął hrabia.

— Ryjemy i użyźniamy pole, jak ów syn, któremu ojciec, umierając, powiedział, że na polu skarb zakopany znajdzie. Chemia szuka tego skarbu i odkrywa go częściowo.

— Niekiedy pod postaciami nie koniecznie pożądanymi.

— Ha!... każdy kij ma dwa końce. „Robak się lęgnie i w bujnym kwiecie...” Zadanie chemii polega na wynalezieniu dla ludzkości

manny, kiedy na wyżywienie jej zwyczajnego chleba zabraknie. Spuszczanie manny z nieba zdarzyć się mogło tylko na pustyni arabskiej i tylko Żydom.

— Żydom zdarza się to i u nas.

— Nie wszystkim. I im, w ogromnej większości, przyda się to, co się w szklanych warzy rądelkach. O...—rzekł, wstając i lampę gasząc. — Zrób, Karolu, analizę... — dodał, zwracając się do pomocnika. — Służę hrabiemu.

— Nie moglibyśmy pozostać tu?

— Śród wyziewów, za które nie ręczę, czyby hrabiemu nie zaszkodziły?... Do chemii zaprawić się potrzeba, jak Mitridates zaprawił się do trucizny. Próbując zmian materyi, przewidzieć z góry niesposób, jak próba wypadnie.

— Jeżeli tak... — odparł hrabia, z siedzenia się dźwigając.

Pan Paweł ramię mu podał.

Salon dał hrabiemu sposobność sprawdzenia przysłowia: „Jak cię widzą, tak cię piszą.“ Poświadczył on o guście gospodarza domu i o tem, że zaspokojenia gustu nie szuka w dalekich stronach. Zaspokaja go na miejscu. Skonstatował hrabia, czekając na pana Pawła, który, doprowadziwszy go do drzwi salonu, drzwi otworzył, przeprosił i samego zostawił

na czasu tyle, że rozpatrzyć się mógł swobodnie w przedmiotach, służących za dowód, że ludzkość nie samym tylko żyje chlebem, że w naturze jej odbywają się procesa na warsztacie nie wyłącznie żołądkowym.

„To, to...— rzekł do siebie.— Ten człowiek urzeczywistnia ideał członka społeczeństwa, posiadającego środki i rozumiejącego, do czego one służyć powinny. Ten pan Paweł podoba mi się, bardzo mi się podoba, pomimo, że rodzic jego wieprzami handlował, a przodkowie buław nie piastowali. Była pora, w której buławy, pancerze, hełmy ton nadawały i kierunek wskazywały. Pora ta znamionowała przewagę pięści nad rozumem, który się powoli z pod tej przewagi wydobywał, aż się wydobył, buławy, pancerze i hełmy złożył w muzeach, a na ich miejsce wysunął na przód laboratorya.“

Hrabia głowę spuścił, jakby go przejął żal za przeszłością, w której pióropusz służył za symbol przewodni. Jeżeli się jednak zasmucił, to na krótko. W głowie jego wnet nastąpiło dalsze snucie myśli, które wyszło z tego punktu, że laboratorya obecnie, jak buławy dawniej, obracane być mogą albo na złe, albo na dobre.

„W tem grunt...“— rzekł do siebie, a rzekł to w chwili, gdy pan Paweł, zdjawszy z siebie

fartuch, umywszy ręce i włożywszy na grzbiet paltot, wszedł do salonu.

— Przepraszam, mocno przepraszam!

— Niema za co — odparł hrabia.

— Kazałem panu hrabiemu czekać na siebie.

— I dałeś mi sposobność dowiedzenia się, że łączysz *utile dulci*.

— Łączy się to samo.

— Nie zawsze, a chyba bardzo rzadko w tym sensie, jaki, jak mi się zdaje, połączeniu temu nadajesz...

Hrabia, krótko zabawiwszy, zaczął się zabierać do wyjścia.

— No... — odezwał się, wstając. — Liczę na to, że mnie od czasu do czasu odwiedzać będziesz, z wizytami się nie licząc. Bywałbym u ciebie często, za często może, Bóg widzi... nie mogę.

Pan Paweł gościa wyprowadził i towarzyszył mu aż do fiakra, do którego wsiadając, hrabia rzekł:

— Chciałbym jeszcze Jasia odwiedzić.

— Czy go hrabia w domu znajdziesz?

— Spóbuję.

Próba wypadła przecząco. Pan Jan znajdował się w maneżu, dozorując chodów Elfa i Najady, mających wystąpić na popisach wyścigowych. Wyścigi zajęły go mocno,

czas naglił, pozostawało bowiem dni dwa tylko. Hrabia przeto powrócił do siebie, zastał już młodsze hrabianki, wypoczął chwilę, do obiadu zasiadł i po obiedzie na kawę się do swojej pracowni udał.

Młodsze córki przy stole dawały mu pytania, wizyt się tyżące:

— Był tatko u Jasia?

— Byłem... nie zastałem go.

— Szkoda.

— Czemu?

— Tatkoby nam opowiedział, czy u Jasia tak, jak u cioci.

— Ale... pan Skowron? — odezwała się jedna z nich.—I tego tatko nie zastał?

— Zastałem go w laboratorium chemicznem.

— O! w laboratorium?... Cóż on tam robił?... Przypatrywał się?...

— Siedział w fartuchu.

— W fartuchu!.. — wykrzyknęły obie razem.

— I doświadczenia czynił.

— Chce wytopić z węgla brylant?

— Ani mu się to śni. Nad czemś pożyteczniejszem pracuje.

— Nad czem?...—dopytywały się dziewczęta

— Dajcież tatkowi jeść spokojnie — upomniała je panna Teresa.

Nie było więc więcej o tem mowy, tylko Frania, jakby na usprawiedliwienie się, że o brylancie wspomniała, dorzuciła, że pan Skowron sam na przechadzce opowiadał o węglu, o brylancie i o doświadczeniach chemicznych.

Hrabiemu kawę przyniosła panna Teresa, naląła ojcu i przy nim została.

— Pozbyłem się tedy wizyt — zaczął hrabia.

— Tatko Jasia nie zastał?

— Mało szans, ażebym go kiedy o tej dnia porze zastał; dziś zaś tem mniej, że szykuje do wyścigów konie.

— W wyścigi się bawi.

— Bawi się. Stąd, jak mi pani Zbędownska mówiła, poszły nieporozumienia jego z żoną.

— Zapewne i pan Skowron bierze w wyścigach udział?

— Jako widz chyba. Zajmuje go co innego.

— Chemii się oddał?

— Tak... oddał się chemii, nie jako amator, nie jako rzemieślnik, nie jako wyzyskiwacz, ale jako człowiek myślący i myślący dobrze. Ten człowiek jak najlepsze zrobił na

mnie wrażenie, jak najlepsze—powtórzył z przy-
ciskiem.

— Szkoda, że ma słabostki śmieszne.

— Na przykład?

— Chciałby za pomocą ożenienia natura-
lizować się w sferach wysokiego towarzystwa.

— Kto ci o tem mówił?

— Halinka.

— Halinka... — powtórzył hrabia. — On
się o nią stara.

— Wie tatko o tem?

— Wiem od pani Zbędownskiej. Zbędown-
ska, jak mi się zdaje, zabiegi jego niechętnem
widzi okiem.

— Nie bardzo sprzyja i Halinka.

— Czeka więc biedaka harbuz.

— Jeżeli chemii nie zaniecha.

— Co?... — zapytał hrabia, jakby nie do-
słyszał.

— Jeżeli chemii nie zaniecha — powtó-
rzyła.

— Eh! to sensu niema. Skowron się na
to nie zgodzi, Halinka zaś mu podobnego nie
postawi warunku. Rzecz wprost niemożliwa—
zakonkludował hrabia, niosąc filiżankę do ust.

— Myśli tatko?...

— Przekonany jestem. Halinka na seryo
tego nie powiedziała.

— Cóż tatko myśli o jego słabości do wielkiego świata?

— I to mi się rzeczą seryo nie wydaje. Ale... kto wie. Człowiek jest istotą ułomną. Gdyby jednak tak było, to...

— To co? — zapytała.

— Żona nie wietrznica mogłaby go utrzymać na drodze, którą idzie, a która jest bardzo dobrą. Słabostka... hm?... zapewne... Śmieszna jest, jak powiadasz. Ponieważ jednak ta śmieszność o żonę się opiera, od żony przeto zależy zrobić z niej użytek taki lub inny. Chodzi o to tylko, ażeby mu się dostała kobieta kochająca. Halinka z tobą o nim mówiła?

— Mówiła—odpowiedziała hrabianka.

— Kocha go?

Panna Teresa ramionami zlekka wzruszyła i odrzekła:

— Może kocha, sama nie wiedząc o tem.

— Jeżeli kocha, to kocha.

— Sama chyba o tem nie wiedząc — powtórzyła; — uznaje bowiem miłość nie jako potrzebę serca, ale jako chorobę psycho-nerwo-patyczną. Za taką ją podaje nowa szkoła romansopisarzy francuskich.

— Nakarmiło się biedactwo sosami korzennymi—odezwał się hrabia tonem pretensyi

do kucharzy sosy owe preparujących. — Cóż ty na to?

— Cóż ja? Konstatuję jeno fakt. Niech mnie tatko w jednej jeszcze objaśni rzeczy.

— No? — zapytał hrabia.

— Wspomniała mi Halinka o jakimś tłuszczu wieprzowym, podlewającym, jak się wyraziła, „skowronstwo“ pana Skowrona.

— A?... wspomniała o tem?... Wyznać ci muszę, że tłuszcz ów ogromne mi sprawił zadowolenie. Rzecz w tem, że ojciec na handlu wieprzami tuczonymi, które do Wiednia dostawał, majątek duży zrobił.

— Zadowolniło to tatka? — wtrąciła.

— Jakże? Przypuszczałem, że ojciec zostawił mu majątek wygrany w karty. W tym ostatnim razie byłoby to dobro źle nabyte i właściciel jego, wobec pojęć etyki nie bardzo nawet surowej, stałby w roli przechowywacza (*recéleur*). Niepokoiło mnie to. Pomiedzy tuczonymi wieprzami a podrabianemi kartami i woltami olbrzymia zachodzi różnica. Ojcowie nasi wprawdzie wieprzami nie handlowali, ale tuczonymi tylko, z nietuczonych zaś ciągnęli zyski, jak z owiec, jak z bydła, jak z koni, jak z pszczoł, jak z roli; handlowali przeto, pełniąc rycerską powinność, którejby pełnić nie mogli bez Skowronów, co ich

żywili. Obecnie nasza rycerskość w Monte-Carlo'ach się popisuje, potomkowie zaś Skowronów zadanie żywienia podnoszą i rozszerzają. O!...

Za dużo tchem jednym mówił, zakaszał się. Panna Teresa po wodę poskoczyła, szklankę napełnioną podała i zaniepoila się, kryzys bowiem hrabiego dłużej niż zwykle tym razem trwała. Długo z wysiłkiem dyszał; nie rychło w płucach nadwerężoną uregulował równowagę.

— Wizyty — powtarzał. — Nie do wizyt już ja. Przechadzka po wałach, po plantach, w ogrodzie, ale nie wizyty... nie. A chciałem sobie na jedną jeszcze pozwolić. Och! zdrowia... zdrowia! Tak bardzo zdrowym być pragnę, kiedym znalazł człowieka bez uciekania się do latarni Diogenesa.

Zaniepokoił ten stan pannę Teresę.

— Tatko się położy—rzekła tonem rozkazu prawie.

— Każesz?

— Proszę. Posłałam po lekarza.

— Co mi lekarz pomoże!

Lekarz rozpoznał irytację, zapisał receptę, przypomniał polecenie unikania wzruszeń i radził w łóżku przez dni parę pozostać.

— Czyż to mi zdrowie wróci?

— Chcąc zdrowie odzyskać, przedewszystkiem szanować się należy.

W dniu następnym, około jedenastej, wpadł niespodzianie pan Jan. Przyjęła go hrabianka.

— Wuj? — zapytał po przywitaniu.

— W łóżku.

— Chory?

— Czuć mu się dała irytacya dni ostatnich. Lekarz zalecił wypoczynek.

— Och!... jaka szkoda! A jam przyjechał z prośbą, tyczącą się wyścigów jutrzejszych. Czy można się z wujem widzieć?

— Uprzedzę.

Wyszła. Po chwilce na progu się ukazała i na pana Jana skinęła.

— Wuju! czy to się godzi — zawołał po przywitaniu — łóżko zalegać w wigilię wyścigów? Może wuj jutro wstanie?

— Nie... Mam zalecony spokój... Chcę zdrowia...

— Więc jakże?... — do panny Teresy się zwrócił. — Terenia z siostrzyczkami?

— Frania i Mania szkoły opuszczać nie mogą — odparła hrabianka.

— Ach! ta szkoła!.. A ty sama, Tereniu, nie jesteś do rozporządzenia?

— Jest do rozporządzenia — odezwał się hrabia.

— Tatku!... — zareklamowała panna Teresa.

— O ile to rzecz możliwa — dodał.

— Czemużby niemożliwą być miała!... — podchwycił pan Jan. — Przyszłą mój pojazd, zaopatrzę cię w cicerona w osobie pana Pawła. Więc?

Zanim panna Teresa usta otworzyła, hrabia odpowiedział:

— Terenia pojedzie... dla mego spokoju... Umówcie się jeno o godzinę.

XII.

Jeżeli hrabia na pana Pawła parol zagiął, to uczynił to mimo wiedzy i woli jednej z trzech córek, do której się ów parol stosować mógł. Dla hrabianek młodszych pora na podobne parole nadchodziła za lat parę, za rok co najmniej, ściśle licząc. Panna Teresa zaś uwagę na Skowrona zwróciła wprawdzie, ale nie inaczej, jeno jak na nową znajomość, o której się sądzi w sposób porównawczy i od której się przyjmuje wrażenie dorywcze. Tacy

znajomi mogą się nawet podobać, ale powierzchownie tylko. Wrażenie silniejsze nieco odczuła, gdy panna Halina napomknęła jej o przypuszczalnej możliwości zabiegów o jej rękę ze strony tego nowego, sympatycznego znajomego. Możliwość ta, umotywowana w sposób, w jaki ją panna Halina umotywowała, od razu ją wstrętem przejęła.

„Miałabym komu za szyld służyć!...“

Upokarzało ją to nawet. Gdyby się oświadczył, z jakimże gustemby mu odmówiła! Chciała jednak we względzie tym mieć sumienie spokojne, *le coeur net*, jak powiadają Francuzi,—wzięła więc ojca na indagację i z niemałym zadowoleniem dowiadywała się o zalecanych człowieku, na którego intencję na wszelki wypadek rekuzę sposobila. Po indagacji intencja osłabła nieco, a raczej okazała się zbytęczną. Okazała się zbytęczną dlatego mianowicie, że podzieliła wątpliwość ojcowską co do podejrzenia, rzuconego nań przez pannę Halinę. Im bardziej się nad tem zastanawiała, tem mniej podejrzenie to wydawało się jej uzasadnionem. Człowiek, co ma poglądy szerokie, co w duchu tych poglądów wytknął sobie cel i ku celowi temu, zakasawszy rękawy i wdziawszy na siebie fartuch, kroczy osobą własną, człowiek taki czyżby się mógł poniżać

tak dalece, ażeby się chciał żoną dla świata salonowego sztukować!?

„Nie, Halinka się myli. Domyśla się. Na czemże domysły swoje opiera? Na tem, że się o nią stara. Czyż nie mogła mu się podobać? Taka urodziwa, taka ułożona... czyż nie mogła?... czyż nie mogła?...”

Robił się w jej myśli zamęt, dzięki któremu nie umiała sformułować zapytania. Czy nie był to zamęt krwi, podnieta płci, regulująca doборы sercowe? Skutkiem zamętu tego mężczyźni sobie we łby strzelają, kobiety zaś, jak ćmy, w ogień lecą i palą się.

Pan Paweł nadawał się do wzbudzenia pociągu podobnego, luboć bowiem nie posiadał przymiotów ani Endymiona, ani z dzienników mód wykrojonego eleganta, ale był człowiekiem przystojnym, zdradzającym postawą swoją pełnię sił męskich. Wspomnienie o urodziwości panny Haliny wywołało w wyobraźni panny Teresy obraz pana Pawła. Gdy ojciec niespodzianie nazwisko jego przy niej wymienił, zarumieniała się. Świadczyło to, że on ją obchodzi trochę więcej i trochę inaczej, aniżeli ten i ów ze spotkanych przez nią przedstawicieli płci męskiej, z których niejednen był od niego przystojniejszy i układniejszy.

Tak, obchodził ją. Ku niemu skoczyło jej serce i natknęło się od razu na rywalkę w osobie cioteczno-rodzonej siostry. *On*, ów „on“ tradycyjny, odgrywający tę samą wobec kobiet rolę, jaką wobec mężczyzn odgrywa również tradycyjna „ona“, ów *on*—o którego się Amerykanki pojedynkują, Francuzki witriolem oblewają, Włoszki trują, a różnonarodowe kucharki i pokojówki oczy sobie wydrapują—stał jako przedmiot spółzawodnictwa w oczach panny Teresy.

Spółzawodniczyć—znaczyło: usiłować odsadzić go od panny Haliny celem pozyskania dla siebie.

„Panie Pawle, łaski!... miłosierdzia!... weź mnie, nie ją!...“

W takiej spółzawodnictwo przedstawiało się jej formie i to sprawiło, że do siebie samej poczuła wstręt za to, że jej coś podobnego na myśl przyjść mogło. Rola, jakąby na siebie wziąć musiała, wydała się jej upokarzającą, ohydną, mimo że się przedstawiała pod postacią szeregu tryumfów, gdyby na teatrze wielkiego świata wystąpiła. Mogła na to z pewnością liczyć. Nie byłaż piękną? nie byłaż hrabianką? nie byłaż interesującą? nie miałaż wreszcie na rozporządzenie swoje Lipowiec, które dochód nosły szczupły, lecz, zahazardowane

jako nakład w spekulacji matrymonialnej, zapewniały powodzenie. Chodziło o to tylko, ażeby osobę własną wystawić na sprzedaż.

Panna Teresa o tem wszystkiem wiedziała, miała to za poniewierkę godności niewieściej i o tem, ażeby na tę drogę weszła, ani myślała. Że nie myślała, wydawało się jej to rzeczą naturalną i konieczną. Nie zadawała sobie w tym względzie przymusu najmniejszego. Zresztą w dotychczasowem jej życiu brakło podniet, w sercu panował spokój, który pozwalał jej całą troskę zwracać nie na siebie, ale na matkę, na ojca i na siostry młodsze. Pierwsza podnieta poszła od pana Pawła, a nie tyle od pana Pawła, co od panny Haliny.

„Ech... co tam!...“ — powiedziała sobie od razu.

Lekceważyła wiadomość, nie domyślając się zawartej w niej insynuacji. Później dopiero uczuła postrzał, który w następstwie bezpośrednio wyraził się dziwnym niepokojem. Z niepokojem sprawy sobie zdać nie umiała. Trapiło ją przeczucie niby, niby przewidywanie walki, walki trudnej, bo z samą sobą, walki o to, ażeby ją w samej sobie zamknąć, zagłuszyć i stłumić.

Wobec tego niby grom spadła na nią wizyta pana Jana z zaprosinami na wyścigi.

— Więc jutro, o dziewiątej rano, Pawełek się stawi w roli *cavalero servante*...—rzekł pan Jan.

— Jeżeli... — zaczęła.

— Niema żadnego „jeżeli...” — przerwał.

— Jeżeli tatko będzie zdrów.

— Zdrowym... — odezwał się hrabia—ja nie będę... Ten warunek nie idzie... Będzie mi może trochę lepiej, albo trochę gorzej, co nie wymaga obecności twojej w ciągu kilku godzin porankowych.

— Gdyby tatkowi było gorzej... nie pojedę... — rzekła tak stanowczo, że hrabia innej na to odpowiedzi nie znalazł, jak tylko:

— No... no...

Po odejściu pana Jana panna Teresa z pretensją do ojca wystąpiła:

— Czy się godziło, tatku?

— Żal masz do mnie?

— Mam żal za to, że się tatko tak pośpieszył.

— Pewny byłem, że odmówisz.

— Więc mi tatko na przekór zrobił.

— Zrobiłem na przekór dla dwóch powodów: raz, dla skorzystania z okazji, następczącej rozrywkę, gdy ja ci rozrywek dostarczać nie jestem w stanie; powtóre, dla Skowrona, którego chciałbym, ażebyś bliżej poznała.

— Na co?... — wyrwało się pannie Teresie zapytanie.

— Na co?... — odparł hrabia z namysłem. Hrabiankę rumieniec oblał.

— Powiesz mi, co o nim myślisz... Mnie on się podobał, bardzo nawet; ciekawym, jakie na tobie zrobi wrażenie.

Ciekawość hrabiego mogłaby panna Teresa zaspokoić niezwłocznie, w tym przynajmniej względzie, że wrażenie zrobił. Jakież? W tym względzie ojciec możeby wyjaśnienie jej dać potrafił. Rumieniec przeszkodził, rumieniec zdrajca, który jej usta zamknął i to sprawił, że pana Pawła przez dzień cały i przez noc całą z myśli nadaremnie wygnać usiłowała. Oddziaływało to na jej humor: raz się cieszyła, znów smuciła, niekiedy gniewała, niekiedy zapytywała sama siebie:

„Co ja pocznę?“

Po każdym zapytaniu takim budził się w niej rycerski animusz, wywołujący w jej duszy hasło, wygłaszane przez obrońców dobrej sprawy: „Zginę albo zwyciężę!“ Pod tem hasłem przysposabiała się do jutrzejszej wycieczki, do walki, którą sama ze sobą stoczyć miała. Wzorem więc dawnych rycerzy, którzy w podobnych razach polerowali sobie pancerze, wkładali łańcuchy, hełmy przyozdabiali

w pióra, opatrywała i szykowała toaletę. Zadanie ułatwiała jej żaloba. Z wieczora miała wszystko w porządku.

Przy obiedzie i wieczerzy Frania i Mania wytaczały rzecz o wyścigach. Powtarzały, co w szkole słyszały. Panienki nie rozprawiwały o czem innem. Odczuwać się to dawało na lekcjach i zadaniach. Fruzia Rotenówna, uczenica jedna z lepszych, przyszła do klasy z nieumianą lekcją i z nieodrobionem zadaniem, przed nauczycielem tłómaczyła się bólem głowy; koleżankom opowiadała, że się na wyścigi wybiera.

— I do szkoły nie przyjdzie? — zapytała panna Teresa.

— Nie ona jedna nie przyjdzie — odpowiedziała Frania.

— Dostały chyba od dyrektora pozwolenie?

— Gdzież tam!

— Więc jakże?

— Chorobą się wymówią.

— Dyrektor chyba nie uwierzy.

— Pokażą świadectwa lekarskie... Fruzia ma już gotowe. Jej matka kapelusze doktorowej Lügner robi; mówiła, że i dla nas świadectwoby wyrobiła.

— A!... — machnęła panna Teresa dłonią z akcentem niechęci.

Do niechęci miała powód podwójny. Zraziło ją kłamstwo, osłonięte przez rodziców. Zawiodła nadzieja zabrania siostr młodszych, gdyby władza szkolna pozwoliła na asystowanie wyścigom uczniom udzielając. Nadzieja ta nagle była błysnęła i uśmiechnęła się do niej. W towarzystwie siostr czułaby się bezpieczniejszą i pewniejszą siebie. Bez nich na siebie tylko liczyć musi. Robiło się jej prawie straszno.

„Gdyby jednak tatkowi było gorzej... przeproszę i nie pojadę.“

Powtórzyła to sobie razy parę i złękła się, samo bowiem stawianie warunku tego, obok pragnienia wymówienia się od wycieczki, wyglądało tak, jakby ojcu pogorszenia zdrowia życzyła

W nocy mało i źle spała. Analizowała kwalifikacje pana Pawła, wyszukując w nich stron ujemnych.

„Przystojny, nawet wcale przystojny... cóż z tego! W czasach, kiedy zalety fizyczne ceniły się wyżej, aniżeli intelektualne i moralne, przystojność coś znaczyła. Dziś jednak?...“

Po przestanku, w ciągu którego owo „jednak“ trapiło ją niby, zwróciła się myślą ku majątkowi. Z tym załatwiła się prędko.

„Majątek nie jest żadną zaletą, a jak często bywa złym doradcą! Czyż nie majątkom ludzkość moralne zepsucie i materyalne cierpienia zawdzięcza?... On zamierza dostatków swoich na dobre użyć. Zamierza? Czy zamiar wykona?”

Zastanowiła się nad tem i do tej doszła konkluzyi, że wykonałby, gdyby znalazł współpracowniczkę w osobie żony.

„Znajdzie może w Halince, jeżeli nie przyjmie warunków, jakie mu ona chce stawiać. Czy jednak chce na seryo? Może mi to żartem mówiła? Bo i w czemżeby jej zawadzała chemia? Chemia?”

O chemii myślała długo. O nauce tej miała pojęcie ogólne, znała ją z definicyi tylko i z tego, że w chemicznych laboratoryach wynajdują się, wyrabiają i doskonalą różne artykuły, służące do użytku—farby, perfumy, atramenty, metale, minerały, lekarstwa, materyały wreszcie wybuchowe, o których się tyle w ostatnich czasach nasłuchiwała i naczytała. Hrabia wspomniał o „żywieniu.“ Coby to znaczyć miało?

Pytanie to ogromnie pannę Teresę zajęło. Przypomniała sobie Liebiga i jego ekstrakt.

„Czy nie pracuje on nad czemś podobnem? Może chce wynaleźć ekstrakt tańszy,

aniżeli ten, co się po handlach korzennych sprzedaje?... Jakżeby to było dobrze!... Ten taki drogi!“

Przypuszczenie to wydało się jej prawdopodobnem, tem prawdopodobniejszem, że ojciec pana Pawła wieprze tuczył, synowi przeto mógł przekazać zamiłowanie w tym kierunku, zmodyfikowane (ekstrakt zamiast słoniny, szynki, kielbas i t. p.) i nauką wsparte.

Wyobrazila sobie laboratorium w postaci kuchni, kuchni porządnej, mniej więcej takiej, jak u pani Zbédowskiej, i w niej pana Pawła w fartuchu, przy rądlach, z kopystką lub z durszlakiem w ręku, przy ogniu się uwiijającego, na kuchtów hukającego i koncepty, jak ów „pan Michał,“ sypiącego.

Wyobrazila sobie na tle takim pannę Halinę, nimfę salonową, wystrojoną, wygorsowaną, pachnącą.

Zabawił ją obraz, jaki się jej przedstawił w przezroczu wyobraźni, zabawił tak dalece, że miała ochotę śmiać się głośno. Nie zaśmiała się jednak. Nastawiła ucho w stronę sypialni ojcowskiej, kołdrę na ramiona naciągnęła i zasnęła.

O godzinie dziewiątej rano była gotową.

Hrabia spędził noc spokojnie, czuł się zdrowszym, wstał i na powitanie pana Pawła

wyszedł. Ten ostatni zapytał go, czyby się nie zdecydował na wyścigi pojechać.

— Z ochotąbym pojechał... nie mogę, niestety: ryzyko.

— Hrabia lubisz wyścigi?

— Lubię konie... Własnych koni bym na wyścigi nie posyłał, ale ścigającym się cudzym przypatrywałbym się z przyjemnością, zwłaszcza, gdyby to były tylko wyścigi.

— Podsunięto pod nie zielony stolik.

— Otóż to... — odparł hrabia. — Zasłużyłby się ten ludzkości, coby wynalazł sposób na usunięcie zielonego stolika nie tylko z pod wyścigów, ale zewsząd.

— To prawda — potwierdził pan Paweł.

Wejście panny Teresy przerwało rozmowę.

Możnaby o niej powiedzieć, że weszła dumnie i hardo, gdyby na obliczu jej nie świecił spokój, łagodzący dumę i hardość i nadający im pozór naturalny. Pozór ów świadczyć się zdawał, że ona umie być łaskawą, lecz łaski nie udziela inaczej, jeno w postaci rozkazu, jak królowa angielska, która wszystkim i we wszystkim rozkazuje nie inaczej, jak z własnego natchnienia.

Pan Paweł skłonił się jej nie jak elegant, ale jak człowiek do głębi szacunkiem dla niej przejęty.

Ona mu dłoń do uścisku podała.

— Dzień dobry panu.

— Dzień dobry pani.

— Jedziemy tedy?

— Jestem na jej rozkazy.

Pochyliła się do ramienia ojca, który na jej policzku pocałunek złożył i rzekł:

— Opowiesz mi. Ciekawym, jak się popiszą konie Jasia.

— Czy je poznam?

— Pan Skowron ci wskaże i... zechce zapewne za powrotem ustną mi zdać relację.

— Nieomieszkam... — odpowiedział pan Paweł, podając hrabiemu rękę na pożegnanie.

— Do widzenia zatem.

Pogoda sprzyjała wyścigom i tej wystawie, dla której one za pretekst służy. Świat wielki w obydwóch swoich połowach, pięknej i niepięknej, stawiał się bez wyjątku prawie.

Eleganckie pojazdy zwoziły ze wszystkich stron damy ze sfery wyższej, wymijając doróżki i rozliczne powoziki, transportujące mieszczanstwo. Tłumy pieszej ludności śpieszyły, celem zajęcia miejsca jak najbliżej baryery torowej. Z pojazdów jedne zatrzymywały się na wyznaczonem przez przestrzegającą porządku policyję miejscu, a siedzący w nich na siedzeniach pozostawali, — inne podjeżdżały do

bramy i siedzący wysiadali. Do tych ostatnich należało lando pana Jana. Przed bramą się zatrzymał: lokaj z kozła zeskoczył, drzwiczki otworzył; pan Paweł wysiadł, i rękę ku panie Teresie wyciągając, przemówił:

— Służę pani.

Był to pierwszy wyraz, jaki od chwili opuszczenia apartamentu hrabiego z ust jego wyszedł.

Przejazd na plac wyścigów zajął czasu pół godziny, jeżeli nie więcej. Przez ten czas panna Teresa i pan Paweł siedzieli jedno obok drugiego i ani słówka do siebie nie wyrzekli. Nie powstrzymywał ich wstręt do mówienia, przeciwnie—mówić chcieli, ale znajdowali się w położeniu poety, który do wyrażenia myśli nie umie znaleźć wyrazu odpowiedniego.

Panu Pawłowi na ustach wisiała pochwała pogody—i byłby z nią z pewnością wystąpił, gdyby na miejscu panny Teresy znajdowała się inna jaka kobieta. Wobec niej pochwała owa wydała mu się czemś tak banalnem, że wołał milczeć. Ze swojej strony panna Teresa wielką miała ochotę o chemii z nim pomówić; do tej jednak materii (może dlatego, że ją w nocy ubawiła) wstępu odpowiedniego dobrać nie umiała. Nie wypadało wręcz go o chemię zaczepić. Woląла więc milczeć.

W milczeniu przeto mijali ulice, aleje, bulwary; pan Paweł patrzył w swoją stronę, panna Teresa patrzyła w swoją, co im nadawało pozór młodego małżeństwa, które przed wsiadaniem do powozu ostrą ze sobą stoczyło kłótnię. Przechodnie na pani wejrzenia zatrzymywali i jej bez namysłu rację przyznawali. Wszystkich dla niej ujmowała jej piękność, przedstawiająca się wyraziście w czarnych obłokach, w ramach bujnych, złocistych warkoczy, na otwartem powietrzu, unoszona parą dzielnych koni, zaprzężonych do powozu, przypominającego łódź. Ujrawszy ją przelotnie, niejeden z tych, co do poezyi pretensyę mają, pomyślał o konsze, o pianie morskiej, o gołębiach i Afrodycie.

Na wezwanie „Służę pani!“ panna Teresa wysiadła, i ujrawszy przed sobą zaokrąglone pana Pawła ramię, pod ramię mu rękę wsunęła. Pan Paweł ostrożnie przeprowadził ją przez bramę, wprowadził na schodki, dalej na galerię wązką, na którą wychodziły łóżka, jedne jeszcze próżne, inne już zajęte przez damy i panów.

Panna Teresa domyśliła się, gdzie jest i co ma ze sobą zrobić; gdy przed jedną z łóżek próżnych przewodnik ją zatrzymał, rękę z pod ramienia jego wysunęła, do środka weszła i rzekła: <http://rcin.org.pl>

— Dziękuję.

To „dziękuję“ ośmieliło pana Pawła.

— Niechże pani — wnet się odezwał — wybierz sobie miejsce takie, z któregooby cały tor widzieć się dawał jak na dłoni.

— Czy tu kto jeszcze wejdzie?—zapytała.

— Nikt nie wejdzie; chyba się kto przed lożą zatrzyma dla powitania.

— A Jaś?...

— Jaś zajęty... Może wpadnie na chwilę. Widzę go!... odszedł od wagi, idzie ku lożom.

Panna Teresa siedzenie zajęła, lokaj jej lornetkę podał; po chwili stanął przed nią pan Jan w kurcie, w łosiowych spodenkach, w botfortach z ostrogami, w melonku na głowie i ze szpicrutą w ręku.

— O, Tereniu!... jakżem ci wdzięczem!...— zawołał. — Będiesz mi pomagala.

— Jak?... w czym?... — zapytała.

— Okiem... do szczytu szczęścia i sławy... choćby...

— Nie profanuj! — upomniała.

— Pozwól mi przynajmniej dokończyć... po swojemu... To, co mam powiedzieć, to już nie z listu panny Anieli do pana Maurycego Kazimierza, któremu zresztą ksiądz listu doczytać nie dał, ale słowa moje własne... Owóż: choćby mnie Najada zrzuciła i ja kark skręcił...

Dosięde bowiem Najady w biegu z przeszkodami. Będiesz widziała... Dobrze siedzisz?

— Dobrze... — odrzekła.

W tej chwili ktoś z przechodzących, zajmawszy do łoży, z panem Pawłem się przywitał i na stronę go nieco odciągnął.

— Czy widzisz tor cały?

— Zdaje się.

Wziął jej z rąk lornetkę, odwrócił się, do ocz ją przyłożył, półkole nią zakreślił i, zatrzymując ją, odezwał się:

— A?... państwo Gudulscy...

— Julka?... — zapytała.

— Julka z mężem... para gołąbków, czubiących się, gdy ich ludzie nie widzą. Wybierają się za granicę; zostali dla wyścigów, chcąc być świadkami mego skręcenia karku.

— Co ty wygadujesz!

— I Halinkaby została, gdyby nie mama, która, luboć gniewa się na mnie, przecież nie życzyłaby sobie podobnemu asystować widowisku. O! Julka binoklami łoże rewiduje. Na naszej łoży binokle zatrzymała.

W chwili tej pan Paweł się zbliżył.

— Pawełku — odezwał się pan Jan do niego, lornetkę hrabiance wręczając, — powierzam ci moją siostrę; czuwaj nad nią, pokazuj jej wszystko, opowiadaj jej o wszystkim, staraj się być jej przydatnym i po wyścigach

odwież ją... Służ jej i rozkazów słuchaj, jakbym słuchał ja, gdyby mi Elfy i Najady nie przeszkadzały.

Pożegnał się i odszedł.

Pan Paweł stanął opodal nieco od panny Teresy i taką przybrał postawę, jakby nie myślał o zajęciu siedzenia.

Panna Teresa spojrzała na niego z ukosa raz i drugi, odezwała się wreszcie:

— Jeżeli pan chce mi objaśnienia dawać, proszę obok mnie usiąść.

— Dziękuję pani—odrzekł, miejsce opodal nieco zajmując.

— Więc tu konie będą biegały?

— Tu — odpowiedział, palcem wskazując, — po tym torze, wzdłuż baryery... Będą biegały wkoło.

— Mnie się zdawało, że wyścigi odbywają się w linii prostej.

— Byłoby to właściwszem, ale chodzi o połączenie wyścigów z widowiskiem. Z wyścigami i widowiskiem łączy się jeszcze i gra.

— Gra?... — zdziwiła się.

— Zakłady... Stawiają się na konie stawki, jak na karty.

— To niedobrze.

— Niedobrze—potwierdził pan Paweł.

— Pan stawiał kiedy?

— Nigdy nie próbował.

— I na karty nie?

— Ani na karty.

Chciała zapytać o pana Jana, lecz wstrzymała się—wydało się jej bowiem, iżby to było niedyskrecją, za daleko posuniętą. Podniosła do ocz binokle, zwróciła je w tym kierunku, w którym pan Jan państwa Gudulskich znalazł, i prędko ich wyszukała. Pani Gudulska wciąż jej łożę przez szkła obserwowała. Zwróciła binokle trochę w prawo i spotkała się ze szklami na nią wycelowanemi, w lewo--toż samo, jeszcze dalej — znów toż samo. Spostrzegła, że jest przedmiotem obserwacyi, idącej z różnych stron, z powozów i z łoż. Dostrzegła oraz panów mimo przechodzących, zatrzymujących się i przypatrujących. Jakiś jegomość niepierwszej młodości, okazałej tuszy, ozdobiony dużym, garbatym nosem, dużemi, odwalonemi wargami i dużemi, wylupiastemi oczami, w kapeluszu na tył głowy na bakier zsuniętym, stanął naprzeciw z miną trochę arogancką, patrzył czas jakiś i głośno zawołał:

— Panie Skowron!

Pan Paweł zwrócił ku niemu głowę.

— Dzień dobry panu dobrodziejowi!

— Dzień dobry—odpowiedział pan Paweł.

— Prędzejbym się spodziewał białego kruka zastrzelić, aniżeli pana dobrodzieja na

wyścigach spotkać. Cywilizujemy się... he...
Winszuję!

Wyrazy te rzucił i przeszedł.

— Kto to? — zapytała panna Teresa mimowolnie.

— Jedna z potęg naszych finansowych, baron Benjamin Barmherzig... wielki nemrod i wielki koniarz.

— Widać to po nim.

— Niech pani patrzy tam... ku temu pawilonowi, przy którym stoją żerdzie z chorągiewkami. Szykują się konie do pierwszego wyścigu.

Zaledwie panna Teresa lornetkę ku pawilonowi zwróciła, gdy czterech jeźdzców, na dany znak, ruszyło z miejsca. Szła za nimi oczami bez odczuwania wrażenia. Grupa koni i pochylonych ku ich grzywom dzokiejów posuwała się, zataczając krąg, który się z razu oddalał, następnie zbliżał ku łóżom. Gdy jeźdźcy w pędzie wielkim mimo się przesunęli, odczuła wrażenie, pochodzące nie z niej, ale z zewnątrz.

Powiodła wkoło wejrzeniem i zdziwila się. Zdziwiło ją natężenie uwagi, z jaką się tłum przypatrywał. Zdawało się, że oczy ludziom z oczodołów powyskakują. W pojazdach wszyscy stali; z łóż się wszyscy powychylali.

Na całej przestrzeni, przez widzów zajętej, panowało milczenie, wśród którego rozbrzmiewał tętent cwałujących koni. Nagle tętent ustał i w tem oka mgnieniu rozległa się wrzawa okrzyków przy wtórze oklasków.

— Co to?... — zapytała.

— Bieg się skończył... oklaskują zwyciężcę...

— A to natężenie uwagi?

— Jakie? — zapytał.

— W ciągu biegu uważałam, że wszyscy; śledzili za nim z jakimś zajęciem szczególnem, jakby gorączkowem.

— W rzeczy samej, z gorączkowem. Widzom chodziło o wygranie stawek.

— Mężczyznom i kobietom?

— Mężczyznom i kobietom. Wobec stawek płcie się równają... Każda z obecnych tu pań ma wśród koni faworytów, o których się zakłada... Oto jedna partya się skończyła; nastąpi wnet druga, a w tej do popisów stanie koń Jasia.

— I Jaś na nim?

— Nie... Na Jasia kolej przyjdzie później, w czwartym, czy w piątym biegu. Zobaczymy w programie.

Program rozłożył, popatrzył i rzekł:

— W piątym... z przeszkodami.

— Na cóż on sobie bieg taki wybrał?

— Żeby pokazać światu, że panowie coś warci... Panowie w płaskich biegach sami zazwyczaj nie jeżdżą. W biegu z przeszkodami wezmą udział — czytał z programu — trzech panów: hrabia Kobiałkowski, Jan Zbędowski i baron Beniamin Barmherzig...

— Ten potentat finansowy?

— Ten sam... ale — dodał, uprzedzając wiszące na ustach panny Teresy zapytanie — nie w osobie własnej... Wyręczy go Gucio Niedożerski... Przed każdym biegiem konie z jeźdźcami idą na wagę... Baron, gdyby wiatru dosiadł, to jeszczeby przeważył...

Panna Teresa uśmiechnęła się.

Uśmiech jej odbił się na obliczu pana Pawła wyrazem takiego zadowolenia, jakby go wielkie spotkało szczęście.

— Otóż i drugi bieg — oznajmił.

Po drugim, po krótkim przestanku, przyszedł trzeci, po trzecim czwarty, dopiero po tym ostatnim nastąpił przestanek dłuższy nieco.

W ciągu przestanków pannie Teresie wpadały w oczy te same spostrzeżenia, tyżące się obserwacyi jej osoby, dokonywanej przez państwa Gudulskich i przez inne osoby. Wpadały przytem jej w słuch wyrazy „hrabianka Homirska,“ wymawiane bliżej i dalej. Zawadzało

jej to; myślała o zadowoleniu, jakiego dozna, gdy się z przed oblicza wielkiego świata usunie. Zwróciła się więc do pana Pawła z zapytaniem:

— Wszak bieg z przeszkodami ostatni?

— Przedostatni — odpowiedział. — Po nim nastąpi bieg o nagrodę dam.

— Damy jeżdżą?

— Nie.

— Nie moglibyśmy przed tym biegiem odjechać?

— Możemy... jeżeli takim jest życzenie pani.

— Proszę.

Na torze tymczasem pojawiły się przeszkody: płoty, wały niższe i wyższe. Na widok ten pannie Teresie, która sobie przypomniała słowa pana Jana o skręceniu karku, serce w piersi żywiej kołatać zaczęło. W milczeniu, bardziej niż poprzednio rozszerzonymi źrenicami, wpatrywała się w przeszkody; poczuła niepokój.

Niepokój jej wzrósł, gdy usłyszała sygnał i ujrzała trzech jeźdźców, na koniach pochyłonych, a wśród nich pana Jana na kasztanowatej, lotnej, jak chart wyciągniętej klaczy. Jeźdźcy dopadli pierwszej przeszkody, konie się w powietrze uniosły, ją na wskrós przeszło zimno

i minęło, gdy jeźdźcy dalej po torze sunęli. Druga przeszkoda. Hrabianka od pana Jana oczu nie odrywała. Nagle rozległ się krzyk — krzyknęła i ona:

— Boże!... Jaś!...

— Nie!... — odezwał się głos pana Pawła — Gucio!... Jaś i hrabia Kobiałkowski trzymają się.

Z głębi piersi odetchnęła; na twarz jej, która się była kredową okryła białością, kolory powoli wracały; lecz już za dalszym ciągiem biegu nie śledziła. Odrętwiała na chwilę. Z odrętwienia wyprowadził ją okrzyk powtórnny, któremu towarzyszyły oklaski.

Oklaskaną została Najada.

Panna Teresa spojrzała przez binokle na państwa Gudulskich. Ujrzała ich stojących w powozie. Nagle oboje usiedli; pani Julia parasolką się jakby od hrabianki zasłoniła.

— Jedziemy? — zapytał pan Paweł.

— Jedziemy — odpowiedziała panna Teresa.

XIII.

Pan Jan nieomieszkał stawić się u hrabiego nad wieczorem w dniu swego tryumfu, ofiarując znów panie Teresie na dzień jutrzejszy

powóz swój i łożę. Tym razem jednak spotkał się z odmową, odmową wyraźną i stanowczą, wypowiedzianą zanim hrabia do słowa przyjść zdołał.

— Dziękuję ci, Jasiu, bardzo dziękuję, ale... nie pojedę.

— Czy znudziło cię widowisko?

— Przeciwnie... zajęło, żywo zajęło, ale w jednej połowie.

— A? dzielisz je na dwie połowy?

— Widowisko, na które patrzałam, i widowisko, które dawałam, zajęło mnie i jedno i drugie; pierwsze jednak mi się podobało, drugie nie podobało.

— Chyba to drugie nie podobało się tobie jednej śród wszystkich widzów płci niewieściej. Wyróżniasz się pomiędzy siostrzycami.

— Jestem za tem, żebyś jechała—odezwał się hrabia.

— Nie pojedę. Widziałam, byłam tryumfu twego świadkiem. Dosyć dla mnie.

— Winszuję ci, Jasiu—wtrącił hrabia.

— Ja sobie mego tryumfu także winszuję, luboć złorzeczyłbym mu raczej powinien.

— Czemuż to?

— Przed wyścigami, skutkiem zetknięcia się z wami, paru gawędek ze Skowronem i rozmyślań własnych, powziąłem był postano-

wienie wycofać się z zaklętego koła, osnutego siatką tego pająka, o którym Tereni mówiłem. Żem się był dawniej zaangażował, chciałem zobowiązania dotrzymać i po raz ostatni wystąpić. Gdyby nie tryumf, byłbym stajnię wyścigową zwinął, koniarzom, koniarkom, wszystkiemu, co ich jest, i wszystkiemu, czego oni są, pożegnanie złożył i może chemię studyować zaczął. Dzięki tryumfowi, pająk mnie w łapy na nowo pochwycił.

— Wszak wiesz o tem—zaczął hrabia.

— Wiem, ach, wiem, wuju drogi. Wyrecytować sobie mogę cały różaniec moralów, jakimi się karmią fajczarze, koniarze, pijacy, morfiniści; ale... *c'est plus fort, que la mort...* Wlazłem i moralizowanie moje jest szarpaniem się muchy w sieci pajęczej.

— I chciałżebyś mnie na muchę podobną wykierować? — zapytała panna Teresa.

Pan Jan w oczy jej spojrział, chwilę na niej wejrzenie zatrzymał, za rękę ujął, pocałunek na niej złożył i odrzekł:

— Tak źle o mnie nie myśl, Tereniu. Na źle cię prowadzić nie chciałem. Alem, wyznam, o tobie źle myślał... i ofiarowałem ci się na usługi, jako pilot... Nie potrzebujesz mnie, tem lepiej dla ciebie. Gdybyś kiedy zapotrzebowała, kiwnij jeno paluszką na mnie.

— Czemu nie palcem?—odparła hrabianka w tonie żartobliwym.

— Siła nawyku. Nasze panie chodzą nie nogami, ale nóżkami; chwytają nie rękami, ale rączkami; drapią nie pazurami, ale pazurkami; kęsają nie zębami, ale ząbkami. Mieszam ciębie mimowolnie z *naszemi* paniami. Wybacz mi.

— Wspaniałomyślnie?... co?...—żartowała.

— Jak chcesz, wybacz jeno. Podziękuję ci za wybaczenie, a zarazem i za tryumf na wyścigach.

Popatrzyła mu w oczy ze zdziwieniem.

— Pomogłaś mi okiem... do szczytu.

— Żartujesz sobie ze mnie.

— Nie żartuję. Przesądny jestem, jak wszyscy gracze, gdy się hazardują. Wierzę w potęgę oczów, których wpływ jest wiarą ludową. Oczów twoich byłem pewny, przeciwpostawiłem je oczom Julki, która do szczytu szczęścia i sławy z duszy całej i z całego serca pomagała... baronowi... No... i pomogła... Ależ się Guccio wywalił!

— Ale się złąła!

— Nic mu się nie stało złego.

— Potłukł się jednak biedak.

— Złamał tam coś sobie nawet. Tem lepiej dla niego.

— Oo?...

— Pozyskał względy barona i zapewnił sobie w jego sztabie stanowisko inwalidy, postawionego w możności roszczenia pretensyi do remuneracyi dorywczych, jeżeli nie do pensyjki dożywotniej. Pociesza go to na łożu boleści. No... żegnaj państwa!... Wuj! do widzenia; Tereniu! dziękuję; Maniu, Franiu! polecam się pamięci waszej... Śpieszyć muszę, gdzie mnie powinność muchy wzywa. Chciałem z sobą pociągnąć Pawelka, ale się pociągnąć nie dał.

Wzywał go bankiet wyścigowców, urządzony pod przewodnictwem barona, umiającego znakomicie aranżować „powinności,” wchodzące do zakresu pracowitego próżniactwa.

Chciał ze sobą zabrać pana Pawła,—ten atoli zabrać się nie dał; odwiózłszy pannę Teresę, chwil kilka spędził z hrabią, zdał mu z wyścigów sprawę i, mimo że był na obiad zatrzymywany, jako też mimo że miał ochotę pozostać, powrócił do siebie.

U siebie zajrzał jeno do pracowni; na kryształizujące się osady, fermentujące płyny i cedzące się ciecze ani spojrzął, wyszedł, w biurze się w fotel skórzany wgłębił, papieros zapalił i głowę myślom, ale nie czarnym, oddał.

Papieros mu w palcach zgasł, on zgaszony w usta od czasu do czasu brał, pociągał i nie zapalał na nowo.

W myślach ślaniała się mu hrabianka Teresa, unosząca się niby w jakiejś zaobłoczonej fali, rozświecanej przez nią jej własnym światłem. Obraz ten go czarował. Oderwać od niego nie mógł myśli, nastrojonej tak, jakby miał mistyczne, tajemniczej potęgi pełne widzenie. Wpatrując się w nie, układały się mu w umyśle strofy bez słów, idące w takt cichej, uroczej muzyki, która mu w duszy i w sercu grała. Słowem zakochał się po uszy.

Od pierwszego na pannę Teresę spojrzenia poczuł do niej pociąg, ów naturalny pociąg, jaki wywołuje każde piękno, to zwłaszcza, co się przedstawia oczom pod postacią niewieścią. Pociąg ów, w miarę, jak się z wytwórczynią jego schodził i po za powłoką kształtów zewnętrznych odkrywał w niej przymioty, które o piękności duszy świadczyć się zdawały—rósł, wzmagał się i stanął w mierze, gdy w jej towarzystwie kilka godzin spędził.

Miłość malują z zawiązką na oczach. Zawiązka, osłaniająca oczy miłości pana Pawła, niezbyt szczelnie przylegała, pozwalala mu bowiem widzieć i sądzić. Widział pannę Teresę, po ciosie, jaki na nią spadł, w funkcji

gospodyni, starszej siostry i chorego ojca córki; widział ją na wystawie, w obliczu wielkiego świata; widział wreszcie ją, ubogą, wobec siebie, bogacza, którego damy na wielkim świecie otaczały, niby paszę, w oczekiwaniu, ku której chustką skinie. Po tem przeto, — co widział, mógł urobić sąd nie koniecznie doraźny. Składały się nań dowody praktyczne, wykazujące po za pięknem ciałem niemniej piękną duszę.

Wszystkie więc powody i wszystkie racje przemawiały za tem, ażeby się w hrabiance pan Paweł rozkochał.

Jest to fakt do zaznaczenia zgoła nie dziwny, pomimo, że, według panny Haliny, miłość wykreśloną z programu została, — jest jednak do zaznaczenia z tego względu, że miłość owa nie nastawiła się od razu tak, ażeby przybrać miała postać gołębia białego, „noszącego ciągle wieści.“ Pan Paweł, pozbywszy się roli *cavalero servanto*, udał się wprost do pana Jana, oznajmił mu, że kuzynkę jego odstawił ojcu, powinszował tryumfu, odmówił udziału w bankiecie koniarskim i uskokczył niby zając. Dzień cały upłynął mu na... przypatrywaniu się obrazowi zaoblócznemu.

Nazajutrz do roboty zasiadł, do prób w laboratorium.

Przy próbach zawzięcie gwizdał.

Na zapytania i uwagi pomocnika, pana Karola, albo nie odpowiadał, albo odpowiadał:

— Rób tam, jak chcesz.

W dniu następnym był, w odniesieniu do pana Karola, mniej trochę lakonicznym, ale go napadały paroksyzmy, przy których stawał się, jak głuszc, gdy tokuje, nic nieczującym i nic niesłyszającym.

Tak spędzał dzień po dniu.

Wieczorami chodził na dalekie za miasto przechadzki, będące symptomatem, wyraźnie znanym w patologii psychicznej, o chorobie sercowej świadczącym.

I nie zachodził do hrabiego, nie dlatego, że nie chciał, ale dlatego, że, czy nie śmiał, czy nie mógł,—sam nie wiedział.

Analizując swoje z panną Teresą schodzenia się, mianowicie zaś asystowanie jej na wyścigach,—wydawało mu się niekiedy, że był tak banalnym, tak dalece banalnym, że mu się wstyd robiło.

I stawać przed nią się nie odważał.

Pannie Teresie zaś wydawało się, że onby przyjść powinien, odwiedzić nie ją, ale hrabiego. Na przyjście jego oczekiwała. Ile razy kto w godzinach wizytowych zadzwonił, pewną

była, że to on. Serce jej mocniej kołatało. Niestety, kołatało nadaremnie. Zamiast niego, zjawiał się to handełes, to chłopiec z drukarni, to węglarz, niekiedy lekarz, a raz zjawili się państwo Gudulscy z Rózią.

Pani Gudulska, jak tylko weszła, obces się na pannę Teresę rzuciła, w objęcia ją pochwyliła i dosyć się jej nauciskać nie mogła.

— Tereniu!... moja droga!... moje ty życie!

Od razu z wymówkami wystąpiła:

— Przecieżeś ty niedobra... Żebyś do mnie bodaj kiedy zajrzała! Czekałam... wyglądałam. Mogłaś zajść od czasu do czasu, jeżeli nie dla czego innego, to bodaj dlatego, iżbym ci się na coś przydała. Znam bruk tujszy na palcach. Moja Tereniu!... Wyglądała ciebie Rózia... Róziu, oto ta tiotia Telienia, o której paplesz od rana do wieczora.

— Zajętą jestem, Julciu — spróbowała panna Teresa tłómaczyć się.

— Co to, zajęta!... Która z nas nie zajęta! Ja mam dziecko, męża... Wyobrażenia mieć nie możesz, jakie zajęcia daje mąż. Trzeba wszystkiemu odpowiedzieć.

— Mógłbym także coś powiedzieć o zajęciach męża — odezwał się pan Gudulski.

— O, tak—potwierdziła pani Gudulska,— szczególnie w takim momencie, jak obecny... przed wyjazdem... Ja i Romcio chwilki na odetchnięcie nie mamy. A przecie znaleźliśmy godzinkę na dopełnienie powinności, pożegnania wuja kochanego... Jakże wuj?

— Tatko za chwilkę wyjdzie... Korektę kończy.

— Frania? Mania?

— W szkole.

— Niebawem wakacye.

— A tak, w lipcu.

— Co za szkoda, że nas tu nie będzie! Nie puściłabym ich od siebie. Co za miłe dziewczątka!... Mania dużo obiecuje.

— Gospodarna.

— A... to... to wielka zaleta. Ale i Frania pełnej zalet wrażenie robi. Oczęta figlarne...

— Okazuje usposobienie artystyczne.

— Talenty się teraz cenią tak wysoko. W mojej Rózi zdradzać się poczyna talent do śpiewu. Trochę jeno jej się paluszki wydłużą, wnet ją zasadzę do fortepianu. Niech naprzód muzykę pozna. Bez muzyki niemasz śpiewu. Frania śpiewa?

— Nie, gra.

— Ile ma lat?

— Czternaście.

— Starsza od Mani?

— Mania starsza.

— Różnicy pomiędzy niemi dostrzedz nie można. Przepowiadam, że obie na prześliczne wyrosną panny. A!...

Wykrzyknik „a!“ wydarł się pani Gudulskiej z ust na widok wchodzącego hrabiego.

Państwo Gudulscy na jego ruszyli powitanie.

— Przywiozłam wujowi kochanemu wnuczkę — zaczęła pani. — Wnuczkę... o... Róziu, to twój dziadunio, dziadzio, dziadunieczek... idź do niego.

Różia matki słuchać ani myślała.

— Wnuczka moja — rzekł hrabia, patrząc na dziecko po cudacku ustrojone, — wnuczka ..

— Ona dziadzia kocha — rzekła pani Gudulska, siadając, — bardzo kocha, ale jest małym dzikusikiem.

— Moja wnuczka — powtórzył hrabia.

— Chciałem hrabiego o zdrowie zapytać — odezwał się pan Gudulski, — ale pytanie byłoby zbytecznem: hrabia doskonale wygląda.

— Może dlatego, że chcę być zdrowym.

— Któżby nie chciał!

— Zapewne... wogóle; moje jednak chcenie ma powód szczególny: dowiedziałem się niedawno, iżbym się mógł ludziom na coś przydać, gdybym był zdrów.

— My o tem wiemy — odparł pan Gądulski.

— Wiemy o tem! — podchwyciła pani Gądulska. — Wiemy bardzo dobrze... i, jeżeli kto zdrowia wujowi życzy, to nikt szczerzej, aniżeli my, życzyć nie może.

Wypowiedzianem to było z akcentem zupełnej szczerości, a tak dobitnie, że to rozewniło hrabiego.

— Dziękuję wam — rzekł.

— Hrabiego — zaczął pan Gądulski — zdrowie jest dla nas drogiem i dlatego ośmielię się uwagę jedną uczynić, jeżeli pozwoli.

— Proszę ciebie, panie Romanie.

— Nie jestem w tej mierze kompetentnym... zdaje mi się jednak, że hrabia świeżego powietrza używa za mało.

— Na przeszkodzie stoją piersi i płuca.

— Przejechać się powozem co dnia godzinę...

— Powozu nie mam, kochanie.

— Hygiena świeże powietrze przede wszystkim nakazuje, świeże powietrze i roz-

rywki, takie na przykład, jak wyścigi. Hrabia na wyścigach nie był?...

— Nie byłem.

— A co, Julciu! — do żony się zwrócił.— Żona moja zapewniała, że hrabiego spostrzegła. Co prawda, fatalnym jest chromatyzm naszych binokli. Każdy przedmiot nimbem opromieniają i rozpoznać twarzy niesposób. Więc hrabia nie był?

— Ja nie byłem. Była Terenia.

— A!... — zawołała pani Gudulska. Byłaś?... Tereniu?... którego dnia?

— Pierwszego.

— W dniu zwycięstwa Jasia. Co za tryumf dla niego! Kolosalny tryumf! Zwyciężył niezwyciężonego barona Barmherziga. Ucieszyło nas to niewymownie. Więc byłaś i widziałaś?...

— Byłam i widziałam. Widziałam i was.

— Co?... Anim się tego domyślała.

Na języku jej wisiało zapytanie: z kim? — szukała jeno odpowiedniego frazesu na ramki do tego zapytania. Panna Teresa ułatwiła jej to.

— Widziałam was z łoży, którą zajmowałam z panem Skowronem.

— Z panem Skowronem — powtórzyła pani Gudulska tonem, który, zdawało się, pierwiej

niż przez jej usta, przeszedł przez lodową szczelinę.

Hrabia rzekł:

— Zawdzięczamy Jasiowi, który przysłał swój powóz, dał swoją lożę i wynalazł doskonałego cicerone, że Terenia rozerwać się mogła widowiskiem, bądź-co-bądź ciekawem.

— Że ciekawem, to ciekawem — potwierdził pan Gudulski.

— Nadzwyczajnie ciekawem! — podchwyciła tonem znów gorącym pani Gudulska. — Prawda, Tereniu?...

— Prawda — sucho odrzekła panna Teresa.

— Jasia tryumf! Co to za tryumf! tryumf taki skończony, zupełny, zaokrąglony! Jakże on nas ucieszył! Wnet mamę telegraficzną zawiadomiłam drogą.

— Od mamy miałaś wiadomość? — zapytał hrabia.

— Miałam, dziękuję wujowi.

— Spodziewam się... zdrowie jej służy.

— Tak... po trosze.

— Będiesz się z nią widziała?

— Po powrocie dopiero, my bowiem do innych jedziemy wód. Mnie lekarze południowe zalecają morze, mamie i Halince północne. Do tego i wody stosować potrzeba.

Rzekłszy to, zwróciła się do stojącej obok niej Rózi:

— Nie chciałaś się z dziadunieczkiem przywitać... pożegnajże się z nim.

Wezwanie to nie skutkowało. Pan Gudulski wziął dziecinę w dłonie, podniósł, hrabiemu podał. Hrabia w rączkę ją pocałował i po pysiu pogłaskał.

Nastąpiły pożegnania, równie serdeczne jak powitania; pani Julia z naciskiem żądanie odwiedzenia jej powtórzyła pannie Teresie; salonik opróżnił się z rodziny Gudulskich.

Odwiedziny te niesmaczne sprawiły wrażenie. Pannę Teresę zraziło szczególnie i zdziwiło ubrane w wykrzykniki kłamstwo, podtrzymywane przez oboje małżeństwo. Do czego to było? tego ani zrozumieć, ani domyślić się nie mogła. Jakiś w tem tkwił zamiar. Nie uszedł też uwagi jej chłód, jaki przewiał przez usta pani Julii, gdy wymawiała wyrazy: „z panem Skowronem.“ Wytłómaczyć sobie tego nie umiała, przeczuwała jeno jakiś zamach, któremu czoło stawić będzie musiała. Przeczucie to hartowało w niej dumę i odwagę.

Upłynęło dni kilka, w ciągu których zwyczajny tryb życia przerywało wpadanie na krótko pana Jana, dowiadującego się o zdrowie

hrabiego, zdrowie, chwiejące się mocno. Zapadnięcie dnia jednego wynagradzało polepszenie w dniu następnym. Niekiedy siły powracały mu na dni parę, niekiedy dni parę przeleżeć musiał w łóżku. Lekarz odwiedzał go często, czuwał nad nim, niebezpieczeństwa nie zapowiadał, lecz panu Janowi, który z nim poufnie konferował, powiedział, że choroba hrabiego może mu pozwolić żyć lat parę, a może śmierć sprowadzić za pierwszym silniejszym wzruszeniem.

Śmierć żony mocno się organizmowi jego czuć dała.

Takiem było zdanie lekarza.

Razu pewnego pan Jan przyjechał wkrótce po obiedzie. Hrabia, który czuł się dużo lepiej, pił w swoim pokoju kawę.

— Napijesz się ze mną?

— A dobrze.

— Frania nam zagra.

Panna Teresa przyniosła filiżankę, nalala, usiadła i wnet zawiązała się rozmowa, do której za wstęp posłużyło oznajmienie pana Jana, że musi na czas jakiś do majątku wyjechać.

— Kosowica... żniwa za pasem — odezwał się hrabia.

— Nie to. Prowadzenie gospodarstwa powierzyłem wykwalifikowanym agronomom

i ich rzecz suszyć sobie głowy o orkę, siejbę, kosowicę, żniwo. Mam pyszne błota, a na nich roje krzyków. Zaprosiłem barona Barmherziga, przetrenuję go po trzęsawiskach i, jeżeli trochę z ciała spadnie, namówię, żeby na przyszłych wyścigach sam konia dosiadł. Dałbym sobie obcęgami nozdrze wyrwać, gdyby on się wywalił.

Nastroiło to rozmowę na ton humorystyczny.

Hrabia nie znał barona. Pan Jan na ćwiartce papieru narysował piórem jego profil, i podając ćwiartkę pannie Teresie, zapytał:

— Co?

— Podobny—odpowiedziała.

Zapytał następnie hrabiego, tę samą ćwiartkę mu podając:

— Czy nie warto, ażeby taki nos w ziemi na łokieć przynajmniej dół wyorał?

— Nie koniecznie jesteś na niego miłośnierym — zauważył hrabia.

— Niemiłośnierym się on okazał względem Gucia. Zarzucił mu, że nie umiał konia do skoku zażyć, wygrał sprawę przed sądem honorowym i zepsuł biedakowi reputację. Guccio słynął z zażywania koni... Obecnie go nikt na psa nie posadzi, a nie na konia. Zemszczę się przynajmniej za niego. A może tak

się trafi, że baron będzie się w błocie topił, wówczas pośpieszę na jego ratunek i wyratuję pod warunkiem, że Guciovi udzieli indemnizacyi za trzy żebra, które dla jego miłości złamał.

Gawędził, rozweselał hrabiego i hrabiankę, do śmiechu ich od czasu do czasu pobudzał, wreszcie się pożegnał i na odchodnym hrabiemu powiedział, że wyjeżdża dziś o dziewiątej wieczorem, a pannie Teresie na kurytarzu wręczył adres swój wiejski na wypadek potrzeby telegrafowania do niego.

W godzinę może po odejściu pana Jana listonosz przyniósł list z poczty miejskiej, zaadresowany do hrabiego. Listy przechodziły przez ręce panny Teresy; że zaś korespondencya nie była rozległą, poznawała po adresie i po stemplu pocztowym, od kogo który pochodzi.

Hrabia z nikim w mieście nie korespondował. Zastanowił ją więc ten list. Odniosła go ojcu i czekała na otworzenie koperty, ażeby zapytać, od kogo.

Hrabia kopertę otworzył.

— Od kogo, tatku?

Na podpis spojrział:

— „Przyjaciół prawdziwy“ — przeczytał.

— Jakże się nazywa?

— Nazwiska nie napisał. Anonim jakiś.
Pannie Teresie krew ustąpiła z oblicza.

Hrabia pisanie oczami przebiegał; nie doczytawszy jednak do końca, list w garści zmiął i do kieszeni bocznej od paltota włożył. Oczy mu się iskrzyły, ręce drżały.

— Tatku, co to?—zawołała hrabianka.

— Nic — odparł.

Po chwili tonem zirytowanym dodał:

— Nie lubię świadków, kiedy listy czytam,
Panna Teresa do kuchni ruszyła i do kucharki rzekła:

— Olesiu, pędem po lekarza!

Wróciła do ojca—zastąpiła go przy biurku, piszącego.

Napisał wierszy kilka, ćwiartkę złożył, w kopertę włożył, zakleił, zaadresował i zapytał:

— Czy jest Olesia?

— Niebawem przyjdzie.

— Jak skoro przyjdzie, niech ten list przez posłańca poszle. Siódma dochodzi, posłaniec go zastanie.

Chodziło o pana Jana, do którego list był zaadresowany.

Hrabia wstał, westchnął i zatoczył się.

— Tatku, do łóżka!—krzyknęła hrabianka.—Maniu! Franiu!

Dziewczęta przybiegły, ojca otoczyły, jedna łóżko przysposobiła, dwie hrabiego na fotelu posadziły i odzież z niego ściągając się jęły. Panna Teresa rozzuła go. W chwil kilka później przez córki wniesiony prawie został na łóżko. Na wznak się położył i ciężko oddychał.

Panna Teresa krople do szklanki z wodą odliczyła.

— Proszę, tatku — rzekła, szklankę do ust mu niosąc.

— Hrabia się napił. Duszenie ustępowało z piersi powoli, uspokajał się i był już prawie spokojny, kiedy nadszedł lekarz, który rozmówiwszy się poprzednio z panną Teresą, opukał go, osłuchał i rzekł:

— Pozwoliliśmy sobie bryknąć troszeczkę... co?...

— A! — odparł hrabia.

— To nic. Ale trzeba się wzruszeń wystrzegać.

Hrabia w milczeniu przestroóg i zalecań lekarza wysłuchał.

Lekarza złuzował pan Jan.

Panna Teresa zatrzymała go w kurytarzu, opowiedziała mu o liście. Wysłuchał i mruknął:

— Hm?...

— Nie wiem — rzekła — i nie domyślam się, coby to być mogło... Jakaś przykrość,

którą tatko podzielić się ze mną nie chce. Postaraj się, mój Jasiu, złagodzić wrażenie o ile można najbardziej. Ty to potrafisz... Mój Jasiu... — dodała tonem prośby.

Hrabia powitał pana Jana uśmiechem.

— Nie dałem ci odjechać spokojnie.

— Ii... mam jeszcze czas; a gdybym się spóźnił, wezmę pociąg poranny.

— Zostawcie mnie z Jasiem samego... — odezwał się do córek, które z nim razem były weszły.

Po odejściu panien, zaczął:

— Wezwałem cię, ażeby ci coś pokazać. Byłbym się na to nie odważył, gdybym nie wiedział, że moje dziewczęta i ja obchodzimy ciebie...

— Mój wuju... — odrzekł pan Jan.

— Chodzi tu o nie, mianowicie o Terenię... Ja bezwładny, w obronie jej czci stanąć nie mogę, zwłaszcza, że zaczepił ją jakiś „prawdziwy przyjaciel...”

— Może to jakie głupstwo, błazeństwo. Może wuj zanadto tragicznie bierze rzecz, na uwagę niezasługującą.

— W moim paltocie, w bocznej kieszeni, znajdziesz zmiętą ćwiartkę papieru... Wyjm ją i przeczytaj, co na niej napisano.

Pan Jan, wyjąwszy i rozprostowawszy ćwiartkę, podszedł z nią do okna. Czytał, brwi mu się fałdowały, nozdrza rozdymały—widzieć się na nim dawało wzruszenie, oburzenie znamionujące. Gdy skończył, hrabia go zapytał:

— Cóż ty na to?

— Co?... Powtórzę, com powiedział: Głupstwo, błazeństwo, a przytem i kłamstwo. Terenia była w mojej łoży, którą wszyscy znali; przyjechała moim pojazdem, o czem wszyscy wiedzieli; jest moją siostrą cioteczno-rodzoną, co nie jest tajemnicą dla nikogo. W łoży asystował jej Paweł; w każdej łoży każdej damie jakiś Paweł asystował. No?... Cóż wuj na to?

— Anonim zarzuca jej afiszowanie się.

— Czy zarzut podobny ma jaką podstawę?

— Nie ma żadnej.

— A więc... dlaczegoż się wuj zirytował?

— Mój Jasiu, zirytowałbyś się i ty, gdybyś się na mojem znajdował miejscu i gdybyś pomyślał, że to początek, że to się pociągnie i o Terenię oprze, podobne bowiem przy-smaki powtarzają się, jak skoro raz się zaczną. Gdybyś o tem pomyślał...

— Gdybym o tem i o wszystkim innem, a między innymi rzeczami i o takiej bagatelii,

jak własne zdrowie, pomyślał... czy wie wuj, co bym zrobił?

— Na przykład?

— Ująłbym byka, a raczej krowę, za rogi.

— Wytłómacz się jaśniej trochę.

— Ośloniłbym afisz powagą moją ojcowską.

— Najchętniejbym to zrobił, gdybym wiedział, o co idzie.

— Domyślam się, wiem, ba, na pewne wiem — odparł pan Jan.—Odkryję wujowi tę tajemnicę, którą komedyopisarze, zacząwszy od Szekspira, spopolitowali tak bardzo, że zna ją każdy i każda, co się roztropnością rządzi i o honorze ma wyobrażenie niejakie. Tu muszę głębiej w tajemnicę zajrzeć i powiedzieć wujowi, że mój szwagier, niestety, i moje siostry z roztropnością i z honorem w bardzo luźnej pozostają styczności. Ten liścik pochodzi od Gudulskich, pomagających Halince gorliwie w polowaniu na Pawła Skowrona.

— On się przecież o Halinkę stara.

— Ani myśli. Halinka się stara o niego, a Gudulscy jej pomagają w widokach na jego kredyt, na wypadek, gdybym się nie zgodził na równy podział majątku, pozostającego w dożywociu mamy. Ja się nie godzę i nie zgodzę, boby oni ustąpione im przeze mnie części strwo-

nili; wolę strwonić je sam. W przypuszczeniu tem, tem bardziej pragną usidlić Pawła. Znajomienie się jego z wujem, pokazanie się światu obok Tereni... zaniepokoiło ich, i oto... konceptem ruszyli... Na miejscu wuja... otworzyłbym Pawłowi dom i... niechby się Terenia i on bliżej poznali.

Hrabia w milczeniu w sufit patrzył.

— Możeby Terenię odstręczało od niego jego wieprzowiną podszyte pochodzenie...

Hrabia tej uwagi, jak się zdaje, nie słyszał. Po chwili westchnął, oblicze się mu rozjaśniło, do pana Jana się zwrócił i rzekł:

— Ach!... mój Jasiu...

— Co, wuju?

— Skowron nie łaskaw na nas.

— I jam go dawno nie widział... Musi być zajęty. Ale odwiedzę go dziś jeszcze i pomówię z nim. Wyjadę pociągiem porannym.

— Tylko... — odezwał się hrabia, palec podnosząc — żadnych awansów, ani insynuacyi nawet! Nie chcę mu się z córką napraszać, ani narzucać... raz dlatego, iżby mnie to upokarzało samego; powtóre, gdyby coś podobnego Terenia podejrzewała, a tożby głowę mnie i tobie zmyła!

— Ona taka?

— Ano...

— Szlachcianka... he?...

— Kobieta...

— Przez nas nie zepsuta... — dodał pan Jan. — O! popsuliśmy kobiety na szczer... Obyż się ona uchowała!...

XIV.

Wprost od hrabiego udał się pan Jan do pana Pawła i w domu go nie zastał.

— Gdzieżby mógł być?... — zapytał kobiety, co mu otworzyła.

Pan Paweł nie trzymał lokajów, ani kucharza — funkcyje ich sprawowały niewiasty.

— Nie wiem akuratnie, proszę pana.

— Wieczera w domu?

— Juści, proszę pana.

— O której godzinie?

— Bywało... tak... wedle siódmej niby...

Ale...

— Co?...

— Od jakiegoś czasu pan Karol i pan Ludwik bez naszego pana wieczerzę jedzą. Dawniej czekali, a teraz nie czekają. Zostawiam dla pana.

— Słyszycie, jak wraca?

— Ta jakbym ja słyszeć mogła!

— Owóż — zaczął pan Jan, — zrobmy z sobą, moja pani, układ. Napiszę kilka słów do pana Pawła i wręczę pani. Pani, gdy on przyjdzie, kartkę mu oddaj... Dobrze?

— Dobrze, proszę pana, jeżeli nie zaśnie.

— Na zaspanie znajdziemy sposób... — odparł pan Jan, pugilares wyjmując.

— Dam panu lepszy.

— Jaki?

— Włożyć kartkę w dziurkę od klucza... pan ją nieochybnie znajdzie.

— Za ten sposób przyjm pani ode mnie.

To mówiąc, wyjął pan Jan pięcioguldenny papierek i podał go kobiecie.

— A... nie... — odrzekła, ręce za siebie chowając. — Nie sprzedaję, proszę pana, sposobów...

Nic na to nie odrzekł. Pomyślał sobie jeno, że kondycya służebna nie wyklucza szanowania godności osobistej, i na karcie wizytowej napisał naglące wezwanie do pana Pawła, ażeby przyszedł do niego o którejkolwiek godzinie w nocy.

Zaledwie pisanie skończył, aliści pan Paweł się zjawiał.

— A!... Jaś?... — zawołał. — Jakież ciebie sprowadziły bogi?...

— Jakie ciebie po nocach wodzą?

Weszli do salonu.

— Jadłeś wieczerzę?... — zagabnął gospodarz domu.

— Nie jadłem, ale nie mam do stracenia czasu; śpieszno mi.

— Wieczerzy jeść nie zamierzasz?

— Owszem.

— Więc ten czas, co masz na nią stracić gdzieindziej, strać u mnie.

— Masz rację... a przytem i interes załatwię...

— Więc masz interes?

— A tak... trochę swój, trochę nie swój.

— Pani Grzędzina! — krzyknął pan Paweł przeze drzwi.

— Słucham!... — odezwał się głos niewieści w dali.

— Będziem mieli gościa na wieczerzy!

Po wygłoszeniu tego oznajmienia, do pana Jana się zwrócił i drogę mu wskazał.

W jadalnym pokoju zastali dziewczynę, drugie nakrycie na okrytym białym obrusem stole ustawiającą.

Obrus, serwety, naczynie stołowe wykwin-tem się nie odznaczały; dziewczyna, pokojówka dosyć przystojna, wyglądała wcale przyzwoicie.

Pan Jan okiem ją zmierzył, i gdy nakrycie ustawiwszy, po półmiskę się oddaliła, odezwał się:

— Posługujesz się niewiastami. Czy i ta harda?

— Albo co?

— Jejmość, co mi otworzyła, odmówiła upominku, który jej w ilości pięciu złotych ofiarowałem.

— Bo to nie slugi.

— A cóż?

— Wyręczycielki. Gdyby nie one, musiałbym sam sobie jadło pitrasić i mieszkanie oczyszczać.

Dziewczyna wniosła i na stole postawiła dwa półmiski: na jednym zrazy zawijane, na drugim kasza kraszona, skwarkami obsypana.

— Służę ci — rzekł pan Paweł, i sięgnąwszy ręką po butelkę, dodał: — Gdybym się był ciebie spodziewał, byłbym się zaopatrzył w butelkę wina; musisz przeto poprzestać na piwie. Piwo dobre, krasiczyńskie.

— Do zrazów piwo idzie — odparł pan Jan.

— Czy jest co więcej? — zapytał pan Paweł dziewczyny.

— To wszystko, proszę pana — odpowiedziała.

— Jasiu, jesteś więc uprzedzony... *Homme averti en vaut deux...* „Mierz zamiar wedle sił...”

Pan Jan na zegarek spojrział.

— Pociąg do Kozowa odchodzi?

— O dziewiątej trzydzieści pięć...

— Mogę więc dziś jeszcze wyjechać.

— Jedziesz?

— Do Krzepiniec... Urządzam polowanie na krzyki dla barona Barmherziga, którego mam zamiar po trzęsawiskach przepędzić. I właśnie z tego powodu do ciebie wpadłem.

— Czy i mnie chcesz zaprosić?

— Wcale nie... Chcę ciebie prosić, żebyś mnie zastąpił.

— W czym?

— Nie w czym, ale przy kim... przy hrabi Homirskim. Chory biedak, cienko przedzie... Broń Boże czego, dziewczęta same rady sobie nie dadzą. Mnie może parę tygodni nie będzie... gdyby się co zdarzyło, nie byłoby komu nawet do mnie zatelegrafować. Więc?...—zapytał.

Pan Paweł westchnął, odpowiedzi nie dawał, a mina jego była miną człowieka, toczonego walkę wewnętrzną, która go czemś, ledwie że nie strachem przejmuje.

— Cóż?...

On jeszcze milczał.

— Przeszkadza ci pilne jakie zajęcie?

— Nie... — odpowiedział.

— Wyjeżdżasz może?

— Nie.

— Ochoty ci brak?

— Nie.

— Odmawiasz mi?

— Nie.

— A zatem prośbę moją przyjmujesz?

Westchnął i odpowiedział z rezygnacją niby:

— Przyjmuję.

— Twoje przyjęcie tak wygląda, jakby ci wyřeczanie mnie ciążyło.

— Ależ nie!... przeciwnie... tylko...

— Co?

— Naucz mnie funkcji, jaką mam pełnić.

— Odwiedzać hrabiego... jeżeli nie codzień, to co drugi dzień; zresztą oddać się pod rozkazy panny Teresy.

Znów biedak westchnął.

— Boisz się jej?

— Ja?

— Do ciebie mówię. Jeżeli się jej nie boisz, pójdziesz nie później jak jutro, między dziesiątą a jedenastą, i powiesz jej, że cię uprosił, ażebyś w czasie mojej nieobecności mnie przy hrabi wyřęczał. Ona ci zapewne będzie dziękowała i perswadowała, że to dla

ciebie ciężar, przykrość, subiekcyja i t. d., że sobie sama radę da... ale ty jej potrafisz zaimponować.

— O?... — odezwał się pan Paweł.

— Liczę na ciebie. Hrabia potrzebuje rozrywki, szczególnie umysłowej, usuwającej irytację, która chorych tego rodzaju napada często bez powodu. Mnie ten człowiek obchodzi.

— I mnie obchodzi.

— Ruina.

— Ale piękna i cenna, nadająca się na model.

— Więc mogę liczyć na ciebie?

— Jak na Zawiszę.

Pan Jan znów na zegarek popatrzył.

— No... — rzekł, wstając — komu w drogę, temu pora. Dziękuję ci, Pawełku... Bądź zdrow i odważny.

— Odważny?... — powtórzył pan Paweł z akcentem pytającym.

— Wobec... zagrażającego hrabiemu niebezpieczeństwa.

— Co do tego... — zaczął.

— A telegrafuj do mnie, gdyby co zaszło. Łada okazyja może katastrofę spowodować.

Pan Paweł, pozostawszy sam, sam sobie się zdziwił, że, wiedząc przecie o stanie zdrowia hrabiego, dopuścił się zerwania z nim prawie.

„Z mojej strony to głupio i niegodziwie. Człowiek chory... był u mnie... dziecko mi swoje powierzył... a ja?... Co mi się stało?...”

Uczuł dla pana Jana wdzięczność za następczenie mu sposobności naprawienia błędu, jakiego się dopuścił—błędu, który mu się wydał ogromnym i naprawy gruntownej a rzetelnej wymagającym. Że jednak należał do rodzaju ludzi, co się zastanawiają i przyczyny skutków badają, rozważał, co błąd ów spowodzić mogło.

Miał intencję odwiedzać hrabiego, przyrzekł mu to nawet i byłby przyrzeczenia dotrzymał, gdyby nie wyścigi. Właściwie nie wyścigi, ale *ona*, ona, wobec której znajdował się „nie jak kochanek, ale jak ekonom,” gorzej aniżeli ekonom — jak student niepewny siebie na egzaminie wobec profesora surowego.

„Niema co. . znajdowałem się głupio, zapominając języka w gębie...—spowiadał się sam przed sobą.—Skąd mi się to wzięło? Czy to było skutkiem oddziaływania na moją krew czerwoną jej krwi błękitnej?... Może...”

Zaczął się skłaniać do uwierzenia w różnicę krwi. Analizował teorię dziedziczności i atawizmu. W umyśle jego zrodziło się przypuszczenie, że jego jakiś przodek był poddanym

lub sługą jakiegoś jej przodka, który nim pomiatał i wobec którego drżał.

„Kto wie — mówił sobie. — Ale w takim razie powinienbym języka w gębie zapominać i gorzej aniżeli ekonom lub student stawać wobec wszystkich płci obojej potomków senatorskich. W dynastyi przecie Homirskich nie płynie krew błękitniejsza, aniżeli w dynastyach hrabiów Pieckich, Brzdęckich, Łopacińskich, Kielbasińskich, książąt Gamajdów i tyłu, tyłu innych. Czemuż wobec nich zachowuję całą zimną krew, całą przytomność umysłu?... wobec niej zaś...”

Stała mu w oczach urocza księżna Zenejda, stała czarująca hrabina Idalia, stało parę księżniczek, kilka hrabianek, co się do niego, ile razy przy nich się znajdzie, przysuwają, nastawiają, wdzięczą, mizdrzą, co do niego szczebiocą słodko i srebrzyście, co mu pokazują rozmaite ciekawości, dziureczki na łokciach, wytok ramion, falistość kibici, zagadkowość karczków, rozpoczynających bródę kości pacierzowej i t. p. A toć to przecie wielkie panie, alembiki krwi jak najbłękitniejszej. Jak też się one do niego uśmiechają! A jak się uśmiecha, jak przysuwa, nastawia, wdzięczy, mizdrzy panna Halina Zbédowska, siostra Jana, cioteczno-rodzona siostra hrabianki Teresy

Homirskiej!... Uśmiecha się i ona, ale nie tak.
Ach! ona!...

„Ach! ona...“

Weszła mi w drogę—

Ach! ona!

Widokiem swoim mnie pali

I mówi do mnie „Idź dalej.“

Bez niej iść dalej nie mogę!

Weszła mi w drogę—

Ach! ona!

Strofy tej pan Paweł nie układał; sama mu się w umyśle ułożyła i, nieprzeniesiona na papier, pozostawała jako świadectwo rany, zadanej przez Kupidyna, jako dowód, że miłość i poezya chodzą w parze. Dowód w tem mianowicie tkwił, że strofa powyższa stworzyła się sama przez się w głowie chemika, pracującego nad udoskonaleniem nawozów, człowieka pozytywnego na wylot.

Miałżeby się, wśród retort, kolb, tyglów, kwasów, soli, pierwiastków, gazów, fermentów, kryształów, na poetę kierować? Bynajmniej!... Nad tę strofę nic więcej w tym rodzaju nie stworzyło się w jego głowie.

Ta strofa jednak z toru go zbiła, szyki mu mieszała. W porównaniu z nią wszystko, co do panny Teresy kiedy mówił, i wszystko, coby jej powiedzieć mógł, wydało się mu tak

płaskiem, pospolitem, mizernem, tak jej niegodnym, że się z nią po prostu spotkać lękał. I byłby z hrabią zerwał, gdyby nie pan Jan. Gdyby nie on, byłby laboratorium swoje chemiczne na wieś przeniósł. Zamiar ten już mu nawet do głowy zaglądać zaczął, ale go strofa z głowy wypychała.

„Weszła mi w drogę — ach! ona!...”

Hrabia chory, potrzebuje rozrywki umysłowej.

„Ano... niema co... pójdę... Przyrzekłem... dotrzymać przyrzeczenia muszę...” — tak, wstawszy nazajutrz rano, po nocy pół na pół na spaniu spędzonej, mówił do siebie, myjąc się pod kurkiem. Mył się staranniej niż zwykle, oblewał się, prychał, staranniej się odział, wypił wespół ze współpracownikami kawę i razem z nimi do laboratorium poszedł. Chodziło o znotowanie wyników z dokonanych doświadczeń. Pan Ludwik pisał, on dyktował — dyktował tak nieuważnie, że współpracownik, usłyszawszy jedną z formuł chemicznych, zawołał:

— To być nie może!... W oczach ci się chyba dwoi!...

W oczach mu się nie dwoiło, ale, kiedy tę formułę wymówić miał, w myśli mu dzwoniły wyrazy:

„Bez niej iść dalej nie mogę!”

Dlatego, zamiast C—wymówił H, zamiast H — O, przemieniał cyfry i znaki. Na uwagę współpracownika wstał i z gniewem prawie powiedział:

— Róbcie sami!

Stłumił w sobie wyrazy: „Bez niej...” i t. d., i wyszedł.

— Co mu się stało?—zapytał pan Ludwik pana Karola.

— Coś go ukąsiło...—odpowiedział zapytany.

Czas do pół do jedenastej spędził, w rzeczy samej, niby ukąszony. Uspokoił się jednak i zupełnie poprawnie powitał pannę Teresę, gdy ta na jego spotkanie do saloniku wyszła.

— Jakże hrabia?...

— Dziękuję panu... Tatkowi dziś lepiej... dużo lepiej.

— Lepiej?

— O! tak... Proszę pana.

Wskazała mu siedzenie.

— Był u mnie Jaś...—zaczął, usiadłszy.

— I mówił o tatkowej kryzys wczorajszej. Ale to, Bogu dzięki, minęło... Tatko jeszcze w łóżku, ale zdrowszy...

— W łóżku?

— Ale zdrowszy...—powtórzyła

— Więc nie będę mógł hrabiego widzieć?

— Czemu nie? Życzy pan sobie?...

— O!... bardzobym pragnął uszanowanie mu złożyć...

— Proszę mi pozwolić, na chwilkę odejdę i tatka uprzedzę.

Wstała, kroków kilka postąpiła, zatrzymała się na środku salonu i zapytała:

— Pana to nie zgorszy, że go tatko w łóżku przyjmie?

— O! pani...—odpowiedział, kłaniając się wcale szarmancko.

„Jakoś poszło...”—pomyślał sobie, czekając na powrót hrabianki.

Nieobecność jej dłużej nad minutę nie trwała. Drzwi otworzyła i z proga wezwanie wygłosiła:

— Proszę pana.

Pan Paweł się zerwał, przeszedł przez salonik i wkroczył do pokoju hrabiego.

Hrabia do niego z uśmiechem dłoń wyciągnął.

— Zapomniałeś o nas. Nie zajrzałeś od tak dawna.

— Nie mogłem.

— Zajęcie... chemia... doświadczenia...

Nic na to nie odpowiedział. Prawdy powiedzieć nie mógł, skłamać nie chciał.

— Siadajże... oto krzesło, przysuń sobie.

Pan Paweł miejsce obok łóżka zajął; równocześnie panna Teresa nieco opodal z boku usiadła i wzięła ze sobą robotę, która tam leżała, świadcząc, że przy ojcu czuwała.

— I cóż tam słychać?... — odezwał się hrabia.

— Nic osobliwego. Jaś odjechał.

— Dziś rano?

— Wczora wieczorem. Wprost ode mnie pojechał na dworzec; zdaje się, że na pociąg się nie spóźnił.

— To się zwijać umie. Nie spodziewałem się, ażeby trafił na pociąg wieczorny. Opuścił nas dosyć późno.

— Około pół do ósmej... — rzekła panna Teresa.

— Polowanie u siebie urządził.

— Głównie dla barona Barmherziga— dodał pan Paweł.

W tej chwili panna Teresa podała mu piórem zrobiony szkic.

Pan Paweł się zlekka zachnął, ćwiartkę do ręki wziął, popatrzył i rzekł:

— Podobny, o! podobny. Czyjeż to dzieło?

— Jasia.

— To mu się udało. Jemu się zawsze karykatury udawały. Musi mieć u siebie album skarykaturowanych portretów wszystkich prawie profesorów i wielu kolegów z Liège... Nie pokazywał państwu?

— Nie — odpowiedział hrabia.

— I ja w tej kolekcji figuruję.

— A?... Musi nam to album pokazać. Tereniu, upomnij się u niego po powrocie.

— Dobrze, tatusiu, bylebym nie zapomniała.

— Ja mu przypomnę — podchwycił pan Paweł.

— Dwie młode pamięci jeżeli się złożą, pewnym być można, że nie zapomną — zauważył hrabia.

Na te słowa, wymówione bez żadnej intencji, panna Teresa oczy spuściła, pan Paweł doznał uczucia człowieka, pojmanego na gorącym uczynku.

Gdy się nie odzywało jedno, ani drugie, hrabia ciągnął dalej:

— Podejrzałem w Jasiu ten talent, alem myślał, że go uprawia mową tylko, która bliźnich oszkicowuje. Do tego barona musi mieć anse szczególną.

— Ma... i nie zupełnie niesłusznie — odrzekł pan Paweł.

— Osobistości?

— Nie koniecznie. Osobistości ograniczają się do spółzawodnictwa na polu sportu końskiego, po za tem atoli baron jest rodzajem księcia w obozie autodoksyjnym. Jaś, luboć się do tego obozu zalicza, jest jednak malkontentem. Niezadowolenie jego, trzymane w tonie humorystycznym, głównie się przeciwko księciu zwraca.

— Czemuż z obozu nie wystąpi?—zapytał hrabia.

— To go, zdaje się, najwięcej irytuje, że wystąpić nie może. Ma zasady, uznaje sztandar, ma pojęcia postępowe, pragnienia szlachetne i idzie w szeregach, dla których to wszystko jest przesądem, wykluczonym z programu umysłów, mających się za trzeźwe! Zdarzają się sytuacje takie, z których jednak wydobyć się jest niemożliwe.

— Brak charakteru.

— Może wada temperamentu.

— Może—potwierdził hrabia i zapytał:—
Cóż tam w twojem laboratorium?

— Ha!... cóż?

— Praca postępuje?

— Dosyć leniwie w czasach ostatnich.
Zdałem ją na współpracowników moich.

— Sam zaś przysposobiasz zapewne materiały dla mnie do korekty.

— I to nie. Nie idzie mi jakoś.

Panna Teresa w ciągu jego z hrabią rozmowy uważała go z boku. Zwrócony był do niej profilem, więc mogła swobodnie patrzeć na niego. W oczach jej i na obliczu panował spokój. Dopiero gdy się przyznał, że mu jakoś nie idzie, dostrzedz się dało lekkie zaniepokojenie, jakby zapytać chciała: „Dlaczego?” Oczy spuściła i zamyśliła się. Bez uwagi słuchała rozmowy w dalszym ciągu. Wyszła do kuchni, zabawiła z pięć minut na konferencyi z Olesią we względzie obiadu, powróciła i zastała hrabiego śmiejącego się. Sprawilo jej to widoczne zadowolenie. W tej jednak chwili pan Paweł wstał i dłoń hrabiemu na pożegnanie podał.

— Dziękuję za już, proszę o jeszcze — przemówił do niego hrabia, dłoń jego w swojej trzymając. — Widzisz, jaki ja niedołęga... Z wizytami się nie licz.

— O, panie hrabio!... czyż możesz mnie o coś podobnego posądzać?

— Ano... fakta mówią... nie było o tobie parę tygodni słyhać.

— Nie powtórzy się to.

— Wiedz, żeś w moich progach mile widziany przeze mnie i przez moje córki.

Hrabia puścił dłoń jego. Pan Paweł zwrócił się do panny Teresy, która mu dłoń swoją podała i z uśmiechem uprzejmym słowa ojcowskie potwierdziła.

— Do widzenia — dodała.

Pan Paweł, zadowolony sam z siebie, mieszkanie hrabiego opuścił. Schodząc z pięter, po dwa naraz przestępował schody—ktośby myślał, że ucieka, a to była nie ucieczka, ale pośpiech, celem wydostania się na świeże powietrze i wystawienia na nie czoła, które znajdowało się w stanie pałania. Dlatego ruszył do najbliższej położonego ogrodu, którym był Ogród Botaniczny. Wpadł na aleję główną, przeszedł ją wzdłuż bez kapelusza i z powrotem zatrzymał się przy sadzawce, ze środka której bił wodotrysk i w której hodowały się rybki czerwone i złote. Ze szczególnem zajęciem rybkom się przypatrywał, nie myśląc wcale o nich. Obszedł sadzawkę dookoła—i gdy zamierzał iść dalej, natknął się na Manię i Franinę, które z teczkami w rękach przy sadzawce się zatrzymały.

— Dzień dobry paniom.

— Ach! — krzyknęły obie, a jedna rzekła:—Pan Skowron.

— Panie tędy przechodzą?

— To nasza droga do szkoły i ze szkoły.

— Więc ze szkoły teraz?

— Ze szkoły.

— Śpieszno na obiad... co?

— Tak, trochę.

— Pozwolą mi panie sobie towarzyszyć?

— Dobrze — odpowiedziała Frania.

— Prosimy — poprawiła Mania.

— Co pani ma w swojej teczce?—zapytał tej ostatniej.

— Kajety, książki.

— Wolno zobaczyć?

— Proszę — odpowiedziała, dając teczkę.

Pan Paweł przejrzał pobieżnie, i do Frani się zwracając, zapytał:

— A pani?

Ta mu również teczkę podała, on jej atoli nie otwierał, lecz jedną na drugiej złożył, pod pachę wziął i rzekł:

— Towarzyszę paniom.

— Proszę oddać!—zawołała jedna.

— Proszę oddać!—powtórzyła druga.

— Oddam, ale nie tu.

— Gdzież?

— W domu.

— Pan do nas idzie? — zapytała Mania głosem, w którym uradowanie zabrzmiało.

— Nie, nie idę.

— Więc proszę teczkę mi oddać.

— Nie dam.

— Panowie, mężczyźni... zawsze tak — odezwała się Frania.

— Jak? — zapytał.

— Przemocą do nas, istot słabszych.

— Czy pani co na tem traci, że przemoc teczkę niesie?

— Tracę moją niezależność kobiecą—odpowiedziała, nadając intonacyi głosu nastrój tragiczno-komiczny.

— Pomówimy o tem, idąc.

Ruszyli wę trójkę—pan Paweł z teczkami pod pachą, panienki pod parasolkami.

Na drodze o niezależności kobiecej mowy nie było, Mania bowiem zapytała:

— Czemu pan tak dawno u nas nie był?

— Dziś byłem.

— A... to dlatego pan do nas nie zajdzie?

— Dlatego.

— Ale czemuż pan tak długo nie przychodził?

— Jużem się z tego wytłómaczył przed wyższą instancją.

— To my instancja taka nizka, że pan się nam tłómaczyć nawet nie chce! — odezwała się Frania, zdradzająca przez to temperament bardziej bojowniczy, aniżeli Mania.

— Nie mówię „nizka,“ ale „niższa.“ Jeżeli panią, panno Franciszko, to obraziło, to gotówem się tłumaczyć.

— Mnie to nie obraziło, ale ciekawam tłumaczenia.

— Będzie krótkie: nie mogłem.

— To nie tłumaczenie!

— Dokładne i dobitne, skupiające w sobie przyczyn ważnych i mniej ważnych mnóstwo.

— Przyczyną najważniejszą byłby egzamin.

— Ma pani rację. Owóż i ja zdawałem egzamin.

— Pan?... egzamin?... z czego?... przed kim?...

— Przed kim?... przed samym sobą... Z czego? to tajemnica, która może na zawsze przy mnie zostanie.

— Tajemnica... a zaraz, tajemnica. Jak ja tajemnic nie lubię!... a raczej lubię, ale takie, z którymi się ukrywać nie trzeba. Ja, gdybym jaką tajemnicę miała... Tylko—dodała,—nie rozumiem takiej tajemnicy, z której się egzamin zdaje. Bo to chyba znaczy: umieć i obciąć się. Mnie taka tajemnica grozi z chemii.

— A mnie — wtrąciła Mania — z fizyki.

— Zdają panie egzamina z chemii i fizyki?

— Zdawać będziemy za dwa tygodnie egzamina z rozmaitych przedmiotów, a między

nimi Frania z chemii, ja z fizyki—odpowiedziała Mania.—W mojej klasie fizyka, w jej chemia.

— I jaby m z niej tajemnicę chciała zrobić i dostać pięć—podchwyciła Frania.

Pan Paweł domyślał się, jaką to chemię i jaką fizykę wykładają po szkołach pańskich; nie znał jednak podręczników i nie miał dokładnego o rozmiarach i metodzie wyobrażenia, — dlatego, luboć mu strzeliła w głowie myśl ofiarowania pańienkom pomocy swojej, wstrzymał się z wypowiedzeniem jej. Oddając jeno teczki u wnijsćia do domu, powiedział:

— Pomówimy jeszcze o chemii i fizyce.

— Niech pan przyjdzie w sobotę, to jest jutro po południu—odpowiedziała Frania,—to Mania i ja będziemy wolne i nagadamy się z panem. Dobrze?

— Dobrze.

Obie pańienki uprzejmie mu dłoń uścisnęły, po schodach wbiegły i zaraz na wstępie pochwałyły się, że w towarzystwie pana Skowrona od sadzawki do domu szły.

— Przyjdzie jutro—oznajmiła Mania.

— Zapowiedział?—zapytała panna Teresa.

— Frania go zaprosiła.

— Franiu!... któż ciebie upoważnił?

— Teczki nam niósł.

— Więc cóż?... Bez zapytania tatka... Czy to, że twoją teczkę niósł, ma za pozwolenie tatkowe starczyć?

— Ach! nie to tylko... — odparła Frania z niecierpliwością.

— Cóż jeszcze?

— Pan Skowron ma tajemnicę.

— Jaką?

— Nie wiem, jaką. Chcę ją z niego koniecznie wydobyć.

Panna Teresa, zmiarkowawszy, że się z nią nie dogada, odrzekła:

— Bądź-co-bądź, nie powinnaś nigdy gości, bez zapytania tatka, a przynajmniej mnie, zapraszać.

— Tym razem — zainterweniował hrabia — nie stało się nic złego. Przestrożę Tereni zanotuj sobie na przyszłość.

Panna Teresa rada była wizycie jutrzejszej—raz dlatego, że dzisiejsza bardzo dobry na hrabiego wywarła wpływ, powtóre dla wpływu, jaki widok pana Pawła wywierał na nią.

Miała go, posiadała, nie w zupełności wprawdzie, ale w stopniu takim, w którym posiadanie nikomu ujmy ani krzywdy najmniejszej nie czyniło. Było w tem coś mistycznego niby, lecz nie było nic, coby uwłaczało jej godności nie-

wieściej, tej miłości własnej, co polega na zachowywaniu w czystości niepokalanej swego „ja“ w czynie, słowie i myśli.

XV.

Pomiędzy panem Pawłem a rodziną hrabiego ułożył się stosunek w sposób dosyć oryginalny. Powoli, z czasem, bywając często, stał się prawie domownikiem — spoufalił się. Hrabianki młodsze, jedną z chemii, drugą z fizyki, do egzaminu przysposobił. Po egzaminach, które panienki zdały dobrze, za które dostały promocyje i nagrody, spędził z niemi, od drugiej po południu, wieczór cały.

Panienki do niego lgnęły; hrabia w jego towarzystwie smakował; panna Teresa wobec niego, sióstr i ojca zajmowała stanowisko górujące, wzbudzające szacunek.

W zabawach udział brała, lecz to jej stanowiska ani trochę nie nadwerężało. Udział jej przyjmowany był z taką wdzięcznością, jakby łaskę wyświadczała.

Po egzaminach przyjechał pan Jan i za pierwszemi odwiedzinami oświadczył panie Teresie chęć zabrania hrabiego z rodziną na

wakacye na wieś. Propozycya ta hrabiance się podobała.

— Trzeba się jednak lekarza poradzić — zauważyła.

Lekarz nie pozwolił. Podróż koleją żelazną uważał za ryzykowną dla hrabiego. Trzeba się było jej zrzec i starać się pobyt na wsi zastąpić wycieczkami za miasto, których urządzenie zapoczątkował pan Jan.

Choremu to wszystko dogadzało i zapewniało mu spokój, potrzebny do utrzymania życia jego z dnia na dzień. W podobny sposób utrzymywały ogień westalki. Westalki funkcję pełniła panna Teresa, nadająca kierunek i ton gromadce ludzi, otaczającej ostatkami życia goniącego hrabiego. Pełniła swoją funkcję ku zadowoleniu wszystkich, i sama była zadowoloną, o ile zadowoloną być może córka, patrząca na dogorywanie ojca kochanego i szanowanego.

Zadowolenie sprawiał jej też stosunek do pana Pawła.

Nie szukała już żadnych wybiegów, ażeby maskować przed sobą samą miłość, która się w sercu jej dla niego obudziła. Maskowanie byłoby daremnem. Serce jej ku niemu skoczyło. Tak się wyraził fakt, fakt dla niej bardzo ważny w razie nawet, gdyby nie łączyły

się z nim przyczyny, usprawiedliwiające go w zupełności. Im pana Pawła poznawała bliżej, tem się dowodniej przekonywała o jego dodatniej, wiele obiecującej wartości. Można było na nim budować.

Raz na wycieczce zamiejskiej, w której udział wzięła ona i pan Jan, Frania zagabnęła pana Pawła o jego pracę laboratoryjną, prosząc go o wynalezienie dla niej takiej perfumy, któraby w nosie nie kręciła.

— Takiej perfumy ja nie wynajdę.

— Cóż pan tam smaży i cedzi?

— Chcę wysmażyć dla pszenicy, żyta, jęczmienia, dla grochu, prosa, hreczki taki pokarm, od któregoby ziarna tych roślin powiększały się w dwójnasób.

— Także chemia! Do czegoż to?

— Dwa razy więcej ludzi wyżyje.

— A!...—zastanowiła się Frania.

Podobnemu zastanowieniu uległa, gdy go zaczepiła, czemu nie trzyma pojazdów i koni.

— Dlatego, że mnie nie stać na to.

— Pan taki bogaty!

— Moje bogactwo nie do mnie samego należy.

Innym znów razem, gdy o muzyce była mowa, dowiedziała się od niego o wpływie, jaki muzyka wywiera na obyczaje i cywilizację.

Mówił o suicie orfeuszowskiej. Dziewczęta go słuchały z natężoną uwagą i z ciekawością; gdy skończył, Mania się odezwała, jakby wymówione wyrazy w umyśle sobie notowała:

— Pan muzykę lubi?

— Lubię—odparł.

— Szkoda—szepnęła półgłosem.

— Czemuż?—zapytał pan Paweł.

— Nie jestem muzyczką.

— A gdyby pani muzyczką była?

— Zapytałabym, jakie pan najbardziej sztuki lubi, i grałabym.

— Żadnej—odpowiedziała Frania.

— Skąd pani o tem wie?

— Skąd?... już ja wiem... wiem...

— Owóż lubię jedną szczególnie, której pani nie gra i nie zna.

— Na przykład?

— Marsz Rakoczego.

— Marsz?... Rakoczego?...

— Pani o nim ani słyszała.

— To... coś... coś...

— Węgierskiego—podpowiedział.

— A prawda!... słyszałam o tem... Czardasz... Liszt...

— Nie czardasz, ani Liszt, ale Rakoczy...

Panna Teresa, świadek tej rozmowy zwróciła na pana Pawła wejrzenie i zatrzymała je na nim dłużej nieco.

Wejrzenie jej miało ten wyraz, który malarze nazywają „ciepłym.“ Wyraz ten wszelako nie pojawił się w tym razie wyjątkowo. Świecił on w jej oczach zawsze, gdy patrzała na stosunek młodszych sióstr do pana Pawła, stosunek zażyłości i poufałości, z którego panienki widoczną a ogromną odnosiły korzyść, wślizgującą się ukradkiem do ich głów i serc, gdy z nim mówiły, gdy swawoliły, żartowały, bawiły się, przekomarzały. Od niego do nich przechodziły takie wiadomości i poglądy, które wzbogacały umysł i wskazywały w życiu cele i zadania, łączące w sobie dobro i piękno. Przynależność bogactw, znaczenie powiększenia wydajności ziarna, cywilizacyjna rola muzyki i wiele innych tym podobnych kwestyi, rozstrzyganych od niechcienia, prostowały pojęcia, przejmowane od różnych Rotenówien, a wychodzące ze sfer, ciągnących zyski z próżności ludzkiej. Panna Teresa moralizowała siostry, ale jej moralizowanie nie wywierało na nie tego wpływu, co obcowanie z panem Pawłem, do którego panienki lgnęły, pociągane urokiem swobodnej z nim rozmowy. Frania obcesowo do niego przystępowała. Mania trzymała się nieco dalej, lękliej niby, nie zaczepiała go byle o co, ale słuchała z zajęciem i z wpatrywaniem się weń, gdy mówił. A były to panienki na wyroju

już: jedna kończyła rok piętnasty, druga zaczynała siedemnasty.

Pannę Teresę w wysokim stopniu zadawalniał stosunek ten. Wobec niego ona sama zajęła stanowisko przyjaznej, neutralności, neutralności bardzo przyjaznej; ale takiej, że „kochanek wybrany“ nie mógł z niej korzystać, nie dała bowiem panu Pawłowi żadnem słówkiem, najmniejszym gestem poznać, że i ona, nie mniej jak siostry, lgnie do niego, że jej lgnięcie przenika pragnienie szczęścia, owiane urokiem miłości, utkanym z doboru dusz i doboru serc. Nie zdradzała się z niem atoli, raz dlatego, że było to pragnienie osobiste, — powtórę dlatego, że przy niem na warcie stała duma dziewicza, harda i spokojna. Gdyby nie to, gdyby jeno na pana Pawła skinęła, miałyby go wnet u nóg swoich. Może o tem nie wiedziała; prędzej jednak przypuszczać należy, że wiedziała, lecz zaliczała to do tego rodzaju zalotności, kokieteryi, flirtu, który służy za maskę prostytutcy. Onaż przecie o tem wiedzieć musiała z książek, miała się więc na ostrożności i zadawalniała się stosunkiem, jaki się pomiędzy jej wybranym a siostrami urobił.

Zadowolonia jej, dzięki zdrowiu hrabiego, nic w ciągu wakacyi nie zamąciło, z wyjątkiem dwóch zdarzeń małej na pozór wagi.

Raz na przechadzce Frania jej rękę pod ramię wsunęła i, nastrajając minkę poważnie, półgłosem do niej przemówiła:

— Czy wiesz, Tereniu?... Mania się strasznie kocha...

Panna Teresa drgnęła i zbladła. Na razie nic nie odpowiedziała. Po chwili dopiero rzekła:

— Co mówisz!... Nie powtarzaj takich rzeczy.

— Wiem przecie, że takich rzeczy się nie powtarza. Takem tylko powiedziała. Biedna Mania!

Panna Teresa przyspieszyła kroku, doszłuzowała do przodującej pary, to jest do Mani, idącej obok pana Pawła, i dosłyszała, jak ten ostatni mówił:

— Bo każdy z nas, członek społeczeństwa, jest tego społeczeństwa dzieckiem, obowiązaniem kochać je i wywdzięczać się mu, jak dziecko rodzicom.

Frانيا szepnęła jej do ucha:

— Romansują... o...

Panna Teresa musiała wyrzec na sobie przymus, ażeby śmiechem nie parsknąć.

Frانيا dodała:

— Ona się dla niego u pani Lenz w sekrecie Rakoczego uczy.

Panna Teresa westchnęła.

Wiadomość ta zaniepokoiła ją, stała się dla niej przedmiotem troski, którą głęboko na

dnie duszy ukryła i która nic a nic, w najdrobniejszej mierze, nie wpłynęła na jej zachowanie się w odniesieniu do siostr i do pana Pawła.

Mania temu ostatniemu siurpryzę sprawiła. Raz, kiedy on u hrabiego przesiadywał, zagrała Rakoczego.

— A to co?... — zapytał hrabia.

— Marsz Rakoczego.

— Któraż go gra?... Frania chyba?

Pan Paweł przeze drzwi wyjrzał, hrabiemu odpowiedział: „panna Marya,“ do fortepianu podszedł i serdecznie grającej podziękował.

Dziewczyna się zarumieniła po uszy.

Panna Teresa była przy tem, widziała to i do podziękowań pana Pawła przyłączyła ze swej strony powinszowanie.

— Widzisz, jak zechcesz — mówiła do siostry, — grać możesz poprawnie i z uczuciem.

Wakacye miały się już ku końcowi, kiedy do hrabiego przyszedł list z poczty. Panna Teresa, pamiętna na wrażenie, jakie anonim sprawił, listów się obawiała. Obejrzała kopertę i spostrzegła na niej stemple zagraniczne, odbite w Spaa. Uspokoilo ją to.

„Od ciotki...“ — pomyślała sobie.

W rzeczy samej, był to list od pani Zbę-dowskiej, list pełen jak najczulszych wynurzeń,

w którym ustęp jeden zastanowił hrabiego. Pani Zbędowska pisała, że się cieszy ze stosunku, jaki się pomiędzy nim a jej synem zawiązał, i ze stosunku tego zamierza korzystać, powołując go na sędziego. „Sprawiedliwiej od ciebie nikt nie osądzi, bracie kochany“ — wyraziła się.

Hrabiego to zastanowiło. Dał list pannie Teresie do czytania i powiedział:

— Pokażę go Jasiowi, gdy przyjdzie.

Pan Jan, który w ciągu wakacyi kilka razy wyjeżdżał i wracał, w parę dni później odwiedził hrabiego. Przyszedł w towarzystwie pana Pawła.

— Pisała do mnie twoja matka — rzekł do pana Jana.

— A?... skąd?...

— Ze Spaa... List na biurku... Przeczytaj i wytłómacz mi jeden ustęp, którego nie rozumiem.

Pan Jan list przebiegł oczami.

— Cóż to za sprawa, w której mam być na sędziego powołany?... nie wiesz?

— O, wiem. Sprawa ze mną, raczej przeciwko mnie... Niech się wuj do niej nie miesza.

— Czemu?... Lękasz się wyroku mego?

— Nie to, ale w niej sprawiedliwość i prawość pozostają do siebie w stosunku odwro-

tnym... i stosunku tego nie naprawiłby sam Salomon. Chodzi o posagi moich sióstr, o przyznanie im równych części przy podziale majątku.

— To sprawa prosta... wobec sumienia— wtrącił hrabia.

— Tak się zdaje. Sumienie? hm!... Sumienie dzieli się na rodzaje, gatunki, podrodzaje i podgatunki... a!... bez końca. Pomiędzy nimi jest jedno, które się zwie obywatelskiem, z którym ja pozostaję, a przynajmniej dotąd pozostawałem, w grubej rozterce. Coby jednak wuj powiedział, gdybym ja, sportsman, pędziwiatr, salonowiec, kapłan flirtu, podpora przekonanych trzeźwych, protest żywy przeciwko romantyzmowi, wzór małżonków, gdybym ja, taki, jakim jestem, schedy, któreby z równego podziału majątku siostrom moim przypadły, oddał.. na szkoły?

— Powiedziałbym, żeś dobrze zrobił, gdybyś na toż samo, lub na coś podobnego, oddał i swoją schedę.

— Ba... tak... ma wuj rację. Ale proszę— no posłuchać dalej. Wpadłem w kleszcze pomiędzy ciebie, wuju, a tego oto jegomościa— wskazał na pana Pawła,—w kleszcze, dziwną jakąś przemocą wyciągające mnie z tej pajęczszej sieci, której się dobrowolnie i z gustem

nawet uwikłać dalem. Owóż, jeżeli się z niej jeszcze nie wydobył, to jestem bardzo blizki wydobycia się: stajnię wyścigową wystawiłem już na sprzedaż, a z nią wyzbywać się powoli zamierzam wszystkiego, co mnie z pajęczyną wiąże, i... wyzwolić się...

— To jeszcze nie racya... — wtrącił hrabia.

— Racya, wuju. Majątek, którym władam, oczyszczam i zaprowadzam w nim urządzenia, jakie w swoich majątkach zaprowadził Pawełek, który pod tym warunkiem wydobył mnie ze szponów barona Barmherziga. Niech jam poświadczy.

Pan Paweł ramionami z oznaką niechęci ruszył i głową na znak potwierdzenia skłonił.

— Siostry moje dostały posagi — ciągnął pan Jan dalej, — po sto kilkadziesiąt tysięcy rubli... Julka swój do spółki z mężem strwoniła; Halinka swego nie-strwoni w takim jeno razie, jeżeli wyjdzie za magnata. Tą drogą te schedy, któreby się im dostały, poszłyby i przepadły, tak dla szkół, jako też i dla nich. A więc, co wuj na to powiada?

— Mój Jasiu... — odrzekł hrabia ze łzami w głosie.

— Co na to powiada wuja sumienie?...

— Mój Jasiu!... — powtórzył z westchnieniem.

Pan Jan wstał, drzwi otworzył i zawołał:

— Tereniu, proszę ciebie!

Po chwili weszła panna Teresa.

— Wybacz mi — przemówił do niej, —
żem cię w sposób tak rozkazujący wezwał. Ale
tu idzie o rzecz ważną, o to mianowicie, aże-
byś widziała mnie piszącego i podpisała się,
jako trzeci świadek, na tem, co napiszę...

Usiadł przy biurku, posiedział chwilkę
pisząc, wstał i odczytał:

„Ja niżej podpisany zobowiązuję się
niniejszem, w obecności trzech niżej podpisa-
nych świadków, dwie trzecie części przypadają-
cego mi po ś. p. ojcu moim, a pozostającego
obecnie w dożywotniem władaniu matki mojej
majątku oddać na szkoły, cały zaś mój mają-
tek urządzić według systemu, zaprowadzonego
w majątkach Imci Pana Pawła Skowrona.

(Data) Jan Zbędowski.“

— Proszę... — podał po odczytaniu doku-
ment i pióro leżącemu w łóżku hrabiemu.

Hrabia drżącą ze zwruszenia ręką nazwi-
sko swoje wypisał.

— Pawełku, na ciebie kolej.

Podpisał się pan Paweł.

— A teraz ty, Tereniu, swój wykaligra-
fuj podpis.

Gdy panna Teresa, przy biurku jeszcze
siedząc, pióro odkładała, dodał:

— Schowajcież ten cyrograf dobrze, aże-
bym go nie wykradł i nie zniszczył...

— Nie posądzam ciebie o to...—odezwiała
się panna Teresa.

— Ja zaś sam siebie posądzam, znając
mój stan służby, uillustrowany mnóstwem naj-
piękniejszych intencji, a nawet i postanowień,
których nie dotrzymałem. Powtórzyłoby się
to zapewne i teraz, gdyby nie wuj z jednej
strony, nie Paweł z drugiej... i nie ty, Tereniu.

— Cóż ja?—zaprotestowała.

— Ty... — odrzekł, patrząc jej prosto
w oczy,—ty jesteś jedną z tych istot, co pro-
wadzą nas, ludzi ułomnych, do piekła albo do
nieba. Rozumiesz? Czy uwierzysz temu,
iżbym nie napisał na siebie tego cyrografu,
gdybym nie był pewny, że aprobatę twoją
uzyska? O! kobiety!... Najlepiej znał was
biskup Krasicki: „My rządźmy światem, a na-
mi kobiety...” My się rządóm kobiecym pod-
dajemy i, żeby sobie ulżyć, psujemy rządczy-
nie na potęgę.

Gdy pan Jan wyrzekł „ty,” na oblicze pan-
ny Teresy wbiegł różowy obłoczek, który wi-
dać niemal było, jak siłą woli spędzony został.
Wysłuchiwała przemowy i odrzekła spokojnie:

— Same sobie winny, że się psuciu oprzeć
nie chcą.

— Nie nie chcą, ale nie mogą—zaprzeczył pan Jan.

— Wszak mówileś o sobie, że nie możesz, a przecie...

— Bom wyciągnięty został... kleszczami... Sambym się był nie wydobył. Samemu trudno... Ty nawet, Tereniu, gdybyś się uwikłała w miłości na przykład, czyżbyś się sama oprzeć mogła? Są siły, są pociągi nie do przeparcia.

Panna Teresa na słowa te nic nie odpowiedziała. Znawca jednak wyrazów, odbijających się na fizyognomii ludzkiej, mógłby z jej oblicza odpowiedź wyczytać. Oblicze jej przybrało wyraz prawie zuchwały, wyraz, który mówił: „gdyby mnie te siły opadły, te pociągi rwaly, dałabym im rady *sama*.”

Czyż ona dotychczas nie szła *sama*?

Od czasu, jak myśleć i pragnąć zaczęła, pozostawioną była, obok cierpiącej matki, bez ojca, samej sobie, znajdując jedyne doradcze wskazówki w książkach, w których trucizna i strawa posilna tak się splatają, łączą i zlewają, że bez pomocy rozerwać ich niesposób. Ona je rozerwała *sama*.

Miała więc prawo oblicze w zuchwały przystroić wyraz, gdy pan Jan wątpliwość w jej siły okazał.

Hrabiego to, co się w jego obecności dokonało, mocno wzruszyło. Łzy mu do ocz podchodziły—powtarzał:

— O, czemuż mnie zdrowie opuściło! o, czemu?... Przyjęlibyście jeden z was mnie na rachmistrza, na kasyera, na pisarczyka bodaj... Och!...

Wzruszenie to nie na dobre mu wyszło. Trzeba było sprowadzać lekarza, który, po opukaniu go i osłuchaniu, te same, co zwykle powtórzył przestrogi i uwagi:

— Pozwoliliśmy sobie pobrykać trochę. Należy jak najmocniej unikać wszelkich silniejszych wzruszeń. Należy się pilnować. Teraz to nic. Spokoju, spokoju! W spokoju absolutnym mógłbyś hrabia żyć lat... nie sto... za sto nie ręcę... ale długo, długo.

— Z rok?...

— Co hrabia mówisz!—ofuknął lekarz.

Wzruszenie uszło tym razem hrabiemu na sucho; opóźniło jeno odpowiedź jego na list pani Zbędownskiej, na który odpisał we trzy tygodnie później, kiedy z rozpoczęciem roku szkolnego tryb życia powrócił do dawnego porządku. W odpowiedzi na ustęp listu pani Zbędownskiej o sądzie pisał o swojej niemocy, starał się grzecznie wymówić, dając do zrozumienia, że jest niezdolnym do sądzenia spraw

obojętnych, a nie dopieroż takich, które się krewnych jego tyczą.

Śnać nie wytłómaczył się jasno. Dnia pewnego, w początkach października, zjawił się u niego gość niespodziewany—pan Karol Ostępski. Przyjęła go panna Teresa. Powitał ją szarmancko i, po powitaniu, o zdrowie hrabiego zapytał.

— Tatko w łóżku.

— O?... chory?

— Niezdrów.

— Nie będę więc miał szczęścia osobiście mu czołobitności swojej złożyć?

— Bardzo mi przykro...

— Ha!... — westchnął. — Mogę jednak pani prosić o zakomunikowanie hrabiemu słów kilku?...

— Najchętniej to uczynię.

— Pani Zbędowska, która z zagranicy w dobrem, Bogu dzięki, zdrowiu powróciła, ma zamiar hrabiego odwiedzić. Że zaś odwiedziny te łączą się, niestety, z interesem... ach! te interesy!... więc ja pani Zbędowskiej towarzyszyć będę miał zaszczyt.

— Dobrze, panie, powiem to tatkowi.

— Jeszcze jedno... Ale może nudzę panią?

— Proszę pana:

— Bo to dla pań... interesa... Owóż, czyby nie można wiedzieć dnia i godziny, o którejby hrabiemu najdogodniej było panią Zbę-dowską bez innych, jak ja tylko, świadków przyjąć?

— Zapytam tatka.

Wyszła i w pięć minut później wróciła.

— Jutro, o dziesiątej rano.

— Dziękuję pani! przepraszam! ściele się do stópek.

Zapowiedzenie wizyty wydało się pannie Teresie dziwnem i trochę podejrzanem. Tłómaczyła to jednak sobie interesem, o którym zresztą wiedziała, nie wiedząc atoli o styczności interesu tego z anonimem, zniszczonym przez hrabiego. Naradzała się z ojcem, jak wizytę tę przyjąć. Hrabia chciał z łóżka wstać. Hrabianka była zdania przeciwnego. Lękała się dla ojca irytacyi.

— Tatko będzie w łóżku swobodniejszy. Pokój się z rana uprzątnie, oczyści, tatko w szlafroku przejdzie do saloniku; okna się po-odmykają. Człowiek chory ma swoje przy-wileje.

Przekonywała i przekonała.

Po południu odwiedził hrabiego pan Paweł. Była z nim o tej wizycie i o możliwej irytacyi hrabiego rozmowa.

Nazajutrz, w kwadrans po dziesiątej, pani Zbędowska i pan Ostępski stawili się w apartamencie na trzeciem piętrze. Pani Zbędowska miała na sobie czarną suknię, czarną narzutkę, czarny kapelusz, czarne rękawiczki; brak jeno woala i fioletowe wstążki świadczyły, że nie jest to wielka żałoba. Adwokat pod pachą trzymał sporą skórzaną tekę, na wzór tych, które w języku adwokatów francuskich noszą nazwę serwet, *serviettes*.

Przywitania pani Zbędowskiej z panną Teresą, które się odbywało w saloniku, nie cechowała taka tkliwa jak dawniej serdeczność. Było jednak poprawnem. Ucałowała siostrzenicę i weszła do pokoju hrabiego.

— Wybacz mi, siostrzyczko — odezwał się ostatni.

— Bracie kochany, ty mnie raczej wybacz... matką jednak jestem i w interesie moich dzieci odważyłam się niepokoić ciebie. Gdyby nie to, bądź pewny, dowiadywałabym się o twoje zdrowie, ofiarowałabym się także na twoje usługi, alebym nie napadała ciebie w łóżku... nie znasz interesu.

— Znam — odparł hrabia.

— Znasz? — zapytała tonem lekkiego zdziwienia. — Od Jasia?

— Od Jasia.

— Jednostronnie. Wysłuchać racz strony drugiej. Pan Ostępski przedstawi ci stan majątkowy, z którego przekonasz się, że powierzone mu przez ś. p. męża mego dobro moich dzieci w moich rękach uszczerbku nie poniosło najmniejszego. Proszę pana — skinęła ku panu Ostępskiemu głową.

Adwokat, jak skoro pani Zbędowska imię jego wymówiła, tekę otworzył i jął z niej papiery wydostawać. Na jej skinienie począł czytać, poprzedziwszy czytanie wstępem następującym:

— Wykażemy jaśnie oświeconemu hrabiemu naprzód majątki ziemskie, następnie kapitały.

Czytał nazwy wsi, wymieniając przy każdej ilość gruntów, jakość ziemi, zabudowania gospodarskie, wartość szacunkową i dochód dzierżawny. Dalej wyliczał kapitały, wymieniał banki, w których są złożone papiery procentowe. Skończywszy to wszystko, taką wygłosił konkluzję:

— Nie wykazałem żadnego długu, bo długu żadnego niema; hipoteka nasza czysta jak kryształ. Zauważyć muszę, że majątek w kapitałach wynosi więcej, aniżeli majątek w ziemi, tak, że w razie, gdyby przyszło do podziału na trzy równe części, to ta część, któraby majątek

ziemski objęła, obciążylaby hypotekę kwotą, nie wiele przechodzącą sto tysięcy, co na taki znaczny majątek jest ciężarem żadnym prawie. Zauważyć jeszcze winienem, że dostojne klientki moje, zaszczycające mnie zaufaniem swoim, Imć pani Julia Gudulska i Imć panna Halina Zbędowska, w poczuciu miłości siostrzanej i w pragnieniu jak najgorętszem harmonii rodzinnej, roszczą do brata swego, Imci pana Jana Zbędowskiego, pretensyę o kapitały tylko, co ich pretensyę z dwóch trzecich, jakby słuszność nakazywała, redukuje do połowy z czemś. To poczucie miłości siostrzanej i to pragnienie najgorętsze harmonii rodzinnej jaśnie oświecony hrabia zrozumie, oceni, na wagę sprawiedliwości weźmie i, jak tego dostojne klientki moje, dla których *summa jus* jest *summa injurja*, pewnemi są, wpłynie na ich brata i wysokim wpływem swoim zniewoli go do uczynienia sprawiedliwości zadość.

Gdy adwokat skończył i czoło sobie chustką obcierał, pani Zbędowska zaczęła:

— Liczę na ciebie, bracie, kochany. Jak widzisz, nie o mnie, ale o moje córki chodzi. Mnie ś. p. mąż mój zaopatrzył i ja, z całą dla jego pamięci wdzięcznością, ściśle się do jego woli stosuję, używając dostatków, jakie mi zostawił, godziwie i uczciwie...

Adwokat wyrazistym kiwaniem głową podkreślał wyrazy pani Zbędownskiej. Do ostatniego dodał:

— Jako też zaszczytnie, o czem poświadczą najpoważniejsi obywatele, nie tylko tu, na gruncie, ale precz za granicą, po Paryżach, Londynach.

— Ale — ciągnęła pani Zbędownska dalej, — dlaczegoż krzywdzonymi być mają córki moje, kobiety słabe, jedna zamężna, z dzieckiem małym, druga z losem nieustalonym i mocno zakwestyonowanym, dzięki szczupłości posagu, jaki się jej w udziale dostał? Dlaczego one krzywdzonymi być mają, bracie kochany? Ja, matka, wstawiam się o nie do ciebie, proszę cię, błagam, weź ich sprawę w ręce swoje i od krzywdy je zasłoń.

— Siostró dobrodziejko... — odparł hrabia — choćbym chciał, niestety, nie mogę.

— Rozumiem... choroba ci przeszkadza. Ale...

— Nie — przerwał, — nie choroba.

— Cóż innego?

— Związany jestem.

— Czem?

— Panie łaskawy — zwrócił się do adwokata: — racz przejść do salonu i poprosić mojej córki.

— Poczekaj pan — odezwiała się pani Zbédowska, skinieniem ręki wstrzymując pana Ostépskiego, który się był już z siedzenia zerwał.—Czy nie możnaby się bez Tereni obejść? Ja mojej Halinki nie przywiozłam dlatego, że jej obecność przy interesie za zbytęczną uważałam, pomimo, że interes jej się tyczy. Interes ten nie tyczy się Tereni.

— Tyczy się o tyle, że się u niej znajduje dokument, który wykaże, czem jestem związany.

— Do-ku-ment? — zapytała pani Zbédowska tonem mocnego zdziwienia.

— U niej jest, więc ona przyjść i pokazać go musi. Czy pozwolisz?

— Jeżeli tak...—odpowiedziała pani Zbédowska.—Proszę pana pofatygować się.

Adwokat wyszedł i za chwilę powrócił, poprzedzony przez pannę Teresę.

— Tereniu, pokaż cioci zapis Jasia.

Pani Zbédowskiej oczy szeroko się otworzyły. Zapis? Wyraz ten dziko w uszach jej zabrzmiał. Wzięła z rąk panny Teresy dokument, przeczytała, uśmiechnęła się chłodnym, złym uśmiechem, wstała, raz jeszcze na dokument okiem rzuciła, na połowę go rozdarła,

cisnęła i z głową do góry, wyniosłe, do drzwi się zwróciła.

Za nią słyszeć się dało krzyknięcie:

— Kobieto!

Po krzyknięciu nastąpiło charczące sapanie.

Nie obejrzała się.

Wychodzący z nią adwokat oglądnał się, widział wychylonego na wpół z łóżka hrabiego w objęciach córki.

XVI.

W bibliotece, w pomieszkaniu pani Zbę-dowskiej, państwo Gudulscy i panna Halina oczekiwali na powrót matki, na rezultat jej bytności u hrabiego. Pan Gudulski podżartowywał z pań, których nadzieje występowały coraz to inaczej, raz w kolorze różowym, znów w czarnym, w szarym, w blado-zielonym i t. p. Panie liczyły na matkę, na jej takt, na powagę imponującą i... na wdzięczność hrabiego.

— Nikomu mama nie okazywała tyle życzliwości i dobroci — powiadały to jedna, to druga.

— Hrabia przecie oceni to. Kto innyby może ocenić nie potrafił, ale hrabia...

— Romantyk — dodał pan Roman, — ale mocno poddezelowany.

— No... nie... — zaprotestowała pani Julia.

— Romantyzm tak gładziutko świsnął Skowrona.

— To co innego. To panny Teresy sztuka... Hrabiemu oczy się otworzyły i on zechce naprawić jedno drugim. Jaś zapłaci za Skowrona.

— Zobaczymy...

— Mama, o! mama... Jeżeli się tylko na ten krok zgodziła, to... Za tyle z jej strony życzliwości, za tyle dobroci hrabia nie byłby hrabią, gdyby się nie wywdzieczył, zwłaszcza, że go to nic kosztować nie będzie.

— Zobaczymy — powtórzył pan Gudulski.

Rezultat nie dał na siebie długo czekać. Pani Zbędowska powróciła prędzej, aniżeli się jej spodziewano, a z miny jej można było poznać niepowodzenie. Weszła, poprzedzając adwokata, zatrzymała się, rzuciła słów kilka i odeszła. Słowa, jakie jej w ustach zabrzmiały; były następujące:

— Dla was naraziłam się... zyskałam tyle, że mnie głowa rozbolała.

Na pana Ostępskiego spadło zadanie zdania szczegółowej sprawy. Adwokat wywiązał się z niego należycie. Osiową rolę grał w niem

zapis. Gdy wspomniał o zapisie i wyrzekł wyrazy: „na szkoły,“ słuchaczki osłupiały.

Oslupiał i pan Gudulski, który słuchał sprawozdania stojący, prędko jednak oprzytomniał i odezwał się:

— Wszystkiemu się mógł spodziewać, tylko nie tego. Wszystko było do przewidzenia, tylko nie to. Jaś zgłupiał, zidyociał, zwaryował. No! koniec świata! Mniejbym się zdziwił, gdyby do Kamedułów wstąpił.. No!

Pani Julia i panna Halina wciąż jeszcze w osłupieniu pozostawały.

Adwokat głos zabrał:

— Pani Zbęowska... admirować!... ona jedna mogła się na taki krok stanowczy zdobyć... i, jeżeli po kroku tym hrabia nie upamięta się i nie dołoży całych usiłowań, ażeby panu Janowi wyperswadować, to przyznać będzie potrzeba, że hrabia spadł nisko, bardzo nisko. Myślę jednak, że nie słuchał uważnie wywodu mego i, kiedy mu pani Zbęowska rzecz przedstawiła i do sumienia jego przemówiła, widać było na nim wzruszenie. Więc krok ten stanowczo wpływ na niego wywrze.

— Jaki krok?... — zapytała, oprzytomniawszy, pani Julia.

Zapytanie to wyrazem oczu poparła panna Halina.

— Zapis przeczytała, rozdarła i z pogardą na podłogę cisnęła.

— Rozdarła!... — jednym głosem zawołały pani Julia i panna Halina.

— Tak... rozdarła i na podłogę ze wzgardą cisnęła. Zrobiła to z takim wyniosłości wspaniałej gestem, że przypuścić niesposób, ażeby to bez następstwa pozostało.

— Więc zapis rozdarty... — zauważyła pani Julia.

— To żadnego nie ma znaczenia—odparł pan Gudulski.

— Cóż hrabia na to? — zagabnęła panna Halina.

— Wyszliśmy wnet po rozdarciu. Oglądnąłem się i ujrzałem hrabiego w objęciach hrabianki.

— Hrabia był w łóżku przecie?

— Z łóżka się wychylił.

— *Tableau!* — rzekła pani Julia tonem złośliwego przekąsu.

— To mu się jednak we znaki dać może... — zauważył pan Gudulski.

Miał rację. We znaki się też hrabiemu dało o tyle, że doznał wstrząśnienia, które go złamało.

Z łóżka się wychylił, chcąc nie dopuścić rozdarcia dokumentu; zrobił to z wysiłkiem,

zarówno fizycznym jak moralnym, i nadstawił tę nitkę, którą Parka przecina. Panna Teresa poskoczyła ku niemu, ułożyła go, dała mu kropel. Olesia pędem ruszyła po lekarza.

Lekarz opatrzył, lekarstwa nowego nie zapisał, lecz zalecił, celem utrzymania krążenia krwi, energiczne nacierania. Pokazał, jak to czynić należy, uspokajał pannę Teresę i w formie uwagi rzekł:

— Ale pani sama temu nie podola.

— Olesia mi pomoże. Przyjdą siostry.

Wzięła się niezwłocznie, pod okiem lekarza, do dzieła i, po odejściu jego, urządziła przy ojcu kolej. Nacieranie ustało o tyle jeno, o ile na to pozwolił lekarz, który bytność swoją zapowiedział na godzinę szóstą po południu.

Chory chwilami tracił czucie i odzyskiwał je na nowo.

Okolo drugiej z południa kobietom potężna przybyła pomoc w panu Pawle, który przyszedł dowiedzieć się o rezultacie odwiedzin pani Zbédowskiej. Dowiedział się bez pytania i na pomocnika się narzucił. Chciał jeszcze do pomocy pana Jana ściągnąć, lecz go posłaniec w domu nie zastał.

O szóstej lekarz zauważył polepszenie, zalecił jednak czuwać i nacieranie ponawiać, ile razy chory się obudzi.

Hrabia z wieczora wypił filiżankę bulionu i pół kieliszka wina. Zasnął, ale od czasu do czasu się budził. Panna Teresa kolej ustano-
wiła: do północy Frania i Mania, po północy —
dwie godziny Paweł, dwie Olesia, w końcu
ona. Ona dozorowała, Franię i Manię dopil-
nowała, ażeby do łóżka poszły; zluzowała Ole-
sią pana Pawła i uprosiła go, ażeby się w sa-
lonie na fotelu przedrzemał; wreszcie Olesię
odesłała i sama przy ojcu pozostała.

Hrabia spał snem widzeń snąc pełnym,
powieki bowiem to podnosił, to zmrużał, ustami
ruszał, jakby do siebie mówił, i od czasu do
czasu wymawiał wyraźniej nieco imiona i wy-
razy, w życiu jego znaczące. Wymienił imię
nieboszczki żony, wymieniał imiona córek; pan-
na Teresa swoje kilka razy usłyszała. Ona,
znużona dotychczasowem czuwaniem, siedząc
obok, sama się w stanie półsnu znajdowała:
wydawało się jej, jakby śniła wespół z ojcem.
W pokoju panował zmrok, który byłby cie-
mnością zupełną, gdyby nie osłonięta, w kącie
postawiona lampa. W zmroku postać hrabian-
ki, rzucona na siedzeniu, zarysowywała się nie-
wyraźnie, niby sylweta, przedstawiająca do-
skonale kształty niewieście. Śniła. Przed ocz-
mi jej przesuwaly się obrazy szczęścia i swobo-
dy, zażywanej w gronie, otaczającym ojca.

W gronie tem widziała siostry swoje, pana Pawła, pana Jana i siebie. Była szczęśliwa ich szczęściem. Budziła się i pochylała nad chorym. Powtórzyło się to razy kilka, aż w końcu, gdy się do komnaty brzask dzienny wciskać już poczynał, nad hrabią się pochylała, policzek swój do ust mu zbliżyła i oddechu jego nie uczuła. Ucichł, zasnął, ażeby się już nie obudzić więcej.

Stała, wyprostowała się nad zmarłym. W piersi jej zebrało się i cisnęło na raz głosów huczących i jęczących tyle, że wyparte ozwałyby się przeraźliwym krzykiem boleści. Stłumiła je jednak w sobie, jakby szanowała spokój zmarłego, ciszę śmierci. Dla ulżenia sobie, wyszła pośpiesznie do przyległego salonu, ręce podniosła, dłonie wylała, wyprężyła się i krzyknęła:

— Aaa!...

Nagle ktoś ją za ramię pochwycił.

Żachnęła się.

Usłyszała wyraz:

— Pani!...

— Co to? — zawołała.

Przed nią stał pan Paweł; spostrzegła go, a choć salon oświecała lampa, nie poznała, odepchnęła, do drzwi skoczyła, do pokoju swe-

go wpadła, na łóżko się rzuciła, i twarz w poduszkę wnurzywszy, rzewnymi załala się łzami.

Pan Paweł, wszedłszy do pokoju hrabiego, stwierdził to, czego się domyślił.

Śmierć hrabiego była, od dnia śmierci hrabiny, spodziewaną i przewidywaną. Z wyjątkiem najbliższych, co nad nim nieodstępnie czuwali, wyglądzano jej z dnia na dzień. Pan Paweł każdy dzień życia, przybywający hrabiemu, uważał za darowany. Nie myślał jednak, co nastąpi, gdy go nie stanie. Odrywało go od tego myślenie o *niej*, o tej, co mu „w drogę weszła.“ Teraz dopiero, wobec nieboszczyka, ciepłego jeszcze, wyglądającego jakby spał, strzeliło mu w głowie zapytanie:

„Cóż teraz poczną one?“

Zapytaniem tem objął trzy hrabianki; lecz dwie zasłonił niejako jedną, panną Teresą, której dola sieroca obeszła go tak żywo, że gotów był oddać jej wszystko, co posiadał, i podziękować, gdyby przyjęła.

O! jakby jej był za to wdzięczny!

Siebie usuwał. Dla siebie nic w zamian nie żądał. Byle tylko przyjęła, co jej oddać gotów.

Myśl ta w ogólnych, niewyraźnych kształtach, do głowy mu zawitała i snuła się. Do salonu przeszedł, w fotelu — na który go panna Teresa w nocy na drzemanie odesłała, a na

którym był mocno zasnął—usiadł i myślał. Starał się pomysł ten w formę wyraźną ująć—nie szło mu to. W oczach mu ona, wyprężona, z ramionami podniesionemi i dłońmi wylamanemi nad głową, żywy posąg boleści, stała i utwierdzała w nim postanowienie.

„Ale... czyby przyjęła?”

Przyszedł mu na myśl pan Jan; lecz jak prędko przyszedł, tak prędko z myśli wypadł. Jakiegokolwiek i czyjekokolwiek pośrednictwo wydało się mu profanacją tej świętości, jakiej ona w oczach jego była wyrazem.

Nie był w stanie myśli sformułować, zagłębiał się w nią, zagłębiał, tonął w niej niby, nagle ocknął się, wydobyty z toni szypieniem zegara w jadalnym pokoju. Spozrzegł się, że to już dzień. Spojrzał na swój zegarek: siódma.

W tejże chwili o słuch jego uderzył odgłos lekkiego chodu. Ktoś przez jadalny pokój przeszedł. Od kurytarza drzwi skrzypnęły.

Myślenie dotychczasowe urwało się. Miejsce jego zajęło zapytanie:

„Na co się ja tu przydać mogę?”

Pogrzeb, przygotowania do pogrzebu, zadeklarowanie zgonu wobec władz miejscowych.

„Tem wszystkim ja się zajmę.”

W domu dał się czuć ruch porankowy.

Po jakimś czasie do saloniku weszła panna Teresa — nie ta jednak, co, gdy się w fotelu przebudził, jawiła się mu na środku salonu w posągowej postaci, ale spokojna, poważna, smutna. Weszła; on wstał; ona się do niego zwróciła i rzekła:

— Skończyło się. Dziękuję panu.

Westchnęła.

— W czym mogę być przydatnym? — zapytał. — Oddaję się na usługi pani.

— Będę pana prosiła o dwie rzeczy.

— Pani!

— O zawiadomienie Jasia i rzucenie listu do skrzynki pocztowej... List jeszcze nie gotów, ale pisanie zajmie kilka minut. Zechce pan poczekać?

— Ależ...

W kilka minut powróciła z listem w ręku, zaadresowanym do dyrekcji szkolnej, przed którą zapewne usprawiedliwiała siostry, które na dni kilka lekcyje przerwać będą musiały. Wrezczając list ten, mówiła:

— Mani i Frani do szkoły nie wyprawiam. Nie budzę ich nawet. W nocy nie spały.

I dodała:

— Dziękuję panu za udzieloną nam pomoc.

— Żadnego więcej pani nie ma dla mnie zlecenia?

— Żadnego — odpowiedziała po chwili namysłu.

Rzekłszy to, podała panu Pawłowi dłoń do uścisku, odprowadziła go do drzwi i pożegnała ukłonem.

Frania i Mania wiadomość o śmierci ojca przyjęły z przerażeniem i z wybuchem płaczu, który się zakończył modlitwą przy zwłokach hrabiego, odmówioną razem z panną Teresą i z Olesią. Ta ostatnia zawiadomiła władze, zamówiła w kościele całun, lichtarze i pogrzeb, przyszykowała katafalk—i kiedy pan Jan nadszedł, ciało hrabiego już na katafalku spoczywało.

Podczas układania ciała na katafalku jedna z młodszych hrabianek wręczyła pannie Teresie przyniesiony przez listonosza list z poczty miejskiej. Rzuciła okiem na adres i uśmiechnęła się z goryczą. List adresowany był do niej, lecz adres pisała ręka ta sama, która anonim do hrabiego zaadresowała. Panna Teresa list w zanadrzu ukryła.

Pan Jan przyszedł wieczorem, wprost z dworca kolei. Zawiadomienie dostał od pana Pawła drogą telegraficzną.

— Tereniu, Maniu, Franiu — przemówił, gdy wobec hrabianek stanął,—podzielałam wasz smutek. Wasz ojciec stał się ojcem dla mnie przez to, że mnie odrodził. Dzięki jemu, może człowiekiem zostanę.

Po wynurzeniach przyszła mowa o pogrzebie.

— Pozwólcie, że ja tem się zajmę. Urządzenie pogrzebu biorę na siebie.

— Urządzenie jak najskromniejsze—odrzekła panna Teresa.

— Takie przynajmniej, jak nieboszczki ciotki.

— O, nie. Tatko nieraz wolę swoją w tym względzie wypowiadał. Pogrzeb mamy przykrość mu sprawił.

— Dla ludzi, dla oka. Trzebaż zawiadomić... kogo?

— Nikogo—odpowiedziała.

— Cóż na to powie mama?

— Ciotka nie wie o śmierci tatka.

— Nie zawiadomiłaś?

— Nie—odparła.

— O... tak nie można. Trzeba, żebyś zawiadomiła.

— Trudno mi, teraz zwłaszcza—odrzekła z naciskiem znaczącym,—tłumaczyć się przed tobą, dlaczego tego zrobić nie mogę.

— Więc zawiadomię ja...

— Jak chcesz, ale poczekaj do jutra. Jutro będziemy wiedzieli, o której godzinie odbędzie się eksportacja zwłok. Może ciocia raczy do kościoła przyjechać. Wstrzymaj się do jutra... proszę cię o to, mój Jasiu.

— Dobrze.

Pogrzeb hrabiego odbył się zwykłym porządkiem. W kościele były tylko córki nieboszczyka, pan Jan i pan Paweł. Na cmentarz odprowadziły zwłoki hrabiego córki, pan Jan i pan Paweł.

*

*

*

W tydzień po pogrzebie pan Jan odwiedził kuzynki. Przyszedł przed południem, w porze dnia, kiedy Mania i Frania znajdowały się w szkole.

— Przyszedłem, Tereniu, w celu rozmówienia się z tobą.

— O czym, Jasiu?

— Przystąpię wprost do rzeczy. Mieszkanie same... same panny... nie jest to koniecznie dobrze widzianem.

— Jakże zaradzić temu?

— Rada najlepsza jest ta, ażebyś za mąż wyszła. Gdybyś chciała, znalazłbym ci kawa-

lera, na któregobyś potrzebowała palcem tylko kiwnąć.

— Tę radę odłożmy na stronę — odrzekła. — Jeżeli niema innej, to niech tak zostanie.

— Jest i inna jeszcze. Moznaby wynaleźć kobietę przyzwoitą, któraby pełniła funkcję szaperona.

Panna Teresa pomyślała chwilę i odpowiedziała:

— Wiesz, mój Jasiu, zdaje mi się, że najlepiej będzie, gdy zostaniemy, jak jesteśmy. Stoją przy nas na straży... duchy naszych rodziców... Żebyś mnie o przesądność nie pomówił, oświadczam ci, że mówię to w znaczeniu przenośnem. Potrafię stanąć w obronie moich siostr... Potrafimy się we trzy bronić przeciwko wszystkim i wszystkiemu.

— Nie wątpię o tem. Jest jednak pewna napaść, przeciwko której bronić się trudno: napaść języków ludzkich.

— Nie jest mi ona obcą, dotknęła mnie w sam dzień śmierci mego ojca.

Rzekłszy to, wyszła i powróciła z listem w ręku.

Pan Jan na list okiem rzucił.

— Znam to — rzekł.

— Ten sam przysmak dostał był tatko nieboszczyk i przede mną zataił. Obecnie autor zaadresował do mnie. Rozumiesz więc, dlaczego ciotki o śmierci ojca mego zawiadomiał nie chciała?... Ostrzelanam już, jak widzisz. Języki ludzkie nic już chyba gorszego wynaleźć nie potrafią. Co?...

— Masz rację. Jednakże...

— Domyślam się, co chcesz powiedzieć. Śmierć tatka zamknęła drzwi naszemu przyjacielowi, panu Skowronowi, którego towarzystwo wysoko cenię ze względu na wpływ, jaki ono na Manię i Franię wywiera. Wysoko je cenię... — powtórzyła z naciskiem. — Owóż, jeżeli on nam swojej przyjaźni nie usunie, a ty zechcesz być dla nas bratem dobrym, przychodź z nim... We czwartki i soboty po południu będziemy was wyglądały. Mania i Frania smakują bardzo w pana Skowrona towarzystwie. Przed językami ludzkimi ty nas osłoń i bez szaperona się obejdziemy.

— Wyjeżdżam, niestety, często za interesami.

— W razach takich będzie nas przyjemność towarzystwa waszego omijała. Cóż robić!

— Gdyby nie interesa...

— Ważne?...—zapytała.

— Urządzą majątek na wzór i podobieństwo urzędzeń, zaprowadzonych w majątkach Pawła.

— A!...—podchwyciła—coś ci pokażę.

Przyniosła zapis, rozdarty na dwoje.

— Któż z nim się tak obszedł?...

— Nie tatko, nie pan Skowron, ani ja. Mimo to jednak on wartość posiada?

— Najzupełniejszą — odparł. — Dla tem pewniejszego przechowania podkleić go płótnem należy.

— Jest on dla mnie drogim podwójnie.

— W jakim sensie?—zapytał pan Jan.

— Raz dla treści, powtóre dlatego, że w obronie jego tatko życie dał...

Westchnęła.

*

*

*

Ułożył się i uregulował tryb życia na trzecim piętrze; hrabianki młodsze się uczyły, panna Teresa dom prowadziła i z czasem powoli zablizniały się rany od ciosów, jakie spadały na tę trójcę kobiet, zostawionych samym sobie. Panienki rosły, każda swoje robiła, przysposabiając się do życia wedle uzdolnień specjalnych, wytkniętych w zakresie nie szerokim.

Mani celem było nauczycielstwo, Frani nauczycielstwo także, ale muzyki. Chęciami

i widokami podrywały się one do lotu wyższego, górnieszego, lecz je siostra starsza na niziny ściągała. Pomagał jej w tem dzielnie pan Paweł, który przychodził niekiedy dwa razy na tydzień, niekiedy raz na dwa tygodnie, niekiedy zaś i trzy tygodnie minęło, a on się nie pokazywał. Zależało to od pana Jana.

Jeżeli jednak panią kom smakowało towarzystwo pana Skowrona, to i jemu snąć nie było ono niemilem, albowiem wynalazł sposób schodzenia się z niemi częściej. Przypominał sobie przypadkowe czasu onego spotkanie się przy sadzawce w ogrodzie Botanicznym. Z przypadku zrobił regułę. Chodził do ogrodu, czekał przy sadzawce na hrabianki i odprowadzał je do drzwi domu, przez drogę bądźto przekomarzając się z panną Franciszką, bądź też tocząc poważniejszą rozmowę z panną Maryą, przysposabiającą się do egzaminów na dyplom. Frania to nazywała „romansowaniem“ i usuwała się nieco na bok, ażeby nie przeszkadzać, a nadstawiała ucho, spodziewając się ustawicznie i ustawicznie zawodząc w nadziei usłyszenia czegoś ciekawszego, aniżeli gadaniny o zrównaniach lub pierwiastkach, o rodzajach i gatunkach, o potopach i warstwach i t. p.

Sprawozdania z tych przechadzek dochodziły regularnie do wiadomości panny Teresy pod postacią rozmów poobiednich.

Sprawozdania te miały dla niej znaczenie specjalne.

Z anonimu, który otrzymała w dniu śmierci ojcowskiej, dowiedziała się o rzeczy, która jej obcą była, obcą i daleką, mianowicie o tem, że jest przebiegłą intrygantką, wyzyskującą chorego, zidyociałego ojca na własną korzyść, wyzyskującą na toż samo pana Jana z rodziną, jako też próżność pana Pawła, chcącego swoje świniarskie pochodzenie pokryć hrabiowską koroną. Autor listu winszował jej przebiegłości, zamaskowanej pozorami skromności i prostoty, którymi osłoniła rywalizację z siostrą cioteczno-rodzoną, pozbawiła ją posagu i zwichnęła jej los. „Szkoly — pisał, — zapis na szkoly? Ludzie się znają na podobnych rzeczach. Ów zapis jest świstkiem bez żadnego znaczenia i bez najmniejszej wartości, chyba tej, że służy za dowód, do jakiego stopnia dojść może przewrotność młodej kobiety, która dla zysków osobistych nie uszanowała stanowiska, jakie jej urodzenie nadaje, wyłamała się z reguł światowych, podeptała godność własną i ciągnie za sobą siostry rodzone.“

Zarzuty te głęboko pannę Teresę zraniły. Wartość ich знаła, wobec sumienia własnego czystą się czuła, niemniej przeto bolała i bólowi obronić się nie mogła. Cierpiała jej duma

dziewicza, cierpiała jej cała istota moralna. Posądzono ją o spółzawodnictwo w handlu, poniżającym kobietę. Czy do posądzania podobnego dała jaki, bodaj najmniejszy powód? Czy swoich spojrzeń i skinień nie trzymała silnie na wodzy wobec człowieka, którego pokochała i którego kocha? Cóż więc pozostaje?

Na pytanie to tak sobie odpowiedziała:

„Albo powiedzieć mu: „bierz mnie!“ albo tak się zaczeluścić, ażeby się nigdy o niczem nie dowiedział.“

Pierwsze odrzuciła bez namysłu; nad drugim się zawahała.

„Przecież nie jestem sama na świecie — pomyślała. — Gdybym była sama, wyjechałabym do Lipowiec, zamknęła się na wsi, objęła gospodarstwo i urzędowała je tak, jak swoje Jaś urządza. Ale jestem *samą* dla siebie tylko. Obok mnie są siostry, za które odpowiedzialność spada na mnie, a które...“

W tym punkcie myśl jej wszczepiała się niejako w duszę samobójcy, trzymającego w ręku narzędzie, mające go życia pozbawić i zapytującego jeszcze siebie samego, czy ma, czy nie ma z narzędzia użytku zrobić. Życie przedstawiło się jej, jak chrześcijańskiemu poecie, pod postacią czary nie wciąż miodnej, z cykutą na dnie. Poeta orzekł: „chrześcijanin,

spełnię do dna i wesoło spojrzę w niebo.“ Panna Teresa powiedziała sobie:

„Nie, rywalką siostry nie będę.“

Dlatego to sprawozdania sióstr ze spotkań się z panem Pawłem przy sadzawce i przechadzek z nim od sadzawki do drzwi domu miały dla niej znaczenie specjalne.

Pan Paweł, rozstając się przy drzwiach z panienkami, regularnie prosił je kłaniać się od niego pannie Teresie.

Regularnie Frania wchodziła do domu z wyrazami na ustach:

— Tereniu! ukłony dla ciebie... chyba zgadniesz, od kogo...

Niekiedy wyrazy te przystrajała w dodatki. Na przykład:

— Kłania się biedak.

— Czemu biedak?

— Bo jemu smutno. Rozpoczął wykladać Mani teorię taką wesołą, jak o powinowactwie, i chciałby to powinowactwo, które jemu i jej sprawiało wyraźną przyjemność, przeciągnąć w nieskończoność, a tu... trach!... próg!... Proszę się kłaniać pannie Teresie.

Wyrazy ostatnie wymówiła, udając głos pana Pawła.

Wypić więc cykutę do dna i nie skrzywić się—było to postanowienie, które panna

Teresa powzięła. Skutkiem postanowienia tego dla kochanka wybranego, niby dla zwykłego zalotnika, była „jak skała.“

Pan Paweł, jak się tu ze wszystkiego, co o nim w ciągu opowiadania niniejszego powiedziano, pokazuje, nie był to zalotnik zwykły. On kochał i czcił, kochał zawsze jednakowo, a czcił coraz to bardziej w miarę, jak bliżej przedmiot czci swojej poznawał. Cześć powstrzymywała go od wszelkich okazów zalotności. Przechowywał ją w duszy, owiniętą w strofę, co się w laboratorium urodziła.

Na poznawanie panny Teresy miał czasu dosyć rok cały.

Nadeszły wakacje. Starsza z dwóch młodszych hrabianek szkołę skończyła, dyplom dostała, w motyla się z poczwarki podlotkowej przeistoczyła. W przeistoczeniu tem mało, pod względem powierzchowności, starszej ustępowała siostrze. Kształty jej ponętne akcentowały Inianego koloru włosy, szafirowe oczy, karminowe, do rozkosznych uśmiechów układające się usta. Była panną piękną.

Pan Jan zaproponował kuzynkom spędzenie wakacyi na wsi.

Propozycja ta została przyjętą.

Hrabianki Homirskie w towarzystwie pana Jana odbyły koleją żelazną podróż kilkogo-

dzinną i zainstalowały się na sześć tygodni w Strzemieniu, we dworze, zaopatrzonym dostatnio i utrzymywanym porządnie.

— Witam was w moich progach — przemówił na wstępie pan Jan — i tobie, Tereniu, powierzam rządy domu. Tyś tu panią. Masz nas karmić, pić, a przytem honory domu czynić, gdy się goście trafią.

Do domu przylegał ogród w rodzaju parku.

Rozkosz, nie siedziba.

Hrabiankom Homirskim wieś obcą nie była. Dwa lata temu z czemś opuściły Lipowce. Zachodziła wprawdzie różnica pomiędzy skromnym dworkiem w Lipowcach a prawie pańską rezydencyą w Strzemieniu, lecz różnica tyczyła się jeno skali, nie zaś istoty rzeczy, i nie dawała się zbytecznie uczuwać dlatego, że skala życia nie była wcale wysoką. Panny przeto znalazły się w swoim żywiole, co im się bardzo podobało. Używały wakacyi duszą całą: chodziły, jeździły, zbierały grzyby i poziomki, wiły girlandy i wieńce, wiązały bukiety, kąpały się i gości przyjmowały.

Goście zdarzali się dosyć często. Młodzież okoliczna ciekawą była hrabianek Homirskich. Ciekawość młodzieży dzielali niektórzy ze starszych i poważniejszych obywateli.

Rzadko zdarzał się dzień, w którymby ktoś obcy na obiedzie nie był i na wieczerzę nie został, zwłaszcza, że wieść o ładnych, bardzo ładnych pannach—nb. hrabiankach—w Strzemieniu rozbudziła w okolicy zapęły.

Śród hrabianek zaś zapęła w odniesieniu do gości manifestowała szczególnie jedna tylko panna Franciszka.

Ach! cieszyła się nimi.

Różni panowie Michasie, Olesie, Lole Gogi, Gucie byli dla niej przedmiotem uciechy niewyczerpanej, w której udziału nie brała panna Marya. Pannę Franciszkę niecierpliwiło to. Nie miała pretensyi do panny Teresy, której uprzejmość poważna wydawała się jej całkiem na swoim miejscu. Ale Mania!... Mania?...

— Rozrusza cię dopiero pan Paweł.

Pan Paweł przyjechał w parę jakoś tygodni po zainstalowaniu się hrabianek w Strzemieniu.

W rzeczy samej, panna Marya rozruszała się o tyle, że się go trzymała, że go wyciągała na rozmowy, zwane przez Franię „roman-sowemi.“

Pewnego wieczora, zapewne dla jednej z rozmów takich, panna Marya i pan Paweł znaleźli się w oddalonej od domu alei

parkowej i zapóźnili się. Nie śpieszno im było. Noc cicha, szmerów tajemniczych pełna, w powietrzu unosiły się wonie. Rozmowa, złożona z zapytań panny Maryi i z odpowiedzi pana Pawła, toczyła się gładko—nagle przerwana została pojawieniem się panny Teresy.

— A... przecie... znalazłam — odezwała się.—Maniu! śpiesz do Frani, która ciebie na pomoc przy herbacie wzywa. Zostaw mi pana Skowrona, ja go zaprowadzę.

Panna Marya ruszyła krokiem zdwojonym.

Panna Teresa kroków kilka w milczeniu obok pana Pawła zrobiła, wreszcie westchnienie w sobie stłumiła i zaczęła:

— Mam pana za przyjaciela naszego i jak z przyjacielem chcę z nim pomówić... Pozwala pan?

— O, pani...—odrzekł.

— Pomówienie moje rozpocznie się od trzech wyrazów, które ulokuję w pańskim sumieniu.

Wstęp ten zaniepokoił pana Pawła. Serce mu mocno bić zaczęło.

— Oto one: Mania pana kocha...

Odetchnęła i dodała:

— Znając pana blisko, za najszczęśliwszą-
bym się miała, gdybym zostać mogła... siostrą
pańską...

Pan Paweł, niespodzianie zaskoczony w ten
sposób, nie wiedział, co odpowiedzieć. Myśli
mu się w głowie splątały; do pamięci cisnęła
się strofa: „Weszła mi w drogę...” i t. d.

Panna Teresa, po chwilce przestanku,
odetchnąwszy głęboko, prawila dalej:

— Jeżeli mnie pan na siostrę zechcesz,
uszcześliwisz dwie istoty: Manię i mnie.
W przeciwnym razie liczę na honorowość
pańską, liczę na to, że krok, jaki do pana
uczyniłam, na zawsze w tajemnicy pomiędzy
nami pozostanie... Dobrze?

— Pani! — odpowiedział pan Paweł i za-
milkł.

Po chwili, z naciskiem wydartego z głębi
duszy wyznania, dodał:

— Siostro!

— Dziękuję, o! dziękuję! — odrzekła,
dłoń mu do uścisku podając.—Jakże to do-
brze!... Chodźmy na herbatę. Powiem Jasio-
wi. Jutro zaręczyny.

Poszła śpiesznie, biegiem prawie.

Spotkał ją pan Jan i zdziwił się bladości
jej oblicza. Zaniepokojony, zapytał:

— Tereniu, co tobie?

— Jutro zaręczyny — odpowiedziała wesoło.

— Czyje?

— Mani z panem Skowronem.

— Mani? — zdziwił się.

— Jam ich poswatała sama... Za rok się pobiorą... Co?... będzie para dobrana... Mój Jasiu, jak mnie to cieszy!...

K O N I E C.



**INSTYTUT
BADAŃ I KRAJOWY PAN**

Biblioteka

ul. Nowa 51, 50-072 Wrocław

00-230 W. 230 w. 1

Tel. 26-68-63, 26-62-31 w. 42

Barrancos

<http://rcin.org.pl>

